

# Wladca Bestii

## NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

-Panie Komandorze, jutro wyrusza transport do tego sektora. Moje dokumenty są w porządku, prawda? Mam chyba wszystkie niezbędne zezwolenia i

zaswiadczenia...

Młody mężczyzna w zielonym mundurze Komanda Galaktycznego, z rzucającym się w oczy emblematem przedstawiającym ryczącego lwa, uśmiechał się łagodnie.

Oficer westchnął w duchu. Dlaczego takie sprawy trafiały zawsze na jego biurko? Był człowiekiem nad wyraz sumiennym, a teraz znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Przedstawiciel czwartego pokolenia kolonizatorów Syriusza, kosmopolita, w którego żyłach płynęła krew wielu ras, w głębi serca był przekonany, że nie udało się rozgryźć tego chłopaka nikomu, nawet psychiatrom, którzy wystawili mu pozytywną opinię. Jeszcze raz przełożył papiery i zerknął na ten leżący na wierzchu. Nie musiał czytać - znał go już na pamięć.

Hosteen Storm. Stopień: Mistrz Zwierząt. Rasa: Indianin amerykański.

Planeta: Ziemia, Układ Słoneczny...

To właśnie było przyczyną jego rozterki. Po ostatnim, desperackim ataku najeźdźców Xi z Ziemi - ojczyzny Konfederacji - pozostał tylko przeraźliwie niebieski, radioaktywny kopec, a Centrum musiało borykać się z Problemem bezdomnych weteranów.

Przyznawano im tereny na innych planetach, spotykali się z pomocą wszystkich Skonfederowanych światów, ale nic nie mogło wymazać z ich pamięci widoku mordowanych ludzi, nic nie mogło przywrócić im spokoju. Niektórzy postradali zmysły już tu, w Centrum, i kierowali bronią przeciw swoim sojusznikom. Inni popełnili samobójstwo. W końcu wszystkie ziemskie oddziały rozbrojono siłą. Komandor w ciągu ostatnich paru miesięcy był świadkiem wielu okrutnych rozdzierających serce scen.

' Naturalnie Storm był przypadkiem wyjątkowym - tak jakby nie wszyscy nie byli wyjątkowymi przypadkami. Takich jak on była tylko garstka. Z tego, co wiedział Komandor, kwalifikacje tego rodzaju posiadało nie więcej niż pięćdziesięciu ludzi. A z tych pięćdziesięciu przeżyło niewielu. Kombinacja szczególnych cech

umysłu i charakteru, jaka powinien posiadać prawdziwy Mistrz Zwierząt, zdarła się niezwykle rzadko. Ludzie ci byli wprost bezcenni w ostatnich miesiącach szalenczej walki przed spektakularnym upadkiem imperium Xikow.

-Moje dokumenty, panie Komandorze - znow ten sam, łagodny głos.

Ale Komandor nie lubił, gdy go przynaglano.

Storm nigdy nie okazywał wzburzenia. Nawet gdy próbowali go sprowokować, jak wtedy, kiedy doręczyli mu przesyłkę z Ziemi, która została dostarczona do jego bazy za późno, już po tym, jak wyruszył na swoją ostatnią misję. Zawsze starał się współpracować z personelem Centrum, pomagając w opiece nad tymi, którzy według lekarzy mogli jeszcze być uratowani. Nalegał tylko, by pozwolono mu zatrzymać zwierzęta, ale nie spowodowało to żadnych kłopotów. Obserwowano go uważnie przez wiele miesięcy, oczekując objawów opóźnionego szoku, który według nich musiał wystąpić. Ale w końcu lekarze niechętnie przyznali, że nie mogą dłużej odkładać jego zwolnienia Indianin amerykański czystej krwi. Może rzeczywiście był inny, lepiej przygotowany na taki cios? Ale Komandor ciągle miał wątpliwości. Chłopak był zbyt opanowany... Co będzie, jeśli wypuszcza go, a załamanie nastąpi później i pociągnie za sobą inne ofiary? Jeśli... jeśli...

-Widzę, że zdecydowaliście osiedlić się na Arzorze - ciągnął rozmowę odwołując się do podjęcia decyzji.

-Materiały Sekcji Badawczej wskazują, że klimat na Arzorze jest podobny do klimatu mojego kraju, a głównym zajęciem jest hodowla frawnow. W Urzędzie do Spraw Osadnictwa zapewniono mi, że jako wykwalifikowany Mistrz Zwierząt nie będę miał kłopotów ze znalezieniem tam pracy...

Prosta, logiczna, zadowalająca odpowiedź. Dlaczego mu się nie podobała? Znowu westchnął. Przeczucie? Nie może odmówić Ziemianinowi z powodu przeczucia. Niechętnie przesunął zezwolenie na podróż w kierunku pieczęci.

Storm wziął dokument i wyprostował się, lekko się uśmiechając. Grymas kończył się na ustach, nie zmieniając ani na jotę wyrazu ciemnych oczu.

-Dziękuję za pomoc, panie Komandorze. Naprawdę ją doceniam. -

Zasalutował i wyszedł. Komandor pokręcił głową, wciąż niepewny, czy postąpił słusznie.

Storm po wyjściu z budynku nie zatrzymał się nawet na chwilę. Był pewien,

ze otrzyma to zezwolenie. Tak pewien, że przygotował się już do drogi. Jego bagaż był w punkcie załadunkowym. Była tam też jego drużyna, jego prawdziwi towarzysze, którzy nie wystawiali go nigdy na próbę ani nie analizowali jego zachowania. Tylko przy nich mógł poczuć się znów sobą, a nie przypadkiem poddawanym wnikliwej obserwacji.

Hosteen Storm z plemienia Dineh, czyli Ludzi, chociaż ci, których skóra była biała, nadali jego braciom inną nazwę - Nawajowie. Byli to jeźdźcy, artyści tworzący w Jnetalu i welnie, pieśniarze zamieszkujący pustynię. Z tą surową, lecz barwną krainą łączyła ich mocna więź. Przemierzali ją niegdyś jako myśliwi i hodowcy.

Wygnaniec odepchnął wspomnienia. Wszedł do magazynu, który przeznaczono dla niego i jego małego, osobliwego oddziału. Zamknął drzwi, a na twarzy pojawiło się ożywienie.

-Ssst... - na syk, będący jednocześnie wezwaniem przyszła skwapliwa odpowiedź. Rozległ się łopot skrzydeł i szpony, mogące rozszarpać ciało na strzępy, łagodnie spoczęły na ramieniu człowieka. Czarny orzeł afrykański, będący oczami Czwartej Grupy Dywersyjnej potarł w piśczętliwym gęście dziobem o brązowy policzek Storma.

Dwa małe meerkaty zaczęły się wspinać po jego spodniach. Pazurami, którymi niszczyły wielokrotnie sprzęt wroga, chwytaly lekko materiał nogawek. Baku, Ho, Hing i wreszcie Surra. Orzeł - królewski i wielkoduszny - był uosobieniem majestatycznej potęgi. Meerkaty - dwoma wesolkami, para zabawnych lotrów, kochająca nade wszystko dobrą kompanię. Ale Surra - Surra była cesarzową odbierająca należne jej holdy.

Jej przodkami były małe, tchórzliwe, płowe koty zamieszkujące tereny pustynne. Miały łapy pokryte długą sierścią zapobiegającą zapadaniu się w sypki piasek, ostre lisie pyszczki i szpiczaste uszy. Obdarowane przez naturę nadzwyczajnym słuchem, żyły w ukryciu, nie znane niemal człowiekowi.

Kiedy rozpoczęto eksplorację nowo odkrytych światów, okazało się, że instynkt dzikich zwierząt bywa niejednokrotnie bardziej przydatny od stworzonych przez człowieka maszyn i urządzeń. Za pomocą hodowli i krzyżówek tworzą nowe gatunki, o cechach najbardziej pożądanym.

Surra - tak jak jej przodkowie - miała płowe futro, lisie uszy i pysk oraz

dluga siersc na lapach. Była jednak czterokrotnie większa - wielkości pumy - a jej inteligencja przerosła oczekiwania hodowców. Storm położył dłoń na jej głowie, a ona łaskawie przyjęła pieszczotę. Dla postronnego obserwatora mogli być teraz grupka zadumanych, odpoczywających istot. Ale łączyła ich świadomość, będąca niczym innym, jak rozmowa bez słów. Nie mogli się w nią włączyć nikt spoza ich grona. To ona jednoczyła ich w harmonijną całość. Jeśli trzeba było, byli niebezpiecznym przeciwnikiem, ale dla siebie byli zawsze najwierniejszymi towarzyszami. Baku zatrzepotał niespokojnie skrzydłami. Nie znosił kłatki i zgadzał się na nią tylko w ostateczności. A podróż, której obraz przekazał im Storm, oznaczała właśnie kłatkę. Żeby go uspokoić, Indianin przedstawił im teraz myślowy obraz tego, co na nich czeka: góry, doliny i prawdziwa, niczym nie skrepowana wolność. Orzeł uspokoił się. Meerkaty pomrukiwały, zadowolone. Dopóki są wszyscy razem, nic nie zmąci ich radości. Najdłużej zastanawiała się Surra. Musiałaby zgodzić się na to, co zawsze wywoływało w niej zaciekle opór - na obrozę i smycz. Ale obraz przekazany przez Storma był tak obiecujący, że przeszła przez cały pokój i wróciła trzymając w pysku znienawidzona smycz i obrozę.

-Yat-ta-hay - wyszeptał w starożytnym języku swego plemienia Storm.

-Yat-ta-hay... dobrze, bardzo dobrze.

Promem, na który wsiadła drużyna, wracali na swe ojczyste planety weterani Konfederacji. Wracali po wyniszczającej wojnie pod swe nieba oświetlone żółtymi, niebieskimi i czerwonymi słońcami, złączeni jednym uczuciem: pragnieniem pokoju.

Kiedy Storm zapinał pasy przed startem, usłyszał ciche warknięcie Surry.

Odwrócił się i spojrzał w żółte oczy. Uśmiechnął się.

-Jeszcze nie teraz, Biegnąc po Piasku - znów użył języka, który umarł razem z jego planetą. - Raz jeszcze musimy napiąć strzały, wzniesć modły do Duchów Przodków i Odległych Bogów. Nie zeszlismy ze ścieżki wojennej! W jego oczach malowała się determinacja, której domyślał się Komandor. W małej galaktyce panował już pokój, ale Hosteen Storm znów wyruszał do walki.

Na statku spotkał mieszkańców planety Arzor. Było to trzecie lub czwarte

pokolenie potomków zdobywców kosmosu. Przysłuchiwał się ich głośnej paplaninie, starając się wyciągnąć z niej informacje, które mogłyby mu się przydać w przyszłości. Byli to ludzie z Pogranicza, pionierzy w tym półdzikim jeszcze świecie. Na ich planecie nie było właściwie niczego, co mogłoby zainteresować człowieka. Niczego, z wyjątkiem frawnow. Zwierzęta te cenione były ze względu na swoje mięso i wełnę, z której produkowano nieprzemakalną tkaninę o połysku jedwabiu. Dzięki nim na Arzorze można było zrobić niezłą fortunę.

Stada frawnow zamieszkiwały rozległe równiny planety. Ich grzbiety, pokryte gęstą, niebieską wełną, opadały ku tyłowi w wąskie, niemal zupełnie nagie zady. Lby wienczyły korony silnych, zakrzywionych rogów. Sprawiały wrażenie przyciężkich i niezdatnych, co było jednak dalekie od prawdy. Frawny doskonale potrafiły się bronić.

Ich mięso stanowiło przysmak w całej galaktyce. Nic nie mogło się równać ze świeżym stekiem z frawna. Podobnie żadna tkanina nie wytrzymywała konkurencji z frawnią wełną.

-Mam dwieście kwadratów ziemi od Vakind aż do wzgórz. Dajcie mi dobrych poganiaczy i... - perorował z przejęciem jasnowłosy mężczyzna noszący, jak się Stormowi zdawało, nazwisko Ransford.

-Weź Norbisów - włączył się jego towarzysz. - Nie zgubisz z nimi ani jednej sztuki. Zapłacisz im koniami. Quade zawsze ich zatrudnia...

-Ja tam wolę naszych chłopaków niż te dziwolągi - wtracił się trzeci z weteranów.

Storm na chwilę stracił wótek myślenia intensywnie. "Quade" to nie było popularne nazwisko. Przez całe życie słyszał je tylko raz.

-Nie mów, że wierzysz w te lgarstwa! - Drugi z rozmówców zwrócił się ostro do trzeciego. - Wrogo nastawieni, też coś! My z bratem zawsze bierzemy Norbisów do pedzenia frawnow. I mamy zawsze najmniejszy zespół w okolicy.

Dwóch tubylców pracuje lepiej niż tuzin naszych.

Ransford wyszczerzył zęby w uśmiechu.

-Nie wymadrzaj się, Dort. Wszyscy wiedzą, co wy, Lancinowie, myślicie o Norbisach. Są niezli, zgoda, ale jak wiesz, jest jeszcze problem z tymi znikającymi sztukami...

-Pewnie. Ale nikt nie udowodnił, że to robota Norbisow. Jak ich ktoś

zechce wykiwać, to dadzą mu naukę, ale jeśli będziesz w porządku, to zawsze możesz na nich liczyć. Rzeźnicy z Gor to nie Norbisowie...

-Rzeźnicy z Gor są złodziejami bydła, prawda? - spytał Storm próbując skierować rozmowę na interesujący go temat.

-Tak - potwierdził Ransford - są złodziejami. Słuchaj, to ty jesteś tym Mistrzem Zwierząt, który chce się u nas osiedlić. No, jeśli te historie, które o was opowiadają, są prawdziwe, to szybko znajdziesz robota. A Rzeźnicy to prawdziwy problem. Płoszą stada, a potem zgarniają tyle sztuk, że robią na tym niezły interes. Człowiek przecież wszystkiego nie upilnuje. Dlatego oplaca się zatrudnić Norbisow - znają każdy kąt, każdą ścieżkę...

-A gdzie Rzeźnicy sprzedają swoje lupy? - spytał Storm. Ransford zmarszczył brwi.

-Każdy chciałby to wiedzieć. Jest tu tylko jeden port kosmiczny, a w nim celnicy sprawdzają wszystko cztery razy. Chyba, że mają drugi port gdzieś w górach i tamtedy idzie przemyt. Wiem tyle samo co ty. W każdym razie kradną...

-Albo to Norbisowie kradną, a potem zwalają wszystko na bandytów - wtracił kwasno trzeci rozmówca.

-Prześlan, Balvin! - zaprzeczył się Lancin. - Brad Quade przecież zatrudnia tubylców. On i jego rodzina rządzi Dorzeczem od Pierwszego Statku i dobrze znają Norbisow. To przez wybuch w Limpiro Range zmienił zamiar...

Storm spojrział na swoje ręce spoczywające na stole. Szczuple, brązowe, ze starą blizną na grzbiecie lewej dłoni. Nie drgnęły. Jego rozmówcy nie zauważyli też naglej zmiany w wyrazie oczu Ziemiańszczyzny. Usłyszał to, na co czekał. Brad Quade - żeby spotkać tego człowieka, wyruszył w tę daleką drogę. Brad Quade, który zaciągnął krwawy dług wobec ludzi ze świata zmarłych. Dług, który Storm miał odebrać. Jako mały chłopiec złożył przysięgę przed człowiekiem o mocy i wiedzy przewyższającej wiedzę ras zwanych siebie dumnie "cywilizowanymi". Potem wybuchła wojna, walczył w niej, a teraz leciał na drugi koniec galaktyki...

-Yat-ta-hay - szepnął do siebie. - Dobrze, bardzo dobrze. Odprawa celna i imigracyjna była - z jego dokumentami - tylko formalnością. Ziemiańszczyzny i jego zwierzęta wzbudziły jednak duże zainteresowanie wśród pracowników portu. Opowieści o zwierzęcych drużynach docierające na Arzor były tak

przesadne, że z pewnością nikt nie zdziwiłby się, gdyby Surra przemówiła ludzkim głosem, a Baku zamachał emiterem promieni obezwładniających, trzymanym w szponiastej łapie.

Arzorczycy nosili bron, ale posiadanie śmiercionośnych rozpylaczy i igielników było zabronione. Różnice zdań były więc rozstrzy-

10

gane za pomocą pięści lub emiterów, które - zatknięte za pasem - nosili wszyscy mężczyźni.

Skupisko betonowych budowli stłoczonych wokół portu kosmicznego nie było tym, czego szukał Storm. Kopuła liliowego, tak niepodobnego do ziemskiego, nieba i wiatr od rdzawoczerwonych gór obiecywały jednak upragnioną wolność.

Surra zwróciła głowę w stronę, z której wiał wiatr, jej oczy otworzyły się szeroko, a Baku rozpostarł skrzydła. Nagle Storm zatrzymał się, rozejrzał i głęboko wciągnął zapach przyniesiony z wiatrem. Wonią była tak obiecująca, że nie mógł się jej oprzeć.

Stada frawnow pasły się na rozległych przestrzeniach, a ludzie, którzy na swoich macierzystych planetach korzystali z mechanicznych środków transportu, prędko odkryli, że tutaj nie zdają one egzaminu. Maszyny wymagały fachowej obsługi i części zapasowych, które trzeba było sprowadzać za bajonkie sumy z innych planet.

Był jednak nie psujący się środek transportu, nie używany od dawna w codziennym życiu, ale zachowany przez sentyment dla jego piękna i wdzięku - kon. Pierwsza grupa, sprowadzona na Arzor w ramach eksperymentu, znalazła tu doskonałe warunki i w ciągu życia trzech pokoleń ludzkich osadników zwierzęta rozprzestrzeniły się i zadomowiły zmieniając życie i gospodarkę zarówno przybyszów, jak i tubylców.

Życie Dinehow było od stuleci związane z koniami, a miłość do tych zwierząt stała się ich cechą wrodzoną. Zapach koni, niesiony przez wiatr, przypominał Stormowi dzień, kiedy wsadzono go - trzyletniego brzdaka - na grzbiet statecznej, starej kobyły, by wziął swą pierwszą lekcję jazdy.

Wierzchowce, które zobaczył w korralu w okolicy portu kosmicznego, nie przypominały małych, silnych kuców, jakie znał z rodzinnych stron. Były większe, dziwnie umaszczone: z czerwonymi lub czarnymi plamami na białym



lub szarym tle i czerwonymi grzywami albo też o jednolitej ciemnej masce z kontrastującymi jasnymi grzywami i ogonami.

Storm poruszył reka i Baku wzbil się w powietrze, by po chwili przysiąść na gałęzi drzewa o bulwiastym pniu. Surra i meerkaty ułożyły się pod drzewem, a Storm zbliżył się do zagrody.

-Nieźle stadko, co? - mężczyzna stojący obok przesunął na tył głowy płaski, słomkowy kapelusz z szerokim rondem i uśmiechnął się przyjaźnie do Ziemianina. - Przywiozłem je z Cardol cztery czy

11

piec dni temu. Doszły już do siebie i jutro wyruszamy. Faceci na aukcji zdebiera na ich widok.

-Na aukcji? - uwagę Storma przykuł młody ogier klusujący wokół korralu. Każdy ruch sprawiał mu radość, widac ja było w uniesieniu ogona i w tanczących kopytach. Jego Isniaca, jasnoszara sierść usiana była rudymi okragłymi plamami wielkości monety, najwyraźniej na zadzie. Rude były też grzywa i ogon konia. Zapatrzone w zwierze, Storm nie zauważył zainteresowania, z jakim przyglądał mu się osadnik. Zielony mundur mógł być nieznany mieszkańcom Arzoru - komandosi stanowili niewielką część wojsk Konfederacji, a Ziemianin był zapewne jedynym człowiekiem w tej części galaktyki, noszącym na piersiach podobiznę lwa. Ale to nie ubiór interesował osadnika.

-To sztuki rozplodowe, przybyszu. Trzeba je sprowadzać z planet, gdzie hodują konie dłużej niż u nas. Nie kupisz już ogiera czystej ziemianskiej krwi. Popędzimy to stado do Krzyżówki Irra-wady na wielką wiosenną aukcję...

-Krzyżówka Irrawady? To gdzieś w Dorzeczu, prawda?

-Zgadza się. Szukasz pracy czy własnych kwadratów?

-Pracy. Znajdzie się coś?

-Jesteś pewnie weteranem? Przyjechałeś tym promem, co? Ale chyba nie pochodzisz stąd. Jeździsz konno?

-Jestem z Ziemi.

Nagle zapadła cisza. Konie w korralu rżały, wierzgały i stawały deba. Storm nie odrywał wzroku od rudo-szarego ogiera.

-Tak, jeżdżę konno. Mój naród hodował konie. A ja jestem Mistrzem

Zwierząt.

-Ach tak? - wolno powiedzial tamten. - No to pokaz, ze umiesz

jezdzic, a masz prace u mnie. Jestem Put Larkin, a to moje stado. Zaplace ci konmi i doloze tego, na ktorym bedziesz jechal.

Storm wspinal sie juz na ogrodzenie. Dawno nie byl tak podekscytowany.

Larkin chwycil go za ramie.

-Hej, one wcale nie sa lagodne! Storm rozesmial sie.

-Nie? Ale musze pokazac, co jestem wart. Przechylil sie, szukajac wzrokiem ogiera, ktorego zdazyl juz przeznaczyc dla siebie.

## ROZDZIAL 2

Storm przechylil sie przez ogrodzenie i szarpnal rygiel bramy korralu w momencie, w ktorym zwierze sie do niej zblizylo. Rudo-szary kon wybiegl

klusem. Nie zdazyl poczuc, ze przez chwile byl wolny. Ziemianin skoczyl ku wahajacemu sie zwierzeciu tak szybko, ze Larkin zamrugal ze zdumienia.

Szybkie rece chwycily kasztanowa grzywe sciagajac glowe zaskoczzonego ogiera w dol, ku twarzy czlowieka. Oddech Storma polaczyl sie z oddechem rozdetych nozdrzy. Nie zwolnil uscisku czujac, ze kon usiluje stanac deba.

Zwierze stalo drzac, a rece czlowieka przesunely sie po wygiętej szyi, pogladzily nos, przykryly na moment szeroko otwarte oczy i powedrowaly dalej przez grzbiet, brzuch, nogi, az kazdy skrawek ciala mlodego konia doswiadczył spokojnej pieszczoty lagodnych, brazowych dloni.

-Masz kawalek liny? - cicho zapytal Storm. Wokol zebrala sie juz grupka gapiow. Handlarz konmi wzial od jednego z nich zwoj mocnego skorzanego powrozu i podal Mistrzowi Zwierzat. Ten przerzucil go przez grzbiet konia tworzac petle tuz za przednimi nogami, potem jednym zwinnym ruchem dosiadl go, wcisnal kolana pod petle, a dlonmi chwycil lekko za grzywe. Ogier drgnal i zarzal czujac uscisk nog jezdzca.

-Uwaga!

Na glos Storma kon obrocil sie w kolo i skoczyl do przodu. Ziemianin pochylil sie nad grzywa, ktorej ostre wlosy wiatr ciskal mu w twarz. Mruczal stare slowa, ktore kiedys, w przeszlosci zwiazaly konie z jego wlasna rasa na niezliczone lata. Pozwolil zwierzeciu biegiem wyrazic caly lek i zaskoczenie. Port gwiezdny zostal daleko za nimi. Wygladal jak sznur bialych paciorkow rozsypanych na czerwonozoltej ziemi tej planety. Sciagnal konia kolanami,

zmuszając do zwolnienia kroku, jednocześnie glosem i dotknięciem uspokajał

go, aż zwierze truchtem zawróciło do korralu.

Nie zatrzymał się jednak przy grupie oczekujących - skierował konia do drzewa o bulwiastym pniu, gdzie wylegiwała się jego drużyna. Ogier spłoszył się czując obcy i przerażający zapach dzikiego kota. Storm szepnął coś łagodnie.

Surra podniosła się i powoli podeszła do nich ciągnąc za sobą smycz. Kiedy człowiek poczuł, że kon jest blisko paniki, znowu scisnął go kolanami, zamruczał coś i siła

13

woli narzucił mu posłuszeństwo tak, jak to robił ze swoimi zwierzętami. Wtedy kot unosił przednie łapy i przysiadł na zadzie, a jego żółte oczy sięgnęły prawie

pokrytych pianą chrap. Ogier kilkakrotnie podrzucił trwożliwie głowę i nagle uspokoił się. Storm zaśmiał się.

-No, dasz mi prace? - zawołał do Larkina.

-Chłopie! - handlarz koni nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia. - Masz u mnie posadę ujeżdżacza od zaraz! Gdybym nie widział tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył. Jeśli chcesz, możesz jechać na nim aż do Krzyżówki. A to co za cudaki?

-Baku, czarny orzeł afrykański - ptak na dźwięk swojego imienia rozłożył skrzydła przesywając dumnym wzrokiem Larkina.

-Ho i Hing, meerkaty - błazńska para zadarła nosy do góry weszac ostentacyjnie.

-Wreszcie Surra, kot pustynny. Wszystkie pochodzą z Ziemi.

-Hm, koty i konie to niespecjalnie zgrane towarzystwo...

-Tak. Widziałeś ich spotkanie - odparł Storm. - Surra nie jest dzikim zwierzęciem, jest starannie wyszkolona, pracowała jako zwiadowca.

-W porządku - Larkin uśmiechnął się. - Wierzę ci na słowo, synu. W końcu jesteś Mistrzem Zwierząt. Wyruszamy dzisiaj. Masz całe wyposażenie?

-Będzie miał - Storm zawrócił konia do korralu, żeby odpoczął z resztą stada.

Widać było, że konwoj był zorganizowany przez człowieka znającego się na rzeczy. Wymagania Storma były wysokie, ale docenił to, co ujrzał po jakichś dwóch godzinach, gdy dołączył do reszty.

Ransford i Lancin towarzyszyli mu od punktu demobilizacyjnego. Chcieli najac sie jako poganiacze, by jak najszybciej wrocic do zwyklego dla nich trybu zycia. Razem z Ziemianinem kupili maly dwukolowy wozek na bagaze - mozna go bylo potem przyczepic do wozu z zywnoscia. Kiedy juz go zaladowali, meerkaty wgramolily sie na gore tobolow, aby zazyc przejazdki. Baku i Surrze pozostawiono wolny wybor sposobu podrozowania.

Storm skorzystal z rad Larkina gromadzac swoj ekwipunek. Zanim opuscil Centrum, poslusznie wymienil swoj smiercionosny rozpylacz, pochodzacy z czasow wojny, na dozwolony tu emiter promieni obezwladniajacych i noz myśliwski, jakiego uzywali osadnicy. Zmienil ubranie na bryczesy ze skory jorisow podszytej tkanina z welny

14

frawnow, mocne jak stal i prawie jak ona wytrzymale. Wlozyl wysokie buty z tego samego materialu, tyle ze podwójnej grubosci. Ciepła zielona bluza zamienil

na koszule z niebarwionej frawniej welny w kolorze srebrzystoniebieskim.

Nasladujac towarzyszy nie zawiatal jej na piersiach - czul sie dobrze w tym swobodnym stroju. Calosci dopelnial kapelusz z tradycyjnym szerokim rondem.

Przejrzal sie w lustrze i zaskoczyla go przemiana, jakiej dokonat stroj. Zreszta Larkin nie rozpoznal go, kiedy Storm dolaczyl do reszty. Ziemianin usmiechnal sie:

-Toja...

Larkin zachichotal.

-Chlopie, wygladasz jakbys sie urodzil w srodku Dorzecza! To caly twoj bagaz? Bez siodla?

-Bez siodla. - Lekki pled i prosta uzde zrobil sam. Nikt, kto widzial go na koniu, nie dziwil sie temu wyposazeniu, gdy dosiadal rudo-szarego ogiera.

Na Arzorze cywilizacja galaktyczna skupila sie wokol portu gwiezdneho, jak wokol oazy. Pozostawili budynki za soba i ruszyli naprzod w mgielce poznego popoludnia. Storm odetchnal gleboko, patrzac na odlegly lancuch gor.

Baku wzniosl sie spirala w liliowe niebo, cieszac sie z odzyskanej wolnosci.

Surra wylegiwala sie na wozku i, ziewajac, oczekiwala nadejscia swojego czasu -nocy.

Droga przeszla nagle w kamienisty trakt, ale Storm wiedzial, ze Larkin chce

jechać na przelaj przez step pasac stado szybko rosnąca trawa pory deszczowej.

Była wiosna i żółto-zielona roślinność była wciąż gęsta i delikatna. Za mniej więcej trzy miesiące pływające z gór rzeki miały wyschnąć, kobierce soczystej trawy obumrzeć, a stada czekać na jesień, gdy pora deszczowa znowu ożywi ziemię na kilka krótkich tygodni.

Kiedy wieczorem rozbili oboz, Larkin wyznaczył warty. Zmiany miały następować co cztery godziny.

-Po co warty? - spytał Ransdorfa Storm.

-Pewnie tak blisko miasta są niepotrzebne - zgodził się weteran - ale

można mieć nadzieję, że wszyscy dograli się, zanim wejdziemy na dzikie tereny. To stado to dobre sztuki, warte majątek w Dorzeczu. Niech tylko Rzeźnicy spłoszą je nam, a będą mogli wylapać mnóstwo rozproszonych po stepie zwierząt. Poza tym, niezależnie, co o tym mówi Dort Lancin, jest sporo szczepów Norbisów, którzy niekoniecznie chcą pracować, żeby zdobyć konie. Prowadzić takie stado

15

na pewno ściągniemy ich sobie na kark. No i wreszcie jorisy - to dla nich smaczny kasek - ajoris, kiedy jest podniecony, zabija więcej niż jest w stanie

pozrec. Pozwól temu śmierdzącemu jaszczurowi zbliżyć się do konia, a załatwi go w mgnieniu oka.

Surra otworzyła oczy, przeciągnęła się po kociemu i podeszła do Storma.

Przykucnąwszy spojrzał jej w oczy i określił telepatycznie niebezpieczeństwa, jakich należało się spodziewać. Wiedział, że poznała już zapach każdego człowieka i każdego konia w stadzie. Jeśli w nocy pojawi się ktoś lub coś obcego, z pewnością Surra się tym zainteresuje.

Ransford popatrzył za odchodzącym kotem.

-Wysłałeś ja na patrol?

-Tak. Nie sądzę, żeby Surra przegrała z jorisem. Ssst... - syczące

wezwanie sprowadziło Ho i Hing w krąg światła ogniska. Wspięły się po nogach Ziemiannina aż do piersi i zaczęły się czule do niego lasić.

-Po co ci one? - spytał Ransford. - Mają spore pazury, ale są zbyt małe na wojowników.

Storm pogładził siwe lby. Sierść na pyskach zwierząt była czarna, wyglądało to, jakby nosiły maski na oczach.

-Były naszymi dywersantami - odparł. - Tymi pazurami odkopywały

rzeczy, które według innych powinny być ukryte. Przynosiły też do bazy sporo lupow. To urodzeni złodzieje, ściągają wszystko do swoich legowisk. Możesz sobie wyobrazić, jak wyglądały po ich przejściu połowe instalacje wrogów...

Ransford gwizdnął.

-Ach, więc to one odcięły dopływ energii do posterunków na Saltarze i nasi chłopcy mogli się tam przedrzeć! Słuchaj, powinieneś wyruszyć z nimi do Zamkniętych Grot. Może udałoby się wam tam dostać i zdobyłbyś nagrodę rządową.

-Zamknięte Groty? - w Centrum Storm dowiedział się tyle, ile mógł o Arzorze, ale z taką nazwą na pewno się nie zetknął w archiwach Agencji Emigracyjnej.

-To jedna z tych górskich legend - wyjaśnił Ransford. - Powinieneś posłuchać, jak Quade o tym opowiada. On doskonale zna Norbisów, zawarł braterstwo krwi z jednym z ich wielkich wodzów. No i opowiadali mu o Grotach. Albo Norbisowie kiedyś byli bardziej cywilizowani, albo nie jesteśmy pierwszymi przybyszami z kosmosu, którzy wylądowali na Arzorze. Tutejsi mówią, że gdzieś w górach

16

sa miasta lub coś, co kiedyś nimi było, i że Dawni Ludzie, którzy je zbudowali, zstąpili do tych grot i zasypali za sobą wejścia. Mozgowcy z Galwadi strasznie

się tym kiedyś podniecili i wysłali w góry kilka ekspedycji. Ale w górach jest ciężko o wodę, potem wybuchła wojna i nic z tego nie wyszło. Wyznaczyli jednak nagrodę dla faceta, który je znajdzie: całych czterdzieści kwadratów i czteroletnie zezwolenie na import.

Ransford owinał się kocami i wsadził siodło pod głowę.

-No, masz o czym pomarzyć po drodze.

Storm pozwolił meerkatom wśliznąć się do swojego spiworu. Baku pozostał na brzegu dwukolki w ulubionej pozycji ptaków drapieżnych: z jedną nogą schowaną w piorach. Człowiek wiedział, że beda spokojne, chyba że wezwie je na pomoc.

Ogier, którego nazwał Krople-Deszczu-Na-Drodze z powodu ubarwienia, był jeszcze zbyt niepewny na nocną straż. Osiodłał więc drugiego z koni

wyznaczonych mu przez Larkina i wjechał bez wahania w ciemność. Przez

ostatnie lata zbyt często noc była mu schronieniem, by miał się jej obawiać.

Konczył już prawie swą wachnię, gdy odebrał bezgłosny sygnał od kota:

impuls ostry jak jego pazury. Coś zbliżało się od północnego wschodu. Ale co

czy może ktoś...? Skierował tam wierzchowca! wtedy usłyszał ryk Surry. Teraz

ostrzegala już głośno, a z obozu dobiegł głos Baku. Chwycił latarkę i w jej

świecie ujrzał przed sobą głowę gada gotowego do ataku. Joris!

Kon pod nim przysiadł i usiłował wyrwać się, rżąc z przerażenia, gdy

dobiegł ich pismowy zapach wielkiej jaszczurki, a jej ostry syk przeszył uszy.

Nic nie mogło zmusić go do zbliżenia do pokrytego łuską potwora. Storm

zeskoczył więc prosto w smugę gądziego smrodu, który niosł się z wiatrem w

kierunku stada, skąd dobiegał tetent rozbiegających się w panice koni. Skupiony

na walce, rozważał jednocześnie dziwaczność ataku. Z całą pewnością jorisy

były przebiegłymi klusownikami, atakującymi zawsze z zaskoczenia. Żaden nie

mogłby dognąć przerażonego konia. Dlaczego więc stwor podchodził stado z

wiatrem, płosząc zapachem własną kolację?

Teraz osaczony jaszczur przysiadł na zadzie i młocąc zawzięcie łapami o

wielkich pazurach usiłował dosięgnąć Surry. Był on uosobieniem brutalnej siły,

kot zaś poruszał się jak w tancu, atakował, cofał się, drażnił i prowokował,

zawsze poza zasięgiem potwornych szponów.

17

Storm gwizdnął przenikliwie, starając się przedrzeć przez syk gada. Nie musiał długo czekać. Choć noc nie była ulubioną porą polowania dla Baku,

wielki orzeł nadlatywał już, by zaprezentować swój zabończy cios. Spadł na łeb

potwora wbijając się w pazurami i bijąc skrzydłami po oczach. Jaszczur

podrzucił głowę, by chwycić intruza, ukazując na moment miękkie podgardle. Na

te chwile czekał Storm. Posłał w to miejsce pełny ładunek obezwładniający, który

zadziałał jak nagle zaciągnięty strzyk: jaszczur zacharczał, przez chwilę bił

powietrze łapami i upadł. Indianin skoczył ku niemu z nożem w ręku. Lepka krew

spłynęła mu po palcach - ten joris już na pewno nie zapoluje.

Jaszczur był martwy, lecz żył wystarczająco długo, by doprowadzić do

nieszczęścia. Gdyby zdarzyło się to kilka dni później, miałby małe szanse na

odzyskanie koni, które rozbiegły się w panice. Teraz były tak słabo

zaaklimatyzowane i tak niepewnie czuły się w nowym świecie, że jeźdźcy mieli

nadzieje, iż uda się je otoczyć, chociaż zajmie to pewnie kilka cennych dni.

Zbliżało się południe następnego dnia. Larkin podjechał do wozu z

żywnością. Był ponury i zmęczony.

-Dort! - pozdrowił weterana, który przybył chwilę wcześniej.

-Słyszałem, że gdzieś nad Talarpem jest oboz myśliwski Norbisów. Kilku, ich tropiciele bardzo by się nam przydało - zsiadł z zajęzzonego wierzchowca i z trudem podszedł do wozu. - Znasz mowę palców. Mogłbyś ich odszukać.

Powiedz wódzowi, że za pomoc dostanie ogiera albo dwie roczne klacze.

Westchnął i chciwie lyknał z podanego mu przez kucharza kubka.

-Ile koni udało się chłopcom sprowadzić? - spytał po chwili. Storm

wskazał na skłębony naprzedce korral.

-Siedem. Trzeba będzie kilka ujeździć, jeśli nie uda się odnaleźć więcej koni pod wierzch. Tych parę, które mamy, to za mało...

-Wiem! - warknął Larkin. - Nie przypuszcilibyś, że te czworonogie głupki mogą pedzić tak szybko i tak daleko, nie?

-Owszem, jeśli były spłoszone celowo. - Ziemianin czekał na efekt tych słów. Obaj mężczyźni patrzyli na niego w osłupieniu.

-Tenjoris atakował z wiatrem...

Dort Lancin chrząknął z uznaniem.

-Chłopak ma rację, Put! Można, pomyśleć, że ten gad chciał narobić takiego zamieszania.

18

Spojrzenie Larkina stwardniało, zacisnął usta. -Gdybym w to uwierzył... - reka powędrowała do emitera. Dort zaśmiał się złośliwie.

-Kogo chcesz uspic, Put? Jeśli jakiś gość to zaplanował, nie czeka tu, żebyś go złapał. Tyś go widział...

-Ja nie, ale może Norbisowie. Storm, jesteś zielony i jesteś przybyszem, ale masz głowę na karku. Pojedziesz z Dortem. Jeżeli złapiecie jeszcze jakies konie, weźcie je ze sobą. Może ten twój koci madrała je przypilnuje. Chce tu mieć Norbisa zwiadowcę, który wy-niuchalby, co to za historia z tymjorisem.

Surra z łatwością dotrzymywała kroku zmęczonym koniom. Baku szybował w gorze - czwarta, bystra para oczu. Zbliżali się do łożyska rzeki. Konie, czując



wode, przyspieszyły kroku, lawirując między kepmi bladych krzaków, na których bezlistnych galeziach zwisały niezwykle białe kwiaty wyglądające jak klebki waty. Futro Surry miało kolor tutejszej trawy i trudno było ją odróżnić od otoczenia, gdy biegła przodem, płosząc dziwaczne gryzonie zamieszkujące te uboga okolice.

Dort gwałtownie schował cugle, unosząc ostrzegawczo rękę. Storm natychmiast zatrzymał konia. Surra przypadła do ziemi, niewidoczna wśród traw, a Baku zniżył lot wydając ostry natarczywy krzyk.

-Zdaje się, że nas dostrzeżono? - spytał Storm.

-Tak, ale my nie zobaczymy Norbisa, dopóki on tego nie zechce - odparł

Dort.

-Heeej! - zawołał puszczając cugle i podnosząc obie ręce do góry, dłońmi do przodu.

Odmienność budowy krtani Norbisów uniemożliwiała porozumiewanie się z nimi za pomocą głosu. Ale wykształcono inny sposób komunikacji, który zastosował Dort. Jego palce poruszały się tak szybko, że Storm z trudnością rozróżniał poszczególne znaki. Ten, dla którego wiadomość była przeznaczona, rozumiał jednak, bo nagle zza pnia drzewa wynurzył się cień.

Storm po raz pierwszy zobaczył tubylca, nie licząc oczywiście hologramów, z którymi zapoznał się w Centrum. Były one dokładne i barwne - miały zachęcać do osiedlenia się na Pograniczu. Ale nie ma porównania między hologramem, nawet najlepszym technicznie, a rzeczywistością.

Ten Norbis był wysoki w rozumieniu ziemskim, miał dobrze po-

21

nad dwa metry, przerastał Storma o głowę. Był bardzo szczupły. Miał dwie nogi, dwie ręce, regularne, nawet ładne rysy twarzy. Skóra była czerwonożółta,

zblizona kolorem do gleby Arzoru. Był jednak jeden szczegół zwracający uwagę przybyszy od pierwszego wejrzenia - rogi. Barwy kości słoniowej, długości około piętnastu centymetrów, wyrastały z czoła wyginając się łukowato ku tyłowi nad bezwłosą czaszką.

Storm starał się na niego patrzeć i skoncentrował się na ruchach palców Dorta. Pomyślał, że musi się jak najszybciej nauczyć tego języka. Potem, zakłopotany, zaczął się przyglądać strojowi i uzbrojeniu tubylcy. Szeroki pas ze

skory jorisa tworzył rodzaj puklerza pokrywającego tułów Norbisa. Rozcięcia na biodrach umożliwiały swobodne ruchy. Na nogach miał buty z wysokimi cholewami, całkiem podobne do tych, które nosili osadnicy chroniąc się przed ciernistymi krzakami. Powyżej bioder puklerz wzmocniony był dodatkowym pasem z jaszczurczej skóry, z którego zwisało kilka sakiewek wyszywanych czerwonymi, złotymi i srebrnymi paciorkami oraz wzorzysta pochwa z nożem o długości zbliżonej do miecza. W dłoni o sześciu palcach myśliwy trzymał bron dobrze znana Stormowi. Dłuższy niż te, które dotąd widział, był to na pewno jednak luk. Ostatni element stroju pełnił jednocześnie funkcje ubrania, zbroi i ozdoby. Był to szeroki, wykonany z wygładzonych zębów jorisa kołnierz, który sięgał z boków do ramion, a z przodu zwisał prawie do pasa. Jeżeli wszystkie te zęby zdobył sam, uzbrojony jedynie w luk i noż, to z pewnością był to łowca, któremu należał się szacunek każdej myśliwskiej kompanii w galaktyce. Dort opuścił ręce na siodło i tubylec odpowiedział coś w mowie palców.

Nagle Lancin zeszywniał.

-Uważaj na kota! - krzyknął.

Norbis napiął luk z szybkością, która zadziwiła Ziemiannina.

Storm syknął wzywając Surre. Wychylna z kryjących ją traw i podbiegła do niego. Norbis nie opuszczał luku. Dort coś szalenczo sygnalizował, ale Storm miał własną metodę przekonywania. Zeskoczył z siodła. Surre podeszła i z kocią czułością zaczęła ocierać się o jego nogi. Wtedy przykleknął, a kot wspiał się przednimi łapami na ramiona swego pana i przytulił nos do jego policzka.

### ROZDZIAŁ 3

Usłyszał śpiew ptaka. Uniosł wzrok i napotkał parę zdumionych oczu o kocich, pionowych zrenicach. Tubylec odezwał się. Był to ostry świergot, głos

nie pasujący zupełnie do postury. Palce zaszygnalizowały pytanie.

-Wezwij też orła, jeśli potrafisz. Zrobiles na nim wrażenie, a to może się nam przydać.

Ziemiannin podrapał Surre za uchem i podniósł się. Rozstawił nogi i napiął kark przygotowując się na przyjęcie ciężaru ptaka. Gwizdnął. Wielki orzeł z łopotem sfrunął na ramię Storma. W bezlitosnym, południowym blasku arzorskiego słońca jego czarnogranatowe pióra lśniły metalicznie, a pas jasnożółtego puchu wokół groźnego haczykowatego dzioba wyglądał jak

namalowany farba.

-Ssst...- Na wezwanie pana obie głowy: ta pokryta sierścią i ta upierzona, obrocily sie ku nieznanomemu, a dwie pary blyszczacych, drapieznych oczu spojrzaly na niego z zainteresowaniem.

-Niezle! - powiedzial Dort z ulga. - Ale pilnuj ich, kiedy bedziemy wchodzic do obozu.

Storm skinal glowa wpatrujac sie w miejsce, gdzie jeszcze przed chwila stal tubylec. Ziemianin byl dumny ze swoich talentow zwiadowcy, potrafil stopic sie w jedno z otoczeniem, ale ten Norbis bil najlepszych na glowe.

-Oboz jest nad rzeka. - Dort zsiadl z konia. - Pojdzimy pieszo i... - wyciagnal emiter promieni obezwladniajacych i wypalil w powietrze. - Nie wchodzi sie z nabita bronia, to niegrzeczne.

I tym razem Storm zastosowal sie do rady osadnika. Baku wzecia! w gore, a Surra szla przed nimi i tylko czasem drgnienie ogona zdradzalo jej zaciekawienie otoczeniem. Czula dziwne wonie gotowanego pozywienia i jeszcze dziwniejsze zywych istot, a kiedy zblizyli sie do szczytu wzgorza, jej uszu dobiegl cichy gwar.

Oboz Norbisow nie mial regularnej zabudowy. Kopulaste namioty zbudowane byly na szkieletach z drzewa kalmowego, elastycznego, gdy mokre, ale twardego jak stal po wyschnieciu. Na takiej ramie rozpiete byly przemyslne polaczone trofea mysliwskie kazdej rodziny: blekitne futra frawnow i czerwone rzecznych gryzoni sasiadowaly ze srebrzystozoltyimi skorami j orisow.

Najwiekszy namiot byl oblamowany na dole, a u wejscia wisiala zaslona z ptasich skorek ulozonych w barwny wzor.

23

Nie widzieli ani jednej kobiety, za to przed kazdym namiotem stali mezczyzni. Starzy i mlodzi, wszyscy uzbrojeni. Zwiadowca, ktory ich spotkal,

czekal przed wzorzysta zaslona. Przybysze podeszli do tego namiotu, jak gdyby nie dostrzegajac milczacych wojownikow i zatrzymali sie przed wodzem. Storm trzymal sie o krok z tylu, przygladajac sie spod oka otoczeniu. Naliczyl okolo dwudziestu namiotow. Wiedzial, ze kazdy z nich zamieszkiwalo pietnascioro-lub wiecej Norbisow. Mezczyzna, zeniac sie, wchodzil do klanu swej zony jako mlodszy syn do czasu, kiedy doczekal sie tylu dzieci, ze mogl usamodzielnic sie

jako głowa własnej rodziny. Było to więc, jak na tutejsze warunki, średniej wielkości miasteczko. Jego totemem był Zamł, stylizowany rysunek tego drapieżnego ptaka widniał na tarczy przed siedzibą wodza.

-Storm - mruknął Dort, witając jednocześnie mowa palców niepokornych tubylców. - Przywołaj swojego ptaka. Oni są...

-Z klanu Zamła - skinął głową Ziemiańin. - Więc mój ptasi totem zrobi na nich wrażenie?

Znowu gwizdnął, wzywając Baku, i napiął mięśnie w przygotowaniu jego ładowania. Tym razem jednak nadlatujący orzeł nie przysiadł na jego ramieniu, ale nagle wydał okrzyk wojenny, załopotał skrzydłami i, podając tułów ku tyłowi, wyciągnął szpony w kierunku namiotu, jak gdyby ta budowla ze skóry i futra była nieprzyjacielem. Storm rzucił się do przodu. Baku siadł na ziemi i przechadzał się teraz gniewnie przed wodzem Norbisów z na wpol rozłożonymi skrzydłami. Co mogło go tak rozdrażnić? Nagle, od namiotu oderwała się zielona błyskawica i pomknęła ku ptakowi. Na szczęście, Storm był szybszy i złapał za nogi orła, zanim ten zdążył uderzyć na napastnika. Baku skrzeczał i bił skrzydłami, ale człowiek trzymał z całej siły, starając się jednocześnie narzucić zwierzęciu telepaty cznie swoją wolę. Wódz Norbisów toczył podobny pojedynek ze swoim pierzastym wojownikiem. Wreszcie któryś z tubylców zarzucił małą sieć na rozwścieczonego Zamła i, związanego, ukrył we wnętrzu namiotu. Baku uspokoił się i Storm umieścił go na grzbiecie konia przymocowując tak, aby ptak nie mógł się sam uwolnić.

Cieżko dysząc odwrócił się i zobaczył, że wódz stoi obok, przyglądając się Baku. Tubylec poruszył palcami.

-Krotąg pyta, czy ten ptak jest twoim totemem - przetłumaczył Dort.

24

-Tak - Storm kiwnął głową w nadziei, że ten gest znaczy na | Arzorze to samo, co na Ziemi.

I - Storm! - W głosie Dorta slychac bylo skrywane podniecenie.

-Mozesz pokazac im jakas blizne? To wazne. Udowodnilbys im, ze jestes prawdziwym wojownikiem. Moze nawet wodz uznalby cie za rownego sobie.

Jezeli to mialo pomoc... Ziemiańin szarpnął za troczek bluzy i obnażył nieregularną białawą bliznę na lewym ramieniu. Była to pamiątka po spotkaniu z pewnym zbyt czujnym wartownikiem na planecie, której słońce było na

niebosklonie Arzoru ledwie widoczna gwiazdka.

-Jestem wojownikiem, a moj wojenny totem uratowal mi zycie.

-Mowil wprost do wodza, jak gdyby tamten mogl go zrozumiec. Norbis

odpowiedzial w swojej swiergoczacej mowie i poruszył rekami. Dort wyszczerzył zęby.

-Udalo ci sie, chlopie. Uwierzili ci i chca nas przyjac jak przyjaciol.

Krotag przyslal im pieciu tropicieli. Larkin byl zachwycony, chociaz bylo jasne, ze tubylcy uwazaja sploszenie stada za dar bogow:

Wysokich-Ktorzy-Ciskaja-Pioruny-w-Gorach. Dzieki nim ich szczep wzbogaci sie w konie.

Pracowali teraz w parach z Norbisami, wyszukujac zagubione konie.

Sugestia Storma potwierdzila sie. Chociaz nawet tropiciele nie znalezli sladow jezdzcow, bylo jasne, ze konie dzielono na male grupy, a nastepnie ukrywano w jarach i wawozach. Brak danych dla ustalenia, kto byl sprawca paniki, byl zreszta tak zupelny, ze slyszalo sie pogloski, jakoby mieli sie za tym kryc ludzie Krotaga. Mogli ukryc wierzchowce, zeby teraz ich dzielnie poszukiwac, za co czekala ich nagroda w postaci ogiera i trzech czy czterech klaczy z chorymi kopytami, ktore obiecal im Larkin.

Dzien lub dwa pozniej Storm zastanawial sie nad tym, jadac w chmurze rudego pyłu wzbitego kopytami grupki zwierząt, ktora pomagal odstawic do punktu zbiorki. Chuste, ktora mial na szyi, naciagnal na nos i usta, chroniac je przed kurzem. W dali ujrzal jezdzca. Poznal go po bialym wierzchowcu - byl to Coli Bister. Storm winien byl mu wdziecznosc, bo to wlasnie on odnalazl Deszcza, konia, na ktorym Ziemianin teraz jechal. Ale byly komandos nie czul do niego sympatii. Bister nalezal do grupy, ktora otwarcie

25

wystepowala przeciwko Norbisom, a poza tym widac bylo, ze jest wrogo nastawiony do Storma z nieznanym temu ostatniemu powodow.

W obozie Ziemianin trzymal sie zwykle na uboczu, korzystajac z wymowki, jaka byly jego zwierzeta. Mimo to zostal zaakceptowany latwiej, niz mogl tego oczekiwac jako przybysz. Zawdzieczal to w znacznej mierze swojej umiejtnosci obchodzenia sie z konmi. Larkin zlecil mu ujezdzanie dodatkowych wierzchowcow, ktore mialy zastapic konie robocze utracone po ataku jorisa, i

zazwyczaj ci, którzy nie wyjeżdżali akurat na poszukiwania, zbierali się, aby popatrzeć, jak je oblaskawia.

Gdyby tylko chciał, łatwo zdobyłby uprzywilejowaną pozycję. Jego szczególne uzdolnienia, zrównowagowanie, rzetelność, z jaką wykonywał wraz z nimi nudne zajęcia, były cechami, które poganiacze doceniali. Akceptowali jego powściągliwość, która podczas pobytu w Centrum wzrosła do tego stopnia, że zamknął się w sobie jak w skorupie. Dla ludzi z Pogranicza starożytna planeta, z której pochodzili, była egzotyczną tajemnicą. To, że Ziemia już nie istniała, było tragedią i nie dziwiło nikogo, że Ziemianin bardzo to przeżywa. Śmierć rodzinnego świata przydawała Stormowi w oczach Arzorzan majestatu wygnanca. Jedynie z Larkinem i Dortem Lancinem łączyło go coś więcej niż wspólna praca na szlaku. Dort uczył go mowy palców i wszystkiego, czego zdołał dowiedzieć się od Norbisów. W stosunku do Ziemianina był wręcz zaborczy, jak nauczyciel wobec zdolnego ucznia. Z Larkinem zaś łączyły Storma konie, temat, na który obydwaj mogli godzinami mówić przy nocnym ognisku. Tych dwóch poznał i trochę polubił, nie stac go było teraz na silniejszą więź. Ale Bister zaczął być problemem i to problemem, przed którym Storm nie chciał stanąć. Nie, żeby bał się walki, gdyby tamten posunął swą niechęć aż tak daleko. Bister był potężnym mężczyzną o niewatpliwie ciężkiej ręce, ale w czystej walce, pomimo że waga ani wzrostem mu nie dorównywał, Storm był pewien zwycięstwa. W czystej walce - obliznął zakurzone wargi - dlaczego mu to przyszło do głowy? I dlaczego właśnie teraz tak się przejął na widok oczekującego go Bistera. Choć nigdy nie sprowokował bojki, nigdy też nie unikał kłopotów, jeżeli trzeba było stanąć z nimi twarzą w twarz. Dlaczego więc nie chciał uporać się z problemem, jakim, wcześniej czy później, stanie się ten typ?

26

Inny jeździec zrównał się z Deszczem i zółtawą dłoń uniosła się w pozdrowieniu. Norbis też naciągnął chustę na dolną część twarzy, ale Ziemianin

rozpoznał Gorgola, najmłodszego z tropicieli. r - Dużo kurzu - tubylec

sygnalizował powoli do początkującego w nauce Storma. - Droga sucha.

-Chmury... nad gorami... idzie deszcz? - nadal Ziemianin. Norbis

spojrzał przez ramie na czerwone niebo.

-Idzie deszcz... potem błoto...

Storm wiedział, że Larkin bał się błota. Deszcz, a raczej cieżkie, | wiosenne

ulewy mogły z dnia na dzień zamienić śnieg w niebezpieczne | trzesawisko.

| - Ty wojownik z totemem ptaka - to było stwierdzenie, nie pytanie.

Młodzieniec jechał z naturalną gracją. Dostosowywał krok swojego

niedużego, czarno-białego wierzchowca do kroku konia Storma, aż cwałowali

obok siebie, równo, jak na paradzie.

Ziemianin kiwnął głową. Gorgol sięgnął lewą ręką do rzemyka na szyi, na

którym wisiały dwa zakrzywione, czarne i błyszczące przedmioty. W postawie

tubylcy była jakaś niesmiałość i zaniepokojenie, kiedy podniósł znowu rękę, aby

nadać:

-Ja jeszcze nie wojownik... tylko myśliwy... byłem w wysokich górach...

zabiłem złego lotnika...

Storm w odpowiedzi zadał stosowne pytanie:

-Zły lotnik?... Ja przybysz... nie wiem, co to zły lotnik...

-Wielki! - Palce Norbisa rozpostarły się w geście oznaczającym coś

ogromnego. - Ptak... zły ptak... poluje na konie... poluje na Norbisów... zabija!

-Palec wskazujący i kciuk przecięły powietrze ruchem oznaczającym nagłą i

gwałtowną śmierć, a potem podniosły się znowu do zawieszonych na szyi

trofeów.

Storm wyciągnął rękę w geście uprzejmego zapytania, a chłopiec zdjął

naszyjnik i podał go przybyszowi. Przedmioty zawieszane na rzemyku były

ptasimi pazurami. Porównując je ze szponami Baku, Storm stwierdził, że nieznanego

zwierzę musiało być rzeczywiście ogromne, bo każdy pazur był długości jego

dłoni, od nadgarstka do końca środkowego palca. Zwrocił wisior dumnemu

właścicielowi.

-Ty wielki myśliwy - Storm energicznie skinął głową dla podkreślenia

tego, co sygnalizował. - Pewnie trudno zabić złego lotnika...

Twarz Gorgola była ukryta, ale całym sobą pokazywał, że te słowa sprawiły

mu przyjemność.

27

-Zabiłem... czyn mężczyzny... jeszcze nie wojownik... ale myśliwy - tak... Storm pomyślał, że chłopiec ma prawo się chwalić. Jeżeli rzeczywiście zabił tego

potwora polując samotnie, a Ziemianin dowiedział się już o zwyczajach Norbisów

wystarczająco wiele, żeby wiedzieć, że czcze przechwalki nie leżały w ich naturze, to miał

pełne prawo nazywać siebie myśliwym.

-Ty hodowca frawnow?... - ciągnął Norbis.

-Nie... nie mam ziemi... ani stada...

-Ty myśliwy... zabijasz złego lotnika... zabijasz jorisa... sprzedajesz skóry...

-Ja przybysz...- Storm nadawał pomalutką, bo porwał się na wyrażenie bardziej złożonych myśli. - Norbisowie polują na ziemi Norbisów... Przybysze tak nie polują...

Prawo łowieckie było jednym z niewielu ściśle przestrzeganych praw ustanowionych przez swobodnie zawiązany rząd Arzoru. Uprzedzono go o tym już w Centrum i ponownie w porcie gwiazdowym. Chroniło ono Norbisów. Hodowcy mogli zabijać jorisy lub inne stworzenia drapieżne atakujące stado, ale polowania na zwierzęta zamieszkujące góry lub tereny zajmowane przez tubylców były zakazane.

Gorgol sprzeciwił się:

-Ty wojownik z totemem ptaka... ptak totem ludu Krotaga... ty polujesz na ziemi Krotaga... nikt nie mówi nie...

Cos drgnęło w Stormie. Jakies uczucie, umarłe od dnia, kiedy wrócił z trzymiesięcznego, ryzykownego wypadu poza linie wroga i odkrył, że jest bezdomny. Poruszył się niespokojnie na koniu. Deszcz parsknął nerwowo, jak gdyby poczuł to samo. Ziemianin walczył ze sobą, że swoją reakcją na życzliwą propozycję chłopaka, ale twarz jego pozostała nieporuszona.

-Cos późno dzisiaj - ochryply od kurzu głos Bistera podrażnił nie tylko uszy.

Storm czuł go wszystkimi, przebudzonymi właśnie nerwami.

-Pedzicie niezłą gromadkę. Pewno ten koziol zaprowadził cię tam, gdzie je sam przedtem pięknie zapuszkował, co? - Wrogość w jego głosie była nowym bodźcem dla przemiany, która zachodziła w Stormie. Nie lubił Bistera i nie miał zamiaru dłużej znosić jego złośliwości. Musi mu dać nauczkę. Nie wiedział, że oczy, zwykle lepiej kontrolowane, tym razem go zdradziły. Co! Bister był bardziej wyczulony na drobniaki, niż na to wyglądał.

28

Osadnik schylił się i splunął. -A może nie wierzysz, że te kozły mają tyle oleju w głowach, żeby to sobie zaplanować?

Storm słuchał jednym uchem, obserwując z uwagą leniwą, wahadłowy ruch prawej ręki Bistera. Wokół nadgarstka owinięty był długi harap ze skóry jorisa.

-Nie znaleźlibyśmy polowy koni, gdyby nie ludzie Krotaga. Storm siedział na koniu



swobodnie, z rekami daleko od broni". Czul jednak, co wisi w powietrzu, i wiedzial, co robic.

Rozhustane ramie wznioslo sie w momencie, kiedy mijal ich ostatni z pedzonych koni.

Byc moze, Bister chcial popedzic strudzonego roczniaka, ale Storm w to nie wierzył.

Naglym scisnieciem kolan poderwal konia do przodu i bicz, zamiast spasc na nagie udo

Gorgola, ze swistem chlasnal w skorzana nogawice Ziemianina. Napastnik nie byl na to

przygotowany. Nie byl tez przygotowany na uderzenie, jakie otrzymal w odwecie. Wielki

mezczyzna zwalil sie na ziemie z reka zdretwiala do lokcia. Z rykiem wscieklosci poderwal

sie na nogi tylko po to, zeby runac znowu pod ciosem otwartej dloni. Storm przemyslal

swoja strategie z wyprzedzeniem. Ale ku jego zaskoczeniu Bister nie zaatakowal ponownie.

Stal dyszac ciezko, twarz mial purpurowa z gniewu.

-Jeszcze nie skonczyliśmy - splunal - Slyszałem o was, komandosach. Potraficie

zabic czlowieka golymi rekami. Dobra. Poczekaj, az bedziemy w Krzyzowce, wtedy

zobaczmy, jak sobie poradzisz w walce na emitery! Nie skonczylem jeszcze z toba... ani z

twoimi kozimi kumplami!

Storm byl zdumiony i zbity z tropu. Nagly odwrot Bistera nie pasowal do tego, co o

nim dotychczas myslal. Te grozby nie byly na pewno rzucane na wiatr. Patrzac w ciemne z

wscieklosci oczy osadnika, Ziemianin zastanawial sie, czy to mozliwe, zeby go tak

nieprawidlowo ocenil. Ten czlowiek w zadnym razie sie nie bal, byl pewny siebie i pelen

nienawisci! Dlaczego wiec nie chcial walczyć? Obserwowal, jak tamten gramoli sie na

siodlo. Pozwoli mu wykonac nastepny ruch - moze dowie sie czegos o stawce gry?

-Pamietaj - powtorzył Bister kryjac kwadratowa twarz pod chusta - nie

skonczyliśmy jeszcze...

Storm wzruszył ramionami. Z pewnoscia bedzie na niego uwazal, ale Bister nie musi o

tym wiedziec.

-Idz swoja droga - odparl krotko. Ja pojde swoja. Nie szukam klopotow.

29

Kiedy tamten odjechal, odwrocil sie do Gorgola. Chlopak zrownal sie z nim i zadal pytanie:

-On zaczal, ale nie walczył... dlaczego?

-Tyle wiem, co ty. - Mruknal Storm i nadal: - Ja nie wiem... ale on nie

lubi Norbisow... - Sadzil, ze ostrzezenie moze zaoszczedzic chlopcu klopotow w

przyszlosci.

-To wiemy... myśli, my kradniemy konie... ukrywamy, a potem

znajdujemy dla Larkina... Moze to dobre dla Nitra... dla dzikich ludzi ze

Szczytow... nie dla ludu Krotaga... Mamy uklad z Larkinem... dotrzynamy ukladu...

-Ktos napuscil jorisa i ukryl konie - zauwazyl Storm.

-To prawda. Moze bandyci. Duzo bandytow w gorach. Nie Norbisowie, ale najezdzaja nasze ziemie. Norbisowie walczą... zabijaja.

Gorgol pogнал konia za znikajacym stadem, a Ziemianin z wolna podazyl za nim. Mial swoje powody, dla ktorych przylecial na Arzor i wyruszył w region Dorzecza. Na pewno nie mial ochoty mieszac sie do cudzych sporow. Panika w stadzie po prostu przytrafila sie i Storm nie mogl nie pomoc handlarzowi, ale nie chcial wdawac sie w dalsza kłotnie z Bisterem ani walki miedzy osadnikami a Norbisami.

Deszcz, ktorego sie obawiali, lunal wreszcie wieczorem przy akompaniamencie piorunow. Po nawałnicy przyszla kolej na uciążliwa, długotrwała ulewe. Jezdzy nie mieli teraz czasu na myslenie o czymkolwiek poza trudami dalszej drogi.

Surra wczolgala sie pod plandekę wozu do meerkatow i powar-kiwala niechętnie przy kazdej propozycji wystawienia nosa na mokry swiat. Nawet Baku wyszukal sobie schronienie. Wciskajaca sie wszedzie wilgoc byla czymś, czego zwierzeta nigdy przedtem nie doswiadczyly i czym byly wyraznie oburzone.

Storm czul zreszta to samo, gdy grzeznac po kostki w błocie, wzmacnial niepewne odcinki drogi galeziami i trawa lub wjezdzał w burzliwe wody rzeki, zeby przeprowadzic luzaki wzdluz lin, ktorymi Norbisowie zaznaczyli watplivej jakosci brod.

Pod koniec drugiego dnia deszczu byl juz pewien, ze nie prze-szliby nawet mili bez pomocy tutejszych tropicieli. Błoto nie sprawialo klopotow zylastym, muskularnym koniom tubylcow, chociaz

30

stale chwytalo w pulapke zwierzeta przybyszow. Norbisowie rowniez nie zdradzali zadnych oznak zmeczenia, zawsze gotowi zakrzatnac sie, zeby

nareczami galezi wypelnic niebezpieczne doly.

Na szczescie, trzeciego dnia zaczelo sie przejasniac. Mowiono, ze do miasta sa jeszcze tylko dwa dni drogi. Te wiadomosc wszyscy przywitali z ulga.

Ziemia chłonęła wodę jak gąbka. W ciepłych promieniach słońca pokryła się roślinnością, której bujność zaskoczyła Storma. Trzeba było ograniczać czas

wypasu koni, a Ziemię musiał zwrócić baczniejszą uwagę na Ho i Hing, które z zapamiętaniem rozkopywały miękki grunt. Trudno było uwierzyć, że za sześć tygodni ta kwitnąca okolica zamieni się ponownie w pustynię.

-Pięknie, co? - Dort podjechał do stojącego na niewielkim pagorku

Storma. U ich stóp ścielil się zielonożółty kobierzec traw usiany białymi, złotymi i purpurowymi kwiatami. - Ale poczekaj miesiąc i... - pstryknął palcami -

wszystko uschnie. Piach, skały, trochę ciernistych krzaków i tyle. To najszybciej zmieniająca się okolica, jaka widziałeś!

-Ale w Dorzeczu chyba pastwiska nie wysychają tak szybko? Czy też cały czas musicie przeganiać stada?

-Nie. Trochę wody i ta ziemia urodzi ci, co zechcesz. W Dorzeczu mamy wodę przez cały rok, a i trawa jest inna - z długimi, mocnymi korzeniami. Tedy możesz przepędzać stada wiosną i jesienią, ale nie da się ich tu wypaszać. Frawny to zarłoki, potrzebują dużej przestrzeni. Mój tata ma siedemdziesiąt kwadratów i trzyma na nich około dwóch tysięcy sztuk przez cały rok.

-Urodziłeś się na Arzorze, Dort? - Storm po raz pierwszy zadał osobiste pytanie.

-Pewnie! Wtedy mój tata miał małe gospodarstwo niedaleko Quipawa. On też się tu urodził. Pochodzimy z Pierwszego Statku - dodał z dumą. - Jesteśmy tu od trzech pokoleń i teraz nasza rodzina ma już pięć posiadłości: mojego taty, mojego brata i moją, mojej siostry i jej męża w okolicy połwyspu, wujka Waggera i jego dwóch synów - oni mają własne: Borggy i Szczeliny na stokach Cormbal.

-Milo tu wracać, co? - wzrok Storma pobiegł ku gorom, które przyciągały go, odkąd je ujrzał po raz pierwszy.

-Tak. - Dort zerknął na Storma i szybko odwrócił wzrok. - Tu jest dobrze... przestronnie. Można tu swobodnie odetchnąć. Kiedy byłem w armii na Grambage i Trzeciej Wilka i jeszcze na kilku innych planetach, gdzie jest tak strasznie ciasno, to pomyślałem sobie, że nie mogłbym tak żyć.

domu...

-Tak, znalazem... kiedys. Mialo inne barwy, ale byly tam gory i pustynia, krotkie wiosny przechodzace w gorace, suche lata, otwarta przestrzen...

-To nie byla wojna... to byla zwykla zbrodnia! - twarz Dorta poczerwieniala, a oczy blyszczaly w bezsilnym gniewie. Storm wzruszyl ramionami.

-Stalo sie. - Puscil wodze i kon wolno ruszyl w dol.

-Sluchaj no, - Dort znow go dogonil - slyszales o tym, ze weteranom daja ziemie?

-Tak, mowili mi - dziesiec kwadratow na osadnika.

-Dla Ziemianina dwadziescia - poprawil go Lancin. - Wiesz co? Moj brat i ja mamy ladny kawalek ziemi na wschodnim brzegu Staffy, a za nim ciagna sie az do wzgorz Paszo tereny niczyje. Jesli nie zamierzasz pracowac dluzej u Larkina, pojedz ze mna i rozejrzyj sie tam. To niezla okolica. Moze troche sucha na krancach, ale Staffa nie wysycha nawet w czasie upalow. Moglbys wziac swoje dwadziescia kwadratow gdzies kolo Szczytow. Quade ma tam kawalek ziemi...

-Brad Quade? - przerwal Storm. - Sadzilem, ze w Dorzeczu...

-Tak, tam ma duza posiadlosc. Jego rodzina tez pochodzi z Pierwszego Statku, chociaz on sam zaczepil sie w Sekcji Badawczej i pare razy opuszczal Arzor. Sprowadzil konie i probowal hodowac owce z Ziemi, ale juz pierwszego roku zlapaly jakas zaraze i padly. W kazdym razie gospodarstwo pod Szczytami kupil dla syna...

-Syna? - ciemna twarz Storma pozostala bez wyrazu, ale zaczal sluchac bardzo uwaznie.

-Tak. Logan to jeszcze dzieciak, ale jakos nie moga sie dogadac. Chlopak nie cierpi wypasu i ciagle urywa sie gdzies z Norbisami. W tropieniu jest tak dobry, jak oni. Probowal sie zaciagnac do armii, ale wysmiali go, bo byl za mlody. No wiec jakies dwa lata temu Brad dal mu ten dziki kawalek ziemi, zeby sie na nim sprawdzil. Nie wiem, jak mu sie teraz powodzi - Dort zasmial sie. - Kiedysmy sobie wojowali, nowiny z domu nie docieraly tak szybko.

-Hej! - krzyknal do nich Larkin. - Wy dwaj! Okrazcie je, zatrzymamy sie tu na noc!

Storm ruszył w prawo, a Dort w lewo. Postój tutaj oznaczał, że do Krzyżowki dotra dopiero jutro późnym popołudniem. Larkin chciał, żeby konie

wypoczęły przed aukcją. Więc Brad Quade miał syna. To zmieniało trochę plany Ziemiannina. Zamierzał przedtem stanąć naprzeciw Quade'a tam, gdzie go spotka, i zakończyć sprawę. Nadal chciał go odnaleźć, oczywiście, ale dlaczego miał dla niego znaczenie fakt, że jego wrog ma rodzinę? Zostawił to pytanie bez odpowiedzi.

Jak zwykle, sprawnie wypełniał swe obowiązki, rad, że ma się czym zająć.

Reszta była w świątecznym nastroju. Nawet Norbiso-wie świętowali coś między sobą i nie zamierzali opuszczać obozu, chociaż otrzymali już zapłatę. Tutaj grupa miała się rozdzielić. Weterani, którzy przyłączyli się w porcie kosmicznym na czas podróży, mogli wyruszyć do swych gospodarstw albo szukać pracy u wielkich posiadaczy, którzy przybyli na aukcję, będąc nieformalnym punktem zatrudnienia. Wielki śpód odbywał się dwa razy do roku i przerywając monotonię codziennych zajęć był jednocześnie okazją do załatwienia interesów, jarmarkiem -rodzajem karnawalu, na który zjeżdżała się cała okolica.

-Storm - Larkin usiadł przy ognisku obok Ziemiannina. Meer-katy mocowały się ze sobą, a Surra leniwie lizła łapy. - Zamierzasz osiedzić gdzieś na stałe? Masz prawo do ładnego kawałka ziemi.

-Jeszcze nie. Dort opowiadał o okolicach nad Stana, gdzieś pod Szczytami. Chyba wybiore się, żeby je obejrzeć. - "Wymowka tak samo dobra jak każda inna" - pomyślał ze znużeniem.

Larkin rozpromienił się.

-Tak, to dobre tereny. Sam o nich ostatnio myślałem. Zarobilem trochę na tych koniach, ale to nie jest interes na dłuższą metę. Pewnie, można na Argol kupić takie jak te albo inne, ale one są za delikatne na tutejsze warunki, ziemianskiej odmiany już nie ma, więc wymyśliłem coś. Założę hodowlę - wezmę kilka tych, które przygnaliśmy, kilka tutejszych, z co najmniej drugiego pokolenia urodzonego na Arzorze i jeszcze kilka od Norbisów. Skrzyżuje je i spróbuje stworzyć nową odmianę, która będzie potrzebowała mniej wody, mniej paszy i nie padnie po całym dniu klusowania za stadem. Ty, synu, masz rękę do zwierząt. Pojedź tam i rozejrzyj się. Gdybys chciał zająć się tym razem ze mną,

znajdziesz mnie tu na jesiennej aukcji.

Jeszcze jedna proba skruszenia muru, który Storm zbudował wokół siebie.

To był już trzecia propozycja, którą otrzymał ostatnio:

34

najpierw od Gorgola, potem od Dorta i wreszcie od Larkina. Poruszył się lekko i odparł wymijająco, jak niejednokrotnie czynił w Centrum:

-Najpierw obejrzy ziemie, Larkin. Pogadamy jesienią.

Ale do tego czasu powinien spotkać Quade'a. A może i jego syna.

Trochę, żeby uciec od własnych myśli, zgodził się pojechać wieczorem do

Krzyżówki. Zostawił swoją drużynę w obozie, a sam ruszył z Lancinem i

Ransfordem.

Miasto było zupełnie niepodobne do tych, które widywał. Miało około stu

ziemskich lat, ale była w nim jakas surowa świeżość. Pomiedzy trwającymi

tygodniami aukcjami Krzyżówka Irrawady przypominała miasto-widmo, chociaż

była jedyną osadą na obszarze kilkunastu tysięcy kwadratów. Dzisiaj wrzała i

tętniła życiem. Daleko odbiegała zarówno od spokojnych miasteczek, jakie

Storm pamiętał z Ziemi, jak i od surowego, zdyscyplinowanego Centrum.

Ledwo zdążyli uwiązać konie, od razu trafili na zakończenie jakiegoś sporu.

Dwaj mężczyźni wyciągnęli jednocześnie emitery i padli nieprzytomni na ziemię.

Nieco dalej grupka ciekawskich obserwowała z zainteresowaniem dyskusję

prowadzoną przez dwóch młodzieńców za pomocą pistoletów.

-Chłopcy się niezłe bawią, co? - roześmiał się Dort.

-Czy ktoś próbował tu kiedyś załadować emitery nabojami do rozpylacza?

-spytał Storm.

-Pewnie - łodowato odparł Ransford. - Bandyci. Ale żaden facet, który

tak zrobi, nie żyje długo. Nie trzymamy z mordercami. Jeśli chłopcy chcą

postrzelać z emitery, będzie ich potem tylko cholernie bolała głowa. Jeśli chcą

komuś pistoletem poprawić urodę - ich sprawa. O rozpylaczach nie ma mowy!

-Kiedyś jacyś poganiacze użyli ich w jakiejś rozprawie z Norbi-sami -

wtrącił Dort. - Wyglądało to okropnie, a zwycięzcy wyladowali w Istabu u

psycholii. Pewnie, jeśli Norbis wyzwie wojownika, to walczy na śmierć i życie,

ale takie są ich zwyczaje, a nam nie wolno się do nich wtrącać.

Ransford skinął głową.

-Wojna plemienna to dla nich rodzaj religii. Zeby moc sie ozenic albo

zabrac glos na radzie szczepu, chlopak musi zostac ranny w walce. Maja ustalony system punktow, ktore musi zdobyc mezczyzna, zanim bedzie go mozna wybrac wodzem - strasznie to wszystko skomplikowane. Hej, chlopie, uwazaj!

35

Jakis czlowiek zatoczył sie na Dorta, nieomal zwalajac go z nog. Lancin odepchnal go lagodnie, ale tamten obrocił sie szybko, juz bez zaburzen

rownowagi, ktore prezentowal przed chwila, i wyciagnal emiter, kierujac go nie w strone zaskoczonego Dorta, ale prosto w Storma. Komandos poruszal sie teraz z wycwiczona precyzja. Uderzyl w nadgarstek przeciwnika wytracajac mu bron, zanim palec tamtego nacisnal spust. Ale napastnik nie mial zamiaru sie poddac i rzucil sie do przodu, gdzie trafil na cios o sile traby powietrznej. Padl na ziemie, zanim ktokolwiek zdazyl sie zorientowac, ze cos sie dzieje.

Storm, oddychajac nieco szybciej, stal nad nieprzytomnym nieznanym.

Zastanawial sie, czy tutejsze obyczaje nakazuja zajac sie swym niedawnym przeciwnikiem, czy tez powinien zostawic go tam, gdzie upadl. W koncu chwycil go pod pachy i z trudem przeciagnal duze, bezwladne cialo pod sciane pobliskiego budynku. Kiedy sie wyprostowal, ujrzal w mroku oddalajaca sie szybko ciemna sylwetke. W swietle padajacym z kafejki rozpozнал Bistera. Czyzby napastnik zostal naslany przez niego? Ale dlaczego Coli Bister sam nie zmierzyl sie ze Stormem?

-Na Wielkie Rogi! - zachwycil sie Dort. - Jak to zrobiles? Wygladalo, jakbys go klepnal, a on padl jak rzoney piorunem! A ty nawet nie wyciagnales emitera!

-Szybko i dobrze - skomentowal Ransdorf. - Komandos?

-Tak.

Ransdorf nie dzielal entuzjazmu Dorta.

-Uwazaj, chlopie - ostrzegł. - Pokaz, jaki z ciebie twardziel, a zaraz znajdzie sie mnostwo chetnych, zeby cie zmiekczy. Moze i nie uzywamy rozpylaczy, ale zbierzesz niezle baty, jak rzuca sie na ciebie cala zgraja. I nie pomoga ci twoje piesci...

-Widziales kiedys, zeby chlopak szukal zaczepki? - zaprotestowal Dort.

-To najspokojniejszy facet w obozie! A swoja droga, dlaczego skoczyles na tego

typa, Storm?

-Jego oczy - odparł krótko Ziemianin. - Chciał prawdziwej walki.

-Za szybko wyciągnął emiter, Dort - przytaknął Ransdorf - i celował w niego. Rwał się do bojk. Tylko nie stawiaj się, jeśli nie musisz, Storm.

-No, zostaw go już w spokoju, Ranny. Czy on kiedyś tknął kogo palcem?

36

Ransdorf zachichotał. -No, tego faceta to tknął raczej cała dłoń. Chce go tylko ostrzec. Dzisiaj będzie tu gorąco, a ty jesteś przybyszem, Storm. Jest tu sporo chłopaków, którzy chętnie dołożyliby nowemu.

Storm uśmiechnął się.

-Do tego jestem przyzwyczajony. Ale dzięki, Ransdorf, będę uważał.

Nigdy nie bije się dla zabawy.

-No właśnie. Może byliby lepiej, gdybyś to robił. Jeśli zostawi się ciębie w spokoju, to jesteś łagodny jak ten twój kociak. Ale nie sądzę, żeby on miał być miły dla kogoś, kto mu przypadkiem nadeprnie na ogon. No i mamy Zgromadzenie. Zobaczymy, kto już jest w mieście?

Z uchylonych drzwi bił blask światła i dobiegał gwar. Budynek był jednocześnie barem, teatrem, klubem i giełdą. Można tu było spotkać najbardziej szacownych mieszkańców Krzywki oraz przyjezdnych, przybyłych na aukcje. Kiedy przekroczyli próg, uderzył ich harmider, blask oraz wymieszane zapachy potraw, alkoholu, koni i spoconych ludzi. Nie było tu niczego, co mogłoby zainteresować Storma, i gdyby był sam, wróciłby do obozu. Ale Dort już przepychał się przez tłum w stronę stołu, przy którym grano w Kor-sal-slam, żadnego sprawdzenia swego szczęścia w grze, która w ciągu dwóch ostatnich lat podbiła wszystkie światy Konfederacji.

-Ransdorf! Kiedy wróciles?

Brunatna dłoń opadła na ramię weterana, obracając go w kierunku rozmowcy. Storm ujrzał nagle, że wokół nadgarstka o skórze równie ciemnej jak jego własna... Nie dał po sobie poznać, jak jest poruszony. Było tylko jedno miejsce, z którego mogła pochodzić ta ozdoba. Ketch - bransoleta wojownika wykonana ze starego luku Nawajów. Skąd wzięła się tutaj, na ręce osadnika? Nie zdając sobie z tego sprawy, przyjął postawę obronną. Rozstawiając nogi balansował cieżarem ciała, podczas gdy wzrok wędrował ku twarzy



nieznajomego. Ten odsunął się nieco od Ransdorfa, więc Storm cofnął się pod ścianę nie chcąc być przez niego widzianym.

Twarz osadnika była równie ciemna jak jego dłonie, ogorzała od słońca i wiatru. Nie był Nawajem. Choć włosy miał tak samo czarne jak Storm, nie miał indyjskich rysów. Była to wyrazista, sympatyczna twarz, z szerokimi ustami, wokół których rysowały się

37

zmarszczki spotykane u ludzi lubiących się śmiać. Spod gestych brwi patrzyły niebieskie oczy.

Storm był na tyle blisko, że ułyszał powitanie Ransdorfa:

-Quade!

Weteran chwycił spoczywającą na jego ramieniu dłoń i potrząsnął nią serdecznie.

-Właśnie przyjechałem. Pedziłem z Portu stado Larkina. Wiesz, Brad, ma on tam kilka niezłych ogierów.

Szerokie usta tamtego rozchyliły się w uśmiechu.

-To ci nowiny, Ranny. Ale cieszymy się, że wróciłeś, chłopie, i to w dodatku w jednym kawalku. Dochodziły tu złe wieści o tym, co się tam działo pod koniec.

-Nasz oddział wyruszył za późno. Mielismy tylko jedną dużą bitwę i kilka potyczek. Słuchaj, Brad, chciałbym, żebyś poznał...

Storm cofnął się szybko i tłum wchodzących mężczyzn ukrył go przed wzrokiem Ransdorfa. Choć raz jego niski wzrost przydał się na coś.

-Dziwne... - w głosie weterana słychać było zdumienie. - Przecież stał tu za mną. To przybysz, dobry chłopak. Pracował przy stadzie Larkina, a jak on sobie radzi z koniami! To Ziemiańcin...

-Ziemiańcin? - powtórzył Quade poważnie. - Ci przekleci Xikowie!

-Zaklął potem kwieciste używając zwrotów nie znanych Stormowi. Każdy ze światów tworzył własne przekleństwa. - Mam tylko nadzieję, że bandziory, które to zrobiły, też usmażyły się jak frytki. Ten chłopak - musimy mu pomóc.

Zobaczmy... facet, który zna się na koniach to skarb. Słyszałem, że wybierasz się do Vakind...

Odeszli, ale Storm został na miejscu. Ze zdziwieniem i wstydem spostrzegł, że dłoń mu drżała. Takie spotkanie nie pasowało do jego planu. Nie potrzebował

ciekawskiej widowni. Powinni stanac naprzeciw siebie uzbrojeni w rozpylacze albo jeszcze lepiej w noze. To nie miala byc jedna z tych bezkrwawych bojek, jakich byl dzisiaj swiadkiem, ale walka na smierc i zycie.

Mial wlasnie odejsc, kiedy zatrzymal go glos przypominajacy ryk wscieklego byka.

-Quade! - przy czlowieku, ktory wydal ten krzyk, Brad Quade wydawal sie tak wiotki jak Norbis.

-Slucham, Dumaroy - serdecznosc, ktora chwile przedtem dzwieczala w jego glosie, znikla bez sladu. Storm znal ten ton - oznaczal klopoty. Nie mogac opanowac ciekawosci, zostal na sali.

38

-Quade! Twój szczeniak znow wtyka nos w nie swoje sprawy. Przypilnuj gówniarza albo ktos to zrobi za ciebie!

-Na przykład ty, co? - spytal lodowato Quade.

-Na przykład. Napadl na jednego z moich chlopcow kolo ran-cza pod Szczytami...

-Dumaroy! - zabrzmialo to jak trzasniecie bicza. W sali zalegla cisza, zebrani w niej mezczyzni otoczyli tych dwoch, jakby oczekujac bojki.

-Dumaroy, twój poganiacz napadl na Norbisa i dostal to, na co zasluzył. Wiesz, do czego moga doprowadzic spory z tubylcami. A moze chcesz, zeby rzucili na ciebie klatwe noza?

-Norbisowie! - Zachnal sie z obrzydzeniem Dumaroy. - Na mojej ziemi nie bede nianczyl tych dzikusow. I nie pozwole, zeby mi jacys smarkacze udzielali rad. Jak tak ich kochacie, to grajcie sobie z nimi w lapki. Ja za te kozly nie dalbym zlamanego szelaga...

-Klatwa noza...

Dumaroy wpadl mu w slowo.

-Klatwa noza, klatwa noza, a niech sobie rzucaja. Ciekawe, jak dlugo bedzie dzialac, kiedy moi chlopcy zrobia z nimi porzadek? Te kozly zmykaja, az sie za nimi kurzy, kiedy im pokazac zeby. Pewnie maja dla ciebie jakas nazwe w tym swoim glupim jezyku...

Quade chwycil nagle za koszule na piersiach tamtego.

-Sluchaj, Dumaroy - wycedzil cicho. - Tutaj przestrzega sie prawa i nie bedziemy zachowywac sie jak Rzeznicy. Jesli masz ochote na wizyte Oficerow

Pokoju, to na pewno cie ona nie minie!

-A ty jesli masz zamiar wtracac sie w nie swoje sprawy, zamien emiter na rozpylacz - Dumaroy jednym szarpnieniem wyswobodzil sie z uchwytu Quade'a. - Sami troszczymy sie o swoje interesy i nikt nie bedzie wtykal w nie nosa. Jesli nie chcesz, zebysmy zabawili sie z twoimi kozlami, kaz im, zeby sie trzymali od nas z daleka. I niech nie tykaja zablakanych sztuk. A dzieciaka na twoim miejscu lepiej bym ustawil. Wsciekly Norbis nie przyglada sie dokladnie, komu pakuje strzale - jego wzrok przesunal sie po twarzach zebranych. - Nikt z Dorzecza nie bedzie rzadzil Szczytami. Jak wam sie nie podobaja nasze metody, to trzymajcie sie z daleka. Nie macie bladego pojecia, co sie dzieje w gorach. Tamtejsze plemiona sa zupełnie inne niz te oswojone kozly, ktore u was pracuja. Ale te wasze dzikusy moga sie czegos nauczyc od tamtych. Przez ostatnie piec miesiecy zginelo mnostwo zwierzat, a wodz Nitrow, stary Muccag, odprawial

39

w gorach jakies czary. Szykuje sie cos wiekszego niz wojna plemienna. Nie chcemy miec obozow Norbisow na naszych ziemiach, kiedy to sie zacznie. Jesli

macie choc troche rozumu, zgodzicie sie ze mna.

Storm nie wiedzial, co o tym myslec. Zaczelo sie od osobistej sprzeczki, a skonczylo wystapieniem przeciw tubylcom. Bylo to rownie dziwne jak postepowanie Bistera. Poczul nadciagajace niebezpieczenstwo.

## ROZDZIAL 5

Ziemianin tak gleboko pograzyl sie w myslach, ze nie zauwazyl, L kiedy Quade sie odwrocil. Nagle zorientowal sie, ze osadnik patrzy na ' niego. Jego

niebieskie oczy spogladaly badawczo, dziwnie oczekujaco t i przez chwile wydawalo sie, ze Brad go poznaje. Bylo to oczywiscie L niemozliwe, nigdy sie nie spotkali. Ale Quade skierowal sie ku niemu, I wiec Storm cofnal sie, przekonany, ze w polmroku ulicy tamten go i nie znajdzie, jesli on sam tego nie zechce.

, Nie odszedl daleko, gdy dobiegl go ostrzegawczy krzyk. Gdyby \ nie ten krzyk i nie to, ze napastnik chcial byc troche za szybki, mo-? g^by juz lezec na zakurzonej drodze z dlugim nozem Norbisow miedzy lopatkami. Ale byly komandos zyl wystarczajaco dlugo w stalym niebezpieczenstwie, wiec jeszcze raz dal powodowac soba odruchom i zanurkowal na prawo, przywierajac do sciany.

Ktos przemknal za nim i ledwie widoczna sylwetka wtopila sie w mrok bocznej uliczki. Przez moment tylko blysnal refleks swiatla na nagim ostrzu noza.

-Zranil cie?

Storm oparl dlon na rekojesci noza. Blask padajacy z uchylonych drzwi oswietlal stojacego przed budynkiem Brada Quade.

-Zobaczylem noz - ciagnal Quade - nie trafil? Ziemianin odsunal sie od sciany .

-Nie - odparl tym samym uprzejmym tonem, jakiego uzywal w Centrum. - Jestem winien panu wdziecznosc.

-Nazywam sie Brad Quade, a ty?

Storm nie mogl sie zmusic do przyjecia wyciagnietej reki. Wszystko bylo nie tak i nie radzil sobie z sytuacja tak bardzo rozniaca sie od tej, jaka wyobrazal sobie przez lata. Byl zbity z tropu i musial sie stad predko wydostac, niezaleznie od tego, ilu jeszcze zabojcow czyhalo na niego w zaulkach Irrawady. Czy jego nazwisko powie cos Quade'owi? Watpil, ale nie byl pewien. Z drugiej strony nie mogl sklamac. To, co mial zrobic, nie pozwalalo na stosowanie malych oszustw tego typu.

-Storm. - Odparl krotko i sklonil glowe w nadziei, ze tamten uzna, iz podawanie reki nie lezy w zwyczajach jego rasy. Na roznych planetach obowiazywaly rozne manieri, a jego akcent zdradzal przybysza.

-Jestes z Ziemi!

41

Quade byl zbyt szybki, ale Storm nie mogl zaprzeczyc.-Tak.

-Quade! Hej! Brad Quade! Prosza cie... - krzyknal od drzwi jakis czlowiek. Kiedy osadnik obejrzal sie, przybysza juz nie bylo. Byl pewny, ze Quade nie bedzie go szukal. Ostroznie, z uwaga wypatrujac mozliwych pulapek i zasadzek, dotarl do stajni. Spokojnie odetchnal dopiero wtedy, gdy dosiadl konia i wyjechal z Krzyzowki, obiecujac sobie omijac to miejsce w przyszlosci.

Dawno temu obmyslil spotkanie z Quade'em az do najdrobniejszego szczegolu. On, Storm, mial wybrac czas i miejsce i przedstawic zarzuty... czlowiekowi zupelnie nie przystajacemu do tego Brada Quade, ktorego poznal dzisiejszego wieczoru. Ten nie byl wcale lajdakiem, jakiego sobie wyobrazil.

Zreszta, rachunki z nim nie mogly byc wyrownywane na ludnej ulicy

przygranicznego miasta zaraz po tym, jak osadnik uratował mu życie. Chciał...

musiał spotkać się z nim po swojemu.

Storm wzdrygał się przed ciagnięciem tych rozważań. Nie wiedział, tak naprawdę, dlaczego dziś uciekł - bo przecież uciekł - przed Bradem. Przybył na Arzor tylko po to, by go spotkać. Ale spotkać kogo? Postać, którą stworzył w myślach, by usprawiedliwić swoje działania, czy człowieka, z którym się dziś zetknął? To, co robił, zaczynało być równie niezrozumiałe jak czyny Bistera...

Nie - scisnął konia obcasami i Deszcz posłusznie poderwał się do galopu - jego pobudki były słuszne, Quade zasługiwał na to, co miał dostać. Co z tego, jeżeli nawet jego ostrzeżenie uratowało jemu, Stormowi, życie? Przecież nie przyjechał tu, żeby mścić się za jakąś osobistą krzywdę. Nie mógł, nawet gdyby chciał, wymazać tego, co Quade winien był zmarłym.

Jednak tej nocy nie spał dobrze, a następnego dnia zgłosił się na ochotnika do pilnowania stada. Larkin zaprowadził pierwszą partię zwierząt do miasta i wrócił dopiero koło południa, zadowolony z cen, jakie uzyskał. Przyprowadził z sobą nieznanego.

Storm nigdy go przedtem nie widział, ale jego ziemisty uniform Sekcji Badawczej był mu dobrze znany. Spotykał już tych ludzi, byli jego nauczycielami w obozie szkoleniowym dla Mistrzów Zwierząt. Nie był zdziwiony, gdy Larkin skinął na niego.

-Sorenson, archeolog - przedstawił się przybysz. Mówił w języku galaktycznym lekko sepleniąc, co zdradzało, że pochodził z Lydii.

42

-Storm, Mistrz Zwierząt w stanie spoczynku - równie formalnie odparł Ziemianin. - W czym mogę pomóc, specjalisto Sorenson?

-Słyszałem od pana Larkina, że nie podpisał pan jeszcze żadnej umowy i nie zamierza też występować na razie o przydział gruntów. Czy zechciałby pan w takim razie wziąć udział w naszej wyprawie jako zwiadowca?

-Jestem tu nowy - powiedział Storm, chociaż propozycja go pociągała.

Była tym, czego w tej chwili potrzebował. - Nie znam jeszcze terenu.

Sorenson wzruszył ramionami.

-Mam norbiskich przewodników i kwatermistrza osadnika. Larkin powiedział, że zachował pan swoją drużynę w komplecie. Wiem, co można

osiagnac z takim skladem, moglibyscie sie przydac...

-Tak, mam druzyne - Storm skinal w kierunku swego legowiska.

Rozlozyla sie tam Surra, mruzac oczy w sloncu, obok niej baraszkowaly meerkaty, a Baku usadowil sie na brzegu wozu.

-Kot pustylny, meerkaty, orzel afrykanski...

-Wystarczy - Sorenson rzucil zaledwie okiem na zwierzeta. -

Wybieramy sie na tereny pustylnne. Slyszal pan o Zamknietych Grotach?

Mozliwe, ze znajduja sie w regionie Szczytow.

-Slyszalem, ze to legenda.

-Uzyskalismy ostatnio nieco dokladniejsze informacje. Ten obszar jest w znacznej mierze nie. naniesiony na mapy i bylby pan bardzo uzyteczny. Mamy zezwolenie na polowanie.

-To chyba niezly interes, chlopie - wtracil sie Larkin. - Chciales pojechac w rejon Szczytow. Zaplace ci konmi. Bedziesz mogl albo sprzedac je wszystkie, albo zatrzymac ogiera i te czarna juczna klacz, a ja wystawie na aukcji pozostale dwa. Jak znajdziesz tam jakis niezly teren, opalikuj go i zarejestruj po powrocie.

-Moglby pan zreszta wynagrodzenie za prace u mnie odebrac w panstwowych bonach ziemskich - szybko dodal Sorenson. - Byloby to bardzo przydatne, gdyby chcial sie pan osiedlic na nowych terenach. Mozna je tez wykorzystac do uzyskania zezwolenia na import.

Storm byl poruszony. Czul, ze go ponaglaja, a to budzilo sprzeciw. Z drugiej strony wyprawa stwarzala mu okazje do opuszczenia Krzyzowki i zgubienia zarowno nozownika - kimkolwiek byl - jak i Quade'a. Mialby czas na decyzje, co zrobic w sprawie tego ostat-

45

nego. No i w koncu - w Szczytach mieszkal Logan Quade, a Storm chcial sie dowiedziec o nim czegos blizszego.

-W porzadku - zgodzil sie i prawie natychmiast tego pozalowal.

-Przykro mi, ze pana poganim, Storm - Sorenson byl w tej chwili uosobieniem skutecznego dzialania - ale wyruszamy jutro wczesnym rankiem.

Deszcze w gorach nie potrwa juz dlugo, a jestesmy od nich uzaleznieni, jesli chodzi o wode. To tereny zupełnie jalone i bedziemy musieli wracac z poczatkiem Wielkiej Suszy. Prosze przyniesc swoj ekwipunek, my dostarczymy

reszta.

Ponad szczupłym ramieniem Sorensona Ziemianin zobaczył dwóch jeźdźców zbliżających się do wozu. Ransdorf i... Brad Quade! Przyglądali się koniom, ale wystarczyłby niewielki ruch głowy, żeby osadnik zobaczył Storma.

-Gdzie się zbieramy? - spytał szybko.

-Na wschód od miasta, przy brodzie, o piątej,

-Bede tam - obiecał Storm i zwrócił się do Larkina. - Zatrzymam

Deszcza i te klacze, jak radzisz. Ustalimy cenę za pozostałe dwa, kiedy wrócę.

Facet z Sekcji odszedł, a Larkina jakby ktoś na sto koni wsadził.

-Miej tam oczy otwarte, synu, i wyszukaj jakiś niezły kawałek gruntu.

Mówię ci, trzy, cztery lata i wyhodujemy takie zrebaki, że niech się schowają wszystkie sprowadzone z Ziemi! Ta kobyła to dzielna staruszka, jest w sam raz na ciężką podróż. Jak chcesz tu coś przechować, zostaw po prostu na wozie, przypilnuje ci tego.

Storm był zbyt spięty, by zastanawiać się nad uczynnością Larkina. Chciał stąd zniknąć, zanim Quade wyjdzie z prowizorycznego korralu. Ale niełatwo było uciec. Tym razem zatrzymał go Ransdorf.

-Storm! - głos był tak rozkazujący, że Ziemianin nie osmielił się go zignorować. Zaczekał, aż tamten zwróci się z nim.

-Słuchaj, chłopcze. Quade powiedział mi, że w mieście wyskoczył na ciebie jakiś facet z nożem. W co wdepnął?

-W nic... o czym bym wiedział. Ransdorf zmarszczył brwi.

-Próbowałem dowiedzieć się czegoś o tym poganiaczu, którego uspies, ale nikt go nie zna. Jesteś pewien, że to nie był on?

-Być może. Nie widziałem twarzy, tylko sylwetkę. - Storm bardzo chciał się od niego uwolnić. Quade zsiadał z konia i z pewnością zaraz miał się do nich przyłączyć.

46

-Wysłałem Dorta, żeby zasięgnął języka - ciągnął Ransdorf. - Zna tu, na aukcji, prawie wszystkich. Jeżeli komus zależy na twojej skorze, to Lancin na

pewno się o tym dowie i wtedy będziemy mogli coś zrobić.

Dlaczego wszyscy wtracali się w jego sprawę? Zapragnął nagle wysliznąć

się stąd, wezwać drużynę i wyruszyć samotnie w dżunglę. Nie pragnął troskliwości,

wrecz go drażniła. Nie prosił o nic więcej oprócz samotności i wolności wyboru.

A tu byli Larkin... Ransdorf... i Dort... i nawet ten Norbis, Gorgol, wszyscy darzący go uwagą, dobrymi radami lub wspaniałymi planami na przyszłość.

Zupełnie nie rozumiał, dlaczego, podobnie jak nie rozumiał, czego chce od niego Bister.

-Jeśli ktokolwiek na mnie poluje - odparł starając się nie zdradzać rosnącego rozdrażnienia - nic mu z tego nie wyjdzie. Jutro rano wyjeżdżam z miasta. Zgłosiłem się jako zwiadowca na wyprawę Sekcji Badawczej.

Ransdorf odetchnął z ulgą.

-Masz głowę na karku. Możliwe, że ten napalenię wypił po prostu za dużo i, kiedy wytrzeźwieje, nie będzie niczego pamiętał. Dokąd się wybierasz?

-Do Szczytów.

-Do Szczytów - jak echo powtórzył Quade. A potem dodał w języku, którego Storm nie spodziewał się już więcej usłyszeć. - Dokąd zmierzasz, człowieku z Dinehow?

-Nie rozumiem - odpowiedział we wspólnym języku galaktycznym.

Quade potrząsnął głową, niebieskie oczy spojrzały na Storma przenikliwie.

-Jesteś Ziemianinem - mówił teraz w zwykłym języku kosmicznych szlaków - ale jesteś też Nawajem...

-Jestem Ziemianinem, czyli człowiekiem znikąd - odparł krótko Storm.

-Nie rozumiem pana.

-Myślę, że rozumiesz - sprzeciwił się Quade. W jego głosie nie było natarczywości, a tylko jakiś żal. - Usłyszałem, że zaciągnąłeś się jako zwiadowca na wyprawę w rejon Szczytów. Sa tam dobre ziemie, rozejrzyj się.

Mój syn ma tam posiadłość.

Spuścił oczy, ręce nerwowo skrecały rzemień cugli. - Gdybyś go spotkał...

-ale nie dokończył tego zdania. Zamiast tego powiedział:

-Chciałbym, żebyście się spotkali. Jesteś Ziemianinem i Na-

47

vajo. No cóż, powodzenia, Storm. Jeśli byś czegoś potrzebował, możesz na mnie liczyć.

Nogi miał już w strzemieniu, wskoczył na konia i odjechał, zanim

Ziemianin zdążył odpowiedzieć.

-Jeżeli spotkasz Logana - przerwał cisze Ransdorf - mam nadzieję, że



chłopak nie siedzi po uszy w kłopotach. Utrzymać go w ryzach jest równie łatwo jak stado jorisów. Quade jest facetem, z którym zawsze się dogadasz, jeśli jesteś w porządku i robisz, co do ciebie należy, a z własnym synem nie może dojść doładu. Nikt nie wie, dlaczego. Logan ma bzika na punkcie polowań, bardzo przyjazni się z Norbisami, ale nigdy nie zrobił niczego podłego. To uczciwy dzieciak, zupełnie jak jego stary. Ci dwaj po prostu nie mogą ze sobą wytrzymać, najdalej po tygodniu dochodzi do awantury. Wielka szkoda, bo Quade jest bardzo dumny ze swego syna, chciałby go na współnika. Gdybyś usłyszał coś dobrego o chłopaku, powtórz Bradowi po powrocie, to dla niego ważne. Wiesz, przypadles mu do gustu. No, powodzenia, chłopcze. Zdaje się, że zrobiliście dobry interes. Sekcja dobrze płaci, a ich papiery możesz potem zamienić na zezwolenie na import albo coś w tym guście.

Storm czuł się nieswojo. Nie chciał wcale słuchać o osobistych sprawach Quade'a. Po dwóch spotkaniach z wrogiem, którego sam wybrał, czuł, że stracił sporo z przewagi, której mógł potrzebować w przyszłości. Zaakceptował Quade'a-przeciwnika, ale ten drugi Quade rozbijał coraz bardziej swój troskliwie ułożony obraz. Pospiesznie zaczął przygotowywać się do wyjazdu, szczęśliwy, że ma się czym zająć.

Surra ułożyła się na lewym boku, a meerkaty plątały mu się pod nogami szperając i weszac, gdy Storm układał, sortował i pakował wszystko w dwa toboły. Jeden musiał zostawić Larkinowi, drugi zawierał to, co będzie mu potrzebne na szlaku. Do rozpakowania zostało jeszcze tylko jedno zawiniatko. Zostawił je na koniec, z niechęcią myślał o rozcięciu zaszytego w innym świecie nieprzemakalnego opakowania, które przechowywało zawartość nie tkniętą przez całe dwa lata. Usiadł, oparł dłoń na paczce i zamknął oczy. Wiedział, że gdy przetnie impregnowany brezent, gdy zobaczy to, co na pewno jest w środku, będzie musiał ostatecznie uznać się za pokonanego- przyznać przed samym sobą, że nie ma powrotu.

Coż ci obcy - tu, w obozie, albo w mieście, albo w Centrum, którzy tak mu się przyglądali przez długie miesiące, ten Koman-

mogliby zrozumiec, kim byl jego dziadek, Spiewak, znajacy starozytna wiedze, stapajacy po sciezkach wiary niedostepnych innym rasom, czlowiek, ktory widzial rzeczy niewidzialne, slyszal to, czego nikt inny nie mogli ulyszec?

Storma i swiat czystych wierzen jego dziadka, ktory dopiero pod przymusem oddal go na nauke do panstwowej szkoly, dzielila kurtyna wiedzy bialego czlowieka. Jako dziecko przyjmowal te wiedze w calosci, nie potrafiac oddzielic ziarna od plew. Dopiero pozniej zdal sobie sprawe z tego, ze moze wybierac z niej to, co zaakceptuje. A potem bylo juz niemal za pozno, odszedl bardzo daleko od zrodel wewnetrznej sily swoich braci.

Dwukrotnie odwiedzal rodzinne strony, raz jako chlopiec i raz jako mlodzieniec, zanim opuscil Ziemie udajac sie na misje. Ale miedzy nim a nauczaniem Na-Ta-Hay'a zawsze stala przeszkoda, ktora stanowily nowoczesne poglady wnuka, budzace opor starca graniczacy z wrogoscia. Niewiele wiec udalo mu sie ocalic z przeszlosci. Cos sie jednak uratowalo, bo spiewal teraz w myslach stare piesni, cos na wpol zapomnianego poruszalo go, kiedy wial wiatr od gor, a usta ukladaly sie w slowa, ktore nie mialy juz nigdy zabrzmiec na swiecie, z ktorego pochodził.

; Storm powoli przecial gruby material. Musial temu stawic czola. I Odwinal brezent, Ho i Hing przypadly do niego zaciekawione dziwnymi zapachami unoszacymi sie z zawiniatka. Bo pakunek zawie-|ral rowniez zapachy - tego sie nie spodziewal. Szorstka welna |pledu drapala go w palce. Patrzyl na znany wzor: czerwone, biale u niebiesko-czarne pasy, na ktorych rozrzucone byly zebate, koncentryczne motywy. I ten zapach uwieziony w ciasno zlozonych faldach, zapach hoganu - owiec, pustyni, kurzu i piasku. Storm wciagnal go, ;ozpamietujac, gleboko do pluc.

E Wytrzasnal derke i, tak jak sie spodziewal, ujrzal blysk medalu. Naszyjnik z niebieskozielonych turkusow, ketoh - bransoleta i oksydowanego srebra i pas concha - wszystkie ozdoby wojownika pinehow byly arcydzielami sztuki kowalskiej. Te zabytkowe przed-klioty - widzial je juz kiedys - wykonane brunatnymi palcami, byly dzielem artystow jego narodu.

li Przymyslenia Storma okazaly sie sluszne. Dziadek wiedzial. Przewidywal wlasna smierc, a moze smierc swojego swiata i nie tylko Kzebaczyl wnukowi, ktory wybral droge obcych, ale przekazal mu

dziedzictwo swojej kultury, starajac sie przedluzyc jej trwanie w tym ostatnim przedstawicielu wymarłej rasy.

Wydalo mu sie nagle, ze slyszy stara piesn, spiewana kiedys dla dodania sil

wojownikom.

Wstap na droge Zabojcy Potworow,

Wzuj mokasyny tego, ktory wabi napieta cieciwa,

Wzuj mokasyny tego, ktory wabi wrogow na smierc.

Zawartosci ostatniej paczki Storm nie zamierzal zostawic Lar-kinowi.

Podniosl ozdoby, przez chwile wazyl je w dloniach, potem zalozyl naszyjnik chowajac pod koszule. Bransoleta objela nadgarstek, a pas zniknal w torbie podroznej.

Podniosl sie. Zlozony pled przerzucil przez ramie. Nigdy nie nosil derki wodza, ale teraz jej miekki ciezar wprawil go w cieply, rodzinny nastroj. Poczul wiez laczaca gdzies, w innym swiecie, zapomniane dlonie, ktore utkaly ten material, z nim uciekinierem, na zawsze juz bezdomnym.

Na zawsze! Storm zwrocil sie twarza ku wschodowi, ku gorskim lancuchom.

Rzucil kapelusz, wystawiajac glowe na uderzenia wiatru wiejacego od szczytow i ruszyl mu naprzeciw przez noc rozswietlona dwoma malymi ksiezycami wschodzacyimi nad wyniosloscia terenu. Usiadl krzyzujac nogi. Dinehowie byli zawsze wierni swej ziemi. W przeszlosci woleli raczej glodowac niz opuscic gory, pustynie, swiat, ktory znali.

Nie powinien wspominać! Nie wolno mu! Dlonie zacisnely sie w piesci i uderzily w kolana. Ale ten bol byl smieszny w porownaniu z bolem budzacym sie w jego duszy. Byl odciety... wygnany... a dopoki nie dokona tego, po co tu przybyl, bedzie rowniez przeklety. Mimo to, wahanie, zrodzone niedawno, ciagle trwalo. Bezwiednie powrocil do starodawnych wierzen. Gdzies musial utracic swoja moc, moc wojownika. Nie moze wystapic przeciw Quade'owi, dopoki znowu nie bedzie caloscia, dopoki nie odzyska swej sily.

Nie wiedzial, jak dlugo tak siedzial. Na liliowym niebie pojawily sie pomaranczowoczerwone zorze. Nie byla to codzienna obietnica dawana Ziemi przez Slonce, ale nawet ten obcy wschod przyniosl ze soba uspokojenie i uczucie, ze podjal wlasciwa decyzje.

Storm stanal na wprost jarzacych sie barw i uniosl w gore najpierw noz, potem emiter - bron wojownika, aby poblogoslawilo je wstajace slonce.

Skierowal je ku zyciodajnemu ognisku, plonacemu na niebie, a

potem ku ziemi, z której niegdys Dalecy Bogowie ulepili człowieka. Nie był Śpiewakiem, nie miał prawa wzywać tych sił. Zresztą, tak daleko od ziemi

Dinehow Bogowie nie mogli go słyszeć. Ale w głębi serca Storm wierzył, że

moga i słyszą.

Piękno jest wokół...

Ten kroczy w pięknie...

Dobro jest wokół...

Ten kroczy w pięknie...

Być może, pomylił słowa, być może, źle zrobił usiłując zastąpić Śpiewaka.

Ale sądził, że Duchy Przodków rozumieją.

## ROZDZIAŁ 6

Wiatr, który sprowadził Storma na pagórek, zamarł wkrótce. Surra, łagodnie mruczac, otarła się o jego nogę i podsunęła głowę pod dłoń. Usłyszał głosy meerkatów. Nad nimi, na

tle budzącego się nieba widoczna była ciemna sylwetka orla witającego nowy dzień. Storm

odetchnął głęboko. Uczucie zagubienia i osamotnienia opuściło go, kiedy wrócił do obozu.

Przyglądając się Sorensonowi, szybko doszedł do wniosku, że człowiek ten jest

rownie dobrym organizatorem jak Larkin. Było ich tam niewielu - Sorenson, Mac Foyle,

który kierował załadunkiem, i trzech Norbisów. Pomiedzy nimi Storm dostrzegł Gorgola.

Ziemianin podniósł dłoń na znak pozdrowienia.

Foyle patrzył ze zdziwieniem na siedzące na grzbiecie klaczy meerkaty i na

przymocowaną do pakunków poprzeczkę dla Baku. Tylko Surra, która bez trudu mogła

dorównać kroku obciążonym koniom, miała podróżować na własnych nogach.

-Dziwni jeźdźcy - Foyle zatrzymał Storma. - Co to za zwierzęta, chłopie?

Małpy? Słyszałem o nich, ale ich nigdy nie widziałem.

-Meerkaty - wyjaśnił Storm.

-Z ziemi, co? - Foyle sprawdził uprzęź, patrząc z uznaniem na objuczona klacz, a

potem przyprowadził swojego wierzchowca. Wyglądają na nieglupie. Co potrafią?

-Przede wszystkim kopac. Widzisz, jakie mają pazury? Jak trzeba, to mogą

straszenie nakurzyć. Przynoszą też wszystko, co im się spodoba. Takie małe złodziejzki.

Pstryknął na nie palcami. Zwierzęta spojrzęły do tyłu, nie zamierzając się ruszyć.

-Słyszałem w mieście o tobie i twoich zwierzętach. Nazywałeś się Storm, prawda?

Słyszałem, jak załatwiłeś tego poganiacza od Goriunda. Chłopcy mówili, że go tylko

stuknales w głowę.

-A, to taka sztuczka komandosów - uśmiechnął się Storm. - Facet, chciał się po

prostu przeciągnąć, tyle że zrobił to trochę za mocno i nie w tę stronę, co trzeba...

Foyle zmierzył go wzrokiem.

-Załóżę się, że chłopaki mieli rację. Ostry z ciebie facet. Duży nie jesteś, ale właśnie tacy potrafią narobić kłopotu. Szkoda, że nie widziałem tej zadymy!

52

Foyle szarpnął powróż pierwszego konia i zwierzę posłusznie zrobiło krok do tyłu.

| Ruszyli z boczem w dół w kierunku rzeki. Surra stanęła na (brzegu prychając ze wstrettem na widok wody. Storm uspokoił ją | rzucił jej koniec powroza, który chwyciła w zęby. Wszyscy razem, z jkodem płynącym obok koni, przebyli rzekę i dotarli do równiny, nad (która górowały szczyty sięgające lawendowego nieba.

| Sorenson znalazł się nie tylko na organizacji wyprawy. Potrafił też | ma dowodzić.

Wkrótce okazało się, że już po raz trzeci wyrusza na (poszukiwanie Zamkniętych Grot.

I - Prawdziwym problemem jest woda - wyjaśniał. - Można się tam udać na wiosnę albo jesienią na zaledwie cztery tygodnie, potem trzeba zmykać. Gdyby się chciało zostać dłużej, trzeba by wieźć wodę i żywność na koniach, a to jest nie do zrobienia. Poza tym | moi przełożeni nie chcieliby nawet słyszeć o czymś tak kosztownym. Przed Wojną trafił nam się dobry sezon. W Krabyaolo, na skraju regionu Szczytów rozpoczęliśmy wykopaliska i znaleźliśmy rzeźbę, która narobiła sporo zamieszania w pewnych kregach. Dlatego władze dają nam, od czasu do czasu, jakies pieniądze na te wycieczki. Gdybym znalazł coś naprawdę ważnego, może zdecydowałoby się założyć stały oboz badawczy. Słyszałem, że tam, dokąd tym razem jedziemy, jest łatwiej o wodę...

-Ta rzeźba, którą znaleźliście... Dlaczego jest taka ważna?

-Widział pan kiedyś jakies znalezisko z Lo Sak Ki? - odpowiedział pytaniem Sorenson.

-Nie, chyba nie...

-To unikatowe rzeźby odnalezione w prowincji Lo Sal na Trzeciej Altara.

Ich bardzo skomplikowane zdobnictwo dowodzi długiego rozwoju sztuki. Ta ornamentyka powstała na Altarze. A rzeźba, którą znaleźliśmy, powtarza co najmniej dwa podstawowe motywy z Lo Sak Ki.

-Nie sądzę, żeby można było wymyślić bardzo wiele różnych wzorów - zastanawiał się głośno Storm. - Około dwóch tysięcy planet, na których tworzy

się sztuce. Dwadzieścia pięć pozaludzkich ras o wysokiej inteligencji. I te wszystkie wymarłe cywilizacje, które odkryliśmy w kosmosie. Chyba ornamenty mogą się powtarzać bez wzajemnych powiązań kulturowych.

-Dość logiczne. Ale niech pan spojrzy - Sorenson wskazał ketoh na rece Ziemianina. - To, jak sądzę, pochodzi z Ziemi, może

53

być wytworem jakiejś mniej znanej kultury plemiennej, być może miało znaczenie obrzędowe.

-Wykonano to z luku używanego przez moje plemię w czasach, gdy byli to jeszcze pustynni nomadzi.

-A czy ci ludzie byli narodem dominującym na Ziemi, gdy jeszcze istniały odrębne narody? Storm zaśmiał się.

-Sądzę, że tak o sobie myśleli, ale byli w błędzie. Władali małym skrawkiem kontynentu przez kilka lat. Nie, nie byli rasą panującą. Ich kraj został zdobyty przez ludzi o białej skórze, reprezentujących cywilizację techniczną i uważających moich ziomków za dzikusów.

-Wynika z tego, że taka bransoleta nie była przedmiotem powszechnie znanym i noszonym na Ziemi?

-Nie.

-No więc, co by pan pomyślał, gdyby powiedzmy na... Gdzie pan służył w czasie wojny, Storm?

-Na Lev, na Angol...

-Lev? W porządku. Załóżmy więc, że będąc na Lev przeszukuje pan jakieś rumowisko i znajduje tam duplikat pańskiej bransoletki. Oczywiście, ostatnio nie zawitał tam żaden galaktyczny oddział i żaden współczesny Ziemianin nie mógł jej tam zostawić. Co by pan wtedy pomyślał?

-No cóż, albo przywieźli ją skądś Levici, albo jednak był tam Ziemianin.

-No dobrze. A co, jeśli wszystkie okoliczności dowodzą, że ta bransoleta znalazła się na Lev jeszcze przed erą lotów kosmicznych na Ziemi?

-Albo loty kosmiczne na Ziemi zaczęły się wcześniej, niż sądzimy, albo Ziemia była odwiedzana wtedy przez przybyszów z innych planet.

-A widzi pan - Sorenson żywo kiwnął głową. - Instynktownie upiera się pan przy tezie, że pańska bransoleta pochodzi z Ziemi. Ani razu nie wysunął pan koncepcji, że obcy mogli przypadkowo stworzyć taki sam wzór.

Storm znówu rozesmiał się z uznaniem.

-Dobry przykład. Może to wszystko przez patriotyzm lokalny.

-A może raczej ma pański instynkt i podroże kosmiczne zaczęły się wcześniej, niż sadzimy. Tak, czy inaczej, mamy tu podobny

54

problem. Motyw charakterystyczny dla niewielkiego obszaru Trzeciej Altara zostaje odnaleziony na drugim koncu galaktyki w ruinach związanych przez

legendy z jakąś obcą rasą. Czy nie możemy więc przypuścić, że to inna cywilizacja wędrowała po gwiazdnych szlakach, zanim weszły na nie ziemskie statki? Jeżeli tak było, to dlaczego nie natknęliśmy się na jej przedstawicieli lub ich spadkobierców? Co było koncem ich imperium czy konfederacji? Wojna? Dekadencja? Zaraza? Być może, odpowiedź jest ukryta w Zamkniętych Grotach, tylko czy je odnajdziemy.

-Sądzi pan, że tym razem ruszamy w dobrym kierunku?

-Mają tego, mamy przewodnika, który twierdzi, że odnalazł przynajmniej jedną grocie. Będzie na nas czekał w Dolinie Kreconych Rogów. Większość Norbisów unika tych terenów, ale czarownicy udają się tam czasem w celach obrzędowych. To miejsce ma dla nich znaczenie religijne. Wojownicy przed walką też czasem odprawiają tam czary. Wierzą, że ten ceremonial podwaja siły walczącego, a wroga dwukrotnie osłabia. Młodzieńcy, którzy chcą zostać wojownikami, także wędrują do Szczytów. Dlatego przyłączył się do nas Gorgol. A Bokatan, nasz przewodnik, jest czarownikiem. Już trzykrotnie wyprawiał się w te okolice i wierzy, że Ludzie z Zamkniętych Groć chcą powrócić, ale bramy muszą otworzyć im przybysze. Dlatego nasza wyprawa ma jego błogosławieństwo.

-A czy jego władza wystarczy, żeby uwierzyli w to inni Norbisowie? -

zapytał Storm - Jeśli nie, to możemy mieć kłopoty.

-Myślę, że jest dość potężny. Prawo zabraniało zawsze przybyszom prac archeologicznych. Nie wolno także cywilizować tubylców, chyba że sami o to wystąpią. Nie możemy wchodzić na ich terytoria, jeśli nie zostaliśmy zaproszeni.

Musieliśmy spełnić wiele warunków, zanim uzyskałem zezwolenie i mogłem wypytac Bokatana o | Groty. Na terenach Norbisów mieszka kilku licencjonowanych myśliwych polujących na jorisy. Od nich i od osadników, którzy zatrudniają Norbisów, musimy dowiedzieć się jak najwięcej o ich

obycza-ijach. A wysoko w gorach mieszkaja szczepy, ktore nigdy nie zetknely | sie z przybyszami. Ich sposob zycia moze byc zupełnie rozny od tego, |ktory udalo nam sie poznac...

| - Nie mozna zamieszkać w obozie Norbisow bez rzadowego |xezwolenia?

-O, mysle, ze takie przypadki sie zdarzaja, ale zaproszenie lusi wyjsc od szczepu.

55

Storm spogladal na gory. Dopelni warunkow kontraktu, a potem... Kto mu zabroni uwolnic sie i ruszyc na poludnie? Tylko jemu i jego druzynie? Nauczyl

sie, jak przetrwac w trudniejszych warunkach...

W drodze Storm coraz bardziej oswajal sie z obowiazkami zwiadowcy i coraz lepiej czul sie w tym dzikim otoczeniu. Cwiczył zapamietale mowe palcow.

Oprocz Gorgola, pomagali mu w tym tez inni Norbisowie. Kilkakrotnie poniosl kleske probujac nauczyc sie porozumiewac z nimi glosem. Nasladownictwo swiergotu wydawalo sie ranic ich uszy.

Chociaz nie mogli sie porozumiewac inaczej niz za pomoca gestow, Norbisowie przyjeli go jak nikogo innego ze skladu ekspedycji. Mogl obejrzec ich bron - stwierdzil, ze nie jest w stanie napiac luku doroslego wojownika. Luk Gorgola byl lzejszy, a kiedy udalo mu sie ustrzelic z niego zwierzec podobne do jelenia, tubylec ceremonialnie wreczyl mu bron i kolczan z piecioma strzalami o grotach Isniacych tak, jakby byly zrobione z drogich kamieni.

-Strzaly wojownika... - sygnalizowal Gorgol - po zanurzeniu we krwi czlowieka nie strzelac drugi raz... Ty wojownik... mozesz ich uzyc...

Chlopak namawial Storma, zeby - tutejszym zwyczajem - wytatuowal sobie szkarlatna wstega wokol blizny na ramieniu, tłumaczac, ze kazdy wojownik bylby dumny, gdyby mogl pochwalic sie przy ognisku taka oznaka bohaterstwa.

Zwykle Storm i Gorgol jeździli w jednym patrolu z Baku, krecacym kola w gorze, i Surra, ktora biegla przed nimi zygzakiem oslaniajac oba skrzydla.

Meerkaty jechaly w skorzanych torbach i na kazdym postoju wybieraly sie na poszukiwania, z ktorych wracaly na kazde wezwanie Storma, najczesciej z jakimś lupem. Ten ich zwyczaj byl niewyczerpanym zrodlem uciechy dla wszystkich.

Kazdego wieczoru proszono Storma, by oprznil torby i pokazal, jakie to skarby tym razem Ho i lling uznaly za warte przechowania.



Dwa razy były to rzeczy interesujące. Raz przyniosły kamień-oko: dziwny kryształ znajdujący czasem w łożysku wyschniętej rzeki. Miał kształt miodowej kropli z czerwoną smugą biegnącą przez środek niczym kicia zrenica. W ciemności zmieniał kolor: złoty na szary, a czerwony na żółtawy.

Drugie trofeum, znalezione dziesiątego dnia podróży, poruszyło tubylców.

Było to ostrze strzały. Inne niż używane przez zwiadow-

56

ców, było zrobione z mlecznobiałego kryształu, pokryte haczykami. Groty myśliwskie Norbisów wykonane były z zielonożółtego kamienia, wojenne z

przejrzystoniebieskiego. Ponieważ tubylcy nie wzięliby do ręki zdobyczy meerkatów, Storm podniósł ją, a Dagotag, przywódca Norbisów, dokładnie obejrzał znalezisko. Wciągnął głęboko powietrze, co oznaczało, że ma coś ważnego do powiedzenia, i zaczął błyskawicznie poruszać palcami.

-To Nitra... Ludzie-z-Gor... Wojownik... to strzała wojownika... zabija obcych...

-Oni wasi wrogowie? - zapytał Storm.

-Nasi wrogowie... - skinął głową Dagotag. - My naród Sho-sonna.

Może być wasi wrogowie, ludzie z daleka. Nitra nie widzieć ludzi z daleka...

Prawa ręka wielki łup...

-Nitra jedzą MIESO? - Sorenson uczynił znak zabroniony poza pewnymi szczególnymi sytuacjami i podkreślił go spluwając rytualnie trzy razy w ognisko.

-Nie! - migają palce Dagota. - Biora łup... zawieszają w domu czarownika. Nie jedzą MIESA. Tylko zli ludzie to robią. Nitra... wojownicy... nie zli, co słuchają czarnych duchów nocy...

-Ale mogą na nas napasc?

-Tak... jeśli nas wytropią. Ale ten grot... może stary... z innego roku...

Tylko trzeba uważać.

Każdy z Norbisów wyciągnął ze swych juków troskliwie owinięty pek strzał wojennych i umieścił pięć z nich w kolczanie obok myśliwskich.

-Jeżeli rzeczywiście będziemy tropieni, na pewno się o tym dowiemy. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakieś stworzenie zakradło; się niezauważone przez Surre - odezwał się Storm. Podrzucił grot; w powietrze i chwycił. Kruche haczyki miały niewatpliwie pozostać w ranie. Była to bron

rownie okrutna jak rozpylacz. Gdzie Ho

ja znalazl i jak dlugo tam lezala? - byly to istotne pytania. Czy rozczywiscie byla tylko pamiatka po jakiejs odleglej potyczce, czy |\*ez wyrzucono ja dzisiaj, bo byla zlamana?

I- Wyslal kota na warte pewien, ze zadnemu Nitrze nie uda sie go fominac. Baku mial jutro lustrowac obszar nad nimi. Nie zagrazal im liespodziewany atak, ale pozostawala mozliwosc zasadzki, latwej do urzadzenia w tej okolicy. Droga wiodla przez wawozy i waskie przecze, po kretych sciezkach, po ktorych nierzadko trzeba bylo konia

57

przeprowadzac, a im dalej w gory, tym mialo byc gorzej. Ni-e dziwil sie, ze nikt bez waznego powodu nie zapuszczal sie w te okolice.

Kiedy Sorenson i Mac usneli, Storm wyciagnal wlasny luk i strzaly. Ognisko jeszcze nie zgaslo i przez chwile patrzyl, jak groty polyskuja w jego blasku.

Potem, jedna po drugiej, przykladal je do nadgarstka przyciskajac tak, aby kropla krwi splynela na ostrze. Kiedy juz wszystkie byly naznaczone, strzasnal krew na ziemie. Dlaczego zrobil to teraz? Jakie duchy mialy przyjac ten dar?...

-Dlaczego to robisz? - zadala pytanie szczupla dlon. Nie wiedzial, jaki znak okresla powodzenie lub szczescie, wiec wyjasnil niezgrabnie uzywajac znanych mu slow:

-Daje krew... strzala leci prosto,... wrog upada... krew za dobra strzale...

-To prawda! Ty czlowiek z daleka, ale myslisz jak Norbis. Moze byc, dusza Norbisa... odleciala daleko... chciala wrocic... weszla w dziecko z daleka...

Teraz wrocila. Tak. Tak. - Zoltoczerwone palce dotknely ramienia Storma. -

Tu... na zewnatrz... ty czlowiek z daleka... W srodku ty Norbis, co wrocil do domu!

-Moze... - Storm zgodzil sie, nie chcac urazic chlopca.

-Zamknieci beda wiedziec. Oni tez przybyli z daleka. Gorgol przemowil z pewnoscia czlowieka znajacego tajemniczy, legendarny narod. Storm zapytal:

-Gorgol zna Zamknietych?

Byla to cala historia. Gorgol trzy sezony temu, jesli dobrze go zrozumial, opuscil plemie udajac sie na swa meska wyprawe, by udowodnic, ze jako samotny myśliwy godzien jest miana mezczyzny. Zgodnie z obyczajem, musial albo

stoczyć walkę z przedstawicielem wrogiego plemienia, jeśli udałoby mu się na takiego natknąć, albo upolować bez niczyjej pomocy jedno z czterech niebezpiecznych zwierząt. Ponieważ jego "człowiek ze środka" wyznaczył mu we śnie takie zadanie, Gorgol udał się w góry, mniej więcej tą samą drogą, która zmierzała teraz ekspedycja. Tam znalazł trop "złego lotnika" - wielkiego ptaka, którym Norbisowie brzydzili się z powodu jego obyczajów, ale szanowali za waleczność. Nie mogąc liczyć na lepsze trofeum, Gorgol przez pięć dni tropił zwierze aż do jego gniazda wysoko w górach. Ale przy pierwszym strzale był zbyt podekscytowany i tylko je zranił. Wtedy ptak zaatakował i na zboczu góry stoczyli walkę, która zakończyła dopiero pułapka zastawiona przez Gorgola w dolinie. W ostatecznej utarczce został ranny, ale nie było to nic

58

ważnego. Wyciągnął nogę do ognia pokazując Stormowi nieregularną, siną bliznę. Osłabiony raną musiał jakiś czas pozostać w dolinie. Szczęśliwie, trwała jeszcze pora deszczowa i z góry spływały strumyki.

Tam właśnie natknął się na zamurowane wejście do jaskini oraz kilka przedmiotów wykonanych przez istoty rozumne, które nie były Norbisami ani osadnikami. Nie ruszał ich, nie chcąc rozgniewać Zamkniętych. Ale był pewien, że trafił do drzwi Grot.

-Oni, Zamknięci... dobrzy dla tych, którzy przestrzegają ich praw.

Nauczyli Gorgola, jak zabić złego lotnika... Zesłali wodę do picia, gdy był chory.

Stare opowieści mówią, że dawno, dawno temu Zamknięci byli dobrzy dla Norbisów... Gorgol też tak mówi. Może umarłby tam, gdyby nie ich czary. Ich czary wielkie... - palce rozpostarły się. - Dużo robią... Spia schowani przed słońcem, ale dużo robią...

-Mogłbyś odnaleźć te okolice?

-Tak. Ale nie pójdę tam, dopóki nie pozwolą. Szedłem za ptakiem.

Zamknięci wiedzieli, że nie chciałem im przeszkadzać. Przebaczyli. Pójdiesz ich obudzić, mogą być zli. Muszą wezwac... wtedy pojedziemy.

Chłopiec mówił z przekonaniem i Storm to uszanował. Każdy ma prawo do swoich wierzeń. To, co usłyszał, potwierdzało historię Sorensona. Bokatan zgodził się ich prowadzić, bo wierzył, że chcą tego Zamknięci. A, że zmierzali w okolice, w której polował Gorgol, była szansa, że jednak znajdą tajemnicze

Groty.

## ROZDZIAŁ 7

Słońce ogrzewało ramiona Storma leżacego na skale z lornetką przy oczach. Zrzucił widoczną z daleka koszulkę z frawniej welny. Jego skóra była najlepszym strojem

maskującym, miała dokładnie kolor otaczających skal.

Dalsza droga wyprawy musiała przebiegać przez wąską przełęcz pomiędzy stromymi ścianami - idealne miejsce na zasadzkę. Powinni przejść ją nocą, ale nie chcieli ryzykować upadku w przepaść. Dotychczas, za radą Storma, zatrzymywali się wczesnym popołudniem, pasli konie i sami się posilali, a potem, w godzinę po zachodzie słońca, ruszali dalej i zakładali nocny oboz o wiele dalej, niż mogli się spodziewać ewentualny szpieg. Czy taki prosty podstęp mógł zmylić doświadczonych tropicieli, to była inna sprawa.

Storm był pewien, że ktoś ich obserwuje. Nie miał na to żadnych dowodów oprócz czujnego niepokoju swoich zwierząt. Wiedział, że na pewno ostrzeże go, gdyby miał nastąpić jakiś atak. Właśnie Baku nadleciał z krzykiem, płaszcząc stado stepowych kur. Ktoś przejeżdżał przez przełęcz: samotny Norbis na koniu w białoczerwone plamy, z białą gwiazdą na czole. Jeżeli nadjeżdżający nie był Bokatanem, to w każdym razie dosiadał jego wierzchowca, którego Storm znalazł z opisu. Nie było to niemożliwe, więc Indianin pozostał na miejscu, z łukiem gotowym do strzału.

Rozległo się przeciągłe pohukiwanie i zza skały wynurzył się Dagotag, aby powitać czarownika. W końcu mieli obiecane przewoźniki.

Przed zmrokiem przekroczyli niewidzialną granicę zaklętej krainy i rozbili oboz nad wezbranym strumieniem. Woda była ruda od mulu, niosła wyrwane z korzeniami krzaki, a nawet małe drzewa. Sorenson przyglądał się jej z troską.

-Co za dużo to niezdrowo. Deszcze są nam potrzebne, ale z drugiej strony fala powodziowa w takim wozie może nas splukać w kilka sekund. Jutro będziemy jechać wzdłuż strumienia tak długo, jak się da, żeby poić konie. Miejmy nadzieję, że poziom wody nie będzie się podnosił...

Następnego dnia przed południem woda opadła, ale Bokatan i tak skręcił w bok od rzeki w kierunku czegoś, co wszystkich zaintrygowało. Nie mieli wątpliwości, że zostało stworzone przez istotę

60

rozumna. Był to czarny pas o trójkątnym przekroju, zakrecający pod kątem prostym i biegnący na północ i wschód. Storm zmierzył go orientacyjnie: był szeroki na trzydziści

centymetrów, z ostrym brzegiem wystającym na kilka centymetrów nad ziemię. W dotyku

nie przypominał ani skały, ani metalu, noz nie zostawiał na nim śladu. Pod palcami sprawiał wrażenie nieco tłustego, ale ani piasek, ani liście do niego nie przywierały. Surra nie chciała go dotknąć. Podejrzliwie obwahała brzeg, po czym kichnęła i potrząsnęła łbem, dając wyraz swej niechęci. Pozostawało tajemnica, do czego mógł służyć.

-Jak tor kolejowy - stwierdził Mac i pognął pierwszego konia, ale zwierze też starało się trzymać z dala od czarnej krawędzi.

Sorenson zatrzymał się, żeby zrobić hologramy, chociaż Bokatan poganiał grupę.

-W gore - mówiły palce. - W gore, musimy przejść przez dziurę w ziemi przed zachodem słońca. Wtedy zobaczycie Doline Zamkniętych.

Ściany wąwozu były tak wysokie, że słońce nie dochodziło do jego dna i jechali wzdłuż pasa w gęstniejącym cieniu.

Wąwoz Śmierci. Pomimo nowoczesnego wykształcenia, jakie odebrał, to stare wierzenie jego narodu przesładowało Storma. Człowiek, który dotknął zmarłego lub jego własności, który mieszkał pod dachem, pod który weszła śmierć, był nieczysty, przeklęty. Czarny pas był jakby nicia uprzedzona przez zmarłych, by wciągnąć innych do domu śmierci. Zamrugł i szczelniej otulił się derką. Pozostał nieco w tyle szukając w sakiewce przedmiotu, który zrobił w trakcie postoju.

Nachylił się, nie zsiadając z konia. W ręce trzymał kawałek drewna ozdobiony na końcu dwoma piorami Baku. Wyciał go według pradawnego obyczaju używając jednej ze swych wojennych strzał, a teraz wycelował ten pocisk w tajemniczy tor - jeżeli to był tor. Modlitewna strzałka utkwiała w jakiejś niewidocznej szczelinie i pozostała prosta z triumfalnie wzniesionymi piorami. Czary przeciw czarom.

Storm cmoknął na konia i Deszcz dołączył do reszty w chwili, kiedy kolejny zakręt doprowadził do tego, co Bokatan nazwał dziurą w ziemi.

Gdyby po drugiej stronie nie widac było słonecznego światła, Storm nie zgodziłby się wejść do tunelu. Jego otwór wyglądał jak otwarte usta, otaczały go wystające kawałki substancji identycznej

61

jak ta, z której zbudowany był czarny pas. Do czego miały służyć, trudno było powiedzieć, ale wyglądały jak rząd zębów, gotowych zamknąć się za

zuchwałcem. Ziemiańcin zazdrościł teraz Baku umiejętności latania.

Chociaż tunel był krótki i otwarty na obu końcach, powietrze w nim było stęchłe. Surra przebiegła pedem, a konie pognęły za nią i wypadły znow w

sloneczny b lask. Znaj dowal i sie na koncu obszernej doliny.

-Polamiemy tu nogi, jak nic! - krzyknal Mac. Mial zupelna racje. Przed nimi rozciagalo sie rumowisko zwalonych blokow czarnej substancji porosniete gaszczem pnaczy. Sorenson zsiadl z konia.

-Jakis budynek... moze bunkier... - siegal juz po aparat ho-lograficzny, ale Bokatan wyjechal na czolo, poganiajac:

-Do doliny teraz... noc tutaj... zle...

Sorenson zgodzil sie niechetnie. Storm byl juz na ziemi i owinawszy cugle wokol reki pomagal Macowi przy jucnych koniach. Norbisowie rozproszyli sie w poszukiwaniu najlatwiejszej drogi w tym labiryncie. Przeciskajac sie waska sciezka, Indianin stwierdzil, ze to doskonala pulapka, nie do przebycia po zmroku.

-Chcialbym wiedziec, co tu sie stalo. - Mac przepychal sie ciagnac za soba siwka, pierwszego z jucnych koni. - Wyglada, jakby ktos tu bawil sie dynamitem, co?

Sfcorm rozejrzal sie, po raz pierwszy patrzac na rumowisko nie tylko jako na przeszkode. Uwaga Maca byla trafna. Takie gruzy mogly byc skutkiem trzesienia ziemi, a nie po prostu uplywu czasu. Jesli nie brac pod uwage zywiolu, to w gre wchodzila tylko wojna. Ale o tej sagi tubylcow milczaly.

-Tak, jakis wybuch... - Mac gramolil sie naprzod - albo moze solidna powodz.

-Lub powodzie. - To byl Sorenson, ktory zrownal sie z nimi, gdy staneli, by dac odpoczac koniom. - Spojrzcie tutaj.

Wskazal linie na scianie bedace sladami po wysokich poziomach wody.

-Sadzi pan, ze tunel stanowi odpływ? - zaryzykowal Storm.

-Jezeli nawet nie byl tak pomysly, na pewno jest nim teraz. I to od wielu lat. Wedlug Bokatana, w dolinie jest duze jezioro. Kilka ulew i woda musi szukac ujscia.

Pol mili przedzierali sie przez ruiny, po czym weszli w lozysko

62

Przeki, za którym rozposcieral sie stromy stok. Czarny tor szedl prosto i ginal pod ziemia. Wdrapawszy sie na stromizne ujrzeli, ze stoja na krawedzi tamy

zamykajacej brazowe, spokojne wody wielkiego jeziora. Po jego drugiej stronie

dolina ciagnela sie dalej. Z wody

I wystawaly zarosniete haldy glazow. Resztki miasta?

Sorenson westchnal, zdjal kapelusz i wytarl zakurzone i spocone czolo.

-Moze i nie znajdziemy Grot - powiedzial wolno - ale cos znalezlismy.

Naprzod, chlopcy, rozbijamy oboz. Przed zmrokiem chce zrobic tyle zdjec, ile sie da!

Rozlozyli sie obozem na wysepce. Storm rozpylal na ziemi plyn przeciw owadom. Zauwazyl, ze wszyscy tubylcy rozlozyli swoje skorzane spiwory blisko ognia.

Mac przygladal sie rumowiskom.

-Jesli chcemy kopac, to wybor jest duzy. Tylko, ze bedziemy to chyba robic sami. Norbisowie nie wezma sie za to.

-Podczas tej wyprawy zdazymy tylko sporzadzic mape - przylaczył sie do nich Sorenson. - No, moze zalozymy jedno czy dwa probne stanowiska.

Przydalyby sie jakies drobiazgi, zeby zrobic wrazenie na dyrekcji. Ale jezeli to miejsce jest tym, na co wyglada, to trzeba bedzie stalego obozu i tuzina lat, zeby je do konca opracowac. Bokatan - zwrocil sie do przewodnika - ta woda - sygnalizowal - znika w czasie Wielkiej Suszy czy zostaje?

Norbis rozlozyl z zaklopotaniem rece.

-Bokatan przychodzi tylko w porze deszczowej... nie widzi, jak sucho. Ale woda duza... nie mysle, ze wysycha.

-Jestem sklonny w to uwierzyc - radosnie stwierdzil Sorenson. - To znaczy, ze bedzie mozna tu pracowac przez caly rok.

. - Jesli wody nie bedzie za duzo - zaoponowal Storm. - Sadzac ze sladow, w czasie powodzi wszystko to jest zalane.

Archeolog nie dal sie zbic z tropu.

-Jesli to bedzie konieczne, rozbijemy oboz w polnocnej czesci doliny. Dno wznosi sie tam dosc wysoko. Z pewnoscia woda nie przykrywa wszystkiego.

Zreszta, w ubieglym miesiacu opady byly spore, a widzi pan, jakie jest jezioro.

Mial okazje sprawdzic swoje przewidywania jeszcze tej nocy. Rozpadalo sie

tak, jak w drodze do Krzyzowki. Pozostawanie na wysepce bylo ryzykowne, wiec

w pospiechu wyruszyli w kierunku wyzej polozonego, nie znanego, polnocnego

kranca doliny.

Ulewa odsunęła niebezpieczeństwo ataku wojowników Nitra, ale Norbisowie wyglądali na zaniepokojonych. Woda i wojna stanowiły dar od Ciskających-Gromy, ale

dolina nie była bezpiecznym miejscem. Trzech tubylców pojechało na poszukiwanie miejsca na oboz, które leżałoby powyżej starych śladów wody. Storm i Mac prowadzili juczne konie pod górę, jak najdalej od jeziora, Sorenson zaś ruszył z Bokatanem w stronę Grot. Archeolog był zdecydowany zobaczyć jak najwięcej, na wypadek, gdyby musieli się wycofać z doliny.

Zwykle posłuszne konie tym razem zachowywały się dziwnie. Storm zawał, że nie może użyć Surry jako dodatkowego poganiacza, ale kot zniknął na samym początku ulewy. Na pewno znalazła sobie gdzieś suche schronienie. Od wczoraj nie widział też orla. Prawie wszystkie konie wspięły się już na urwisko, kiedy usłyszał podniecony krzyk Maca. Sądząc, że towarzysz znalazł dobre miejsce na oboz, Storm pognał ostatniego z koni, własną klacz.

Wtedy świat wokół niego wybuchł." Storm był w swoim życiu pod ostrzałem, widział nalot dywanowy na umocnionego przeciwnika, ale to szalenstwo nie było wytworem człowieka - tym razem swój miecz obnażyła natura.

Deszcz jeszcze się nasilił, okrył go dusząca zasłona. Nie mógł dojrzec nawet oczu, głowy czy ubłoconej grzywy swojego konia. Strumienie wody zatykały dech w piersiach, bily o ciało. Strzepiasta, purpurowa błyskawica. Ogluszający grzmot. Ogier rżał, starał się uwolnić, oszalał z przerażenia. Nagle rzucił się do przodu przez scianę wody, jeździec przywarł do szyi wierzchowca lapiąc z trudem powietrze.

Nadal było ciemno, ale już nie czuł deszczu, słyszał tylko jego loskot. Błyskawica znowu przecięła niebo. W jej świetle Storm zobaczył, jak w gorze, ponad nimi, potężny nawis obrywa się i leci w dół. Oszolomiony, zeskoczył z konia, upadł na kolana, czuł jak masy błota spadają mu na plecy, przygniatają do ziemi. Stracił przytomność.

Otworzył oczy. Wokół panowała przerażająca, absolutna ciemność i cisza. Próbował się poruszyć. Był przywalony ziemią, ale udało mu się dzwignąć górną część ciała. Nic chyba nie było złamane. Bolało go całe ciało, ale mógł poruszać rękami i nogami wygrzebując się z błota. Usiłował przypomnieć sobie, co się działo w ostatnich chwilach, zanim świat się zapadł.

Zawał. Odpowiedziało mu płaczliwe, przerażone rzenie. Jeszcze raz zawał w ciemność, łagodnie uspokajając zwierzę w języku,



ktorego uzywal rozmawiajac z nim od pierwszego spotkania. Mowiac, nadal rozkopywal ziemie wiezaca mu nogi, az wreszcie mogli powstac. Sprobował

zbadac otoczenie wyciagnietymi rekami. Przypomnial sobie o latarce przy pasie.

Nacisnal guzik i snop swiatla wydobył z mroku skalna sciana, przy ktorej stal. W

bok i wokol miejsca, w ktorym sie znajdował, panowała nieprzenikniona

ciemnosc, ktora rownie dobrze mogła być wnetrzem jaskini, jak otchłania.

Wreszcie ujrzal konia. Chrapy przerazonego zwierzecia pokryte były piana.

Storm pogladzil spocona szyje. Zdal sobie sprawe, ze powietrze, podobnie jak w

tunelu, jest tu zatechle, martwe. Z kazdym oddechem czul rosnace mdlosci i

pragnienie, by rzucic sie i przebic jakos na zewnatrz, daleko od tego miejsca. Z

trudem sie opanowal.

Po prawej mial druga skalna sciana, a za plecami zwaly mokrej ziemi, ktore

go uwiezily. Spod nich saczyly sie wolno w jego kierunku strumyczki wody,

tworzac w zaglebieniach male jezioro. Nagle ziemia obsunela sie nieco i tuz pod

sklepieniem blysnelo przycmione swiatlo, skrawek metalicznej szarosci, ktory

mogł być niebem.

Storm wylaczyl latarke, jeszcze raz przemowil do konia i zaczal sie wspinac.

Bardzo ostrocznie, po kilka centymetrow, by nie spowodowac obsuniecia sie

ziemi, dotarl w koncu do otworu i z wdziecznoscia wciagnal do pluc pachnace

deszczem powietrze. Ziemia była miękka i z latwoscia samymi rekami poszerzyl

okienko.

Trafil na skale, ktora musial ostrocznie odsunac. Dziwil sie przy tym

wlasnemu szczesciu, ktore uchronilo go wraz z koniem przed takimi pociskami...

Uczucie to nasililo sie, gdy trafil na jeszcze wiekszy glaz, tkwiacy w otworze

niczym korek w szyjce butelki. Zaczal rozkopywac ziemie wokol tej skaly

starajac sie wypchnac ja na zewnatrz. Od czasu do czasu sprawdzal przeciek spod

zwalow ziemi - wzrastal, ale powoli. Czy strumien lub jezioro wylaly? Nie

pamietal, w ktora strone uciekal Deszcz...

Wielka gruda mokrej ziemi i splatanych korzeni runela na zewnatrz i Storm

dostal sie pod strumienie deszczu. Przyjemna wilgoc zmywala z ciala bloto i

stechlizne jego pulapki.

Przecisnawszy sie, wychylil na zewnatrz glowe i ramiona. Widocznosc

ograniczal deszcz, ale to, co zobaczyl, bylo i tak przerazajace. Ziemia, na ktorej lezal, byla teraz brzegiem jeziora, ktore pokrywalo cala widoczna przestrzen. Na jego wzburzonej, smaganej strugami deszczu powierzchni dryfowaly wyrwane z korzeniami drzewa,

67

a tuż pod nim leżalo ciało jego czarnej klaczy, przygwozdzone do brzegu przez wielki glaz, który zmiądzyl jej głowę i przednie nogi.

Na kruchej wyspie jej ciała kulil się mały, futrzasty klebek, czepiający się rozpaczliwie juków. Storm sciagnal pas, odpial noz i emiter i rzucil jeden z koncow w kierunku zwierzaka. Za trzecim razem pas wyladowal na ciele martwego konia i meerkat wspial sie zwinnie do rak swego pana.

Była to Hing. Na ile mogli się zorientować, zwierze nic się nie stało. Wolal nie zastanawiac sie, co spotkalo jej przyjaciela, bo torba w ktorej podrozowal Ho, musiala byc teraz przygnieciona ciałem klaczy.

Meerkat przylginal do Storma i skomlac zalosnie opowiadal o swym nieszczęściu.

Ziemianin oczyscil futro zwierzaka z błota, zaniosl go do jaskini i owinal derka. Potem wrocil do otworu.

Rozkopywac go dalej bylo teraz niebezpiecznie. Moglby doprowadzic do tego, ze wody jeziora zatopilyby ich schronienie. Trzeba poczekac do rana, wtedy, byc moze, przestanie padac. Przecież nie moze tak lac przez caly czas.

Szarosc dnia przeszla w czern bezgwiezdnej nocy. Storm siedzial oparty o sciane z Hing skulona na piersi. Wygladal jakiegos swiatla na zewnatrz, znaku, ze ktos jeszcze sie uratowal, ze nie jest jedynym czlowiekiem, ktory przezyl te powodz. Daremnie.

Musial w koncu zasnac, bo kiedy podniosl glowe, ujrzal slaby blask slonca. Hing siedziala obok, zajeta toaleta, biadolac nad zalosnym stanem swojego zwykle dobrze utrzymanego futra i patrzac nan z niemal ludzkim niesmakiem.

A zewnatrz wody opadly, odslanjajac szczatki swych ofiar. Cos koloru ziemi, o wstretnym, zebatym czubku ucztowalo na klaczy. Storm krzykнал i odpedzil stworzenie rzucajac w nie grude ziemi. Padlinozerca umkнал, a glos Ziemianina odbil sie dziwnym echem od skal. Zawolal jeszcze raz, czekajac na odpowiedz. Chociaz powtarzal to wielokrotnie, nikt sie nie odezwal. Wrocil wiec do pracy i poszerzyl otwor na tyle, zeby sie wydostac na zewnatrz. Zesliznal sie w dol i zatrzymal przy martwym koniu.

ROZDZIAL 8

Ocaliwszy swój bagaż, Storm schował go w jaskini i postawił Hing na straży ostatnich zapasów. Meerkat nie był stworzeniem walecznym, ale potrafił

odstraszyć małych padlinozerców, takich jak spotkany rano. Powziawszy takie środki ostrożności Storm wyruszył na poszukiwania, pomagając sobie naśliskich zboczach wyciągniętym z wody kijem. Dwukrotnie spłoszył uczujące na zwłokach zwierzęta i dwukrotnie z biciem serca biegł sprawdzić, czym się posiłowały. Raz był to kon Sorensona, a drugi zmaltretowane stworzonko, które pewnie porwał wezbrany strumień.

Od czasu do czasu zatrzymywał się, wołał, gwizdał na Baku, ale odpowiedź nie nadchodziła.

Słońce stało wysoko i szybko osuszało teren. Mogł już brnąć brzegiem jeziora. Ciemne wody pokrywały teraz pięć szostych doliny, w tym cały niższy kraniec, przez który tu się dostali. Nie znalazł żadnych śladów świadczących, by ktoś przeżył, żadnego dymu, żadnej odpowiedzi na ponawiane wołanie.

Rumowiska były w większości przykryte wodą, tylko kilka wystawało ponad powierzchnię. Na dwóch zobaczył jakiś ruch, schronił się tam małe zwierzęta zamieszkujące trawiaste polacie doliny. Już miał zawracać do jaskini, gdy usłyszał łopot potężnych skrzydeł i na czystym niebie ujrzał czarną sylwetkę Baku. Gwizdnął i orzeł zanurkował ku niemu. Zatrzymał się w powietrzu, bijąc skrzydłami nad głową pana. Oznaczało to, że Storm ma pójść za nim. Ale droga, jaką wskazywał ptak, wiodła wprost przez jezioro.

Storm nie ufał ciemnej toni pełnej dryfujących resztek i wybrał szlak wzdłuż brzegu. Choć sprawdzał grunt kijem, czasem zapadał się aż po uda. Baku przysiadł na jednym z rumowisk, które przed powodzią znajdowało się znacznie powyżej jeziora, w suchej części doliny. Storm zawołał. Orzeł krzyknął w odpowiedzi, ale nie ruszył się z miejsca. Kij Storma trafił na glebie - jeśli chciał dostać się na wysepkę, musiał tam przepłynąć. Ostrożnie zanurzył się i zaczął płynąć w błotnistej, cuchnącej cieczy, starając się omijać unoszące się w niej szczątki.

Wreszcie wyczuł dno, wyszedł z wody i wspiął się na szczyt. Spodziewał się, że znajdzie tam jakieś ofiary powodzi. Zobaczył pole bitwy. Leżeli trzej: Sorenson, Bokatan i Dagotag. Każdy przeszyty

wojenna strzala, kazdy bez prawej reki. Wygladalo na to, ze zgineli. dzisiejszego ranka, kiedy on usilowal wydostac sie z jaskini.

Lek przed zmarlymi, wlasciwy od wiekow jego rasie, walczył w nim z pragnieniem poznania prawdy i koniecznoscia oddania towarzyszom ostatniej poslugi. Storm ruszył pomalu w kierunku zwlok. Katem oka spostrzegł nagle jakis ruch. Płowy, splamiony krwia leb uniosl sie lekko i Indianin jednym susem znalazl sie przy boku pustynnego kota. Surra jeknela. Poszarpana rana na glowie wygladala okropnie, ale okazala sie, na szczescie, niegrozna. Napastnicy mysleli pewnie, ze kot jest martwy. Storm nie po raz pierwszy zalowal, ze jego zwierzeta nie potrafia mowic. Mogl tylko domyslac sie, co tu zaszlo.

Przypuszczal, ze Sorenson zostal wraz z Norbisami odciety przez powodz i wszyscy schronili sie na tym wzniesieniu, ktore bylo najwyzsze w okolicy. Zaatakowani zostali pozniej, juz po burzy. Napastnicy spladrowali potem dokladnie oboz, zniknela cala bron. Wyciagnal osobisty zestaw pierwszej pomocy i zabral sie do opatrywania rany Surry. Poddawala sie temu cierpliwie, pojejujacy tylko od czasu do czasu. Pracowal najwolniej, jak potrafil, starajacy sie nie myslec o zajeciu, ktore go czekalo. Ale kiedy rana byla juz opatrzona, musial sie do niego zabrac. Nie mogacy opanowac dreszczy wyprostowal skrecone cialo Sorensona i ulozyl obok niego Norbisow. Nie mial czym wykopac grobu, wiec usypal nad nimi kopczyk z ziemi i kamieni, pracujacy z zawzietym uporem w lazni parowej, w jaka zamienilo wysepke slonce.

Surra odezwała sie. Podnioslszy glowe zobaczyl, ze usiluje stanac na nogach. Baku przezył, Surra tez, w jaskini czekaly\* Hing i Deszcz. Nie znal sie na zwyczajach wojennych Norbisow, ale nie sadzil, zeby Nitra - jesli to oni byli napastnikami - pozostawali nadal w dolinie. Mogli z powodzeniem uwazac, ze pozbyli sie juz wszystkich czlonkow wyprawy badawczej.

Musi przeniesc Surre do polnocnej, wyzej polozonej, czesci doliny. To znaczy, ze bedzie musial uzyc konia. Przemowil lagodnie do kota, przekazujacy mu jednoczesnie myslowy obraz tego, ze pojdzie, ale wroci niedlugo.

Wody szybko opadaly, wiec w drodze powrotnej musial przeplynac tylko kilka metrow. Wrociwszy do jaskini ujrzal, ze Hing zajela sie juz poszerzaniem wyjscia, byc moze, w poszukiwaniu jadalnych korzeni. Zrobienie przejscia dla konia bylo tylko kwestia paru chwil.

Deszcz poklusował w dół, napił się wody, a potem rzucił łapczywie na nasiakłą trawę.

Prowadząc za sobą ogiera z zapasami i Hing na grzbiecie, Storm dotarł w pobliżu pagórka. Z cofających się wód wynurzył się płatek wyplukanego zwiru pod ścianą wąwozu. Postanowił, że tam rozbije tymczasowy oboz. Zostawił bagaż pilnowany przez Baku i Hing i zaczął brnąć w kierunku rumowiska.

Deszcz od początku zaakceptował Surre jako towarzyszkę, ale czy zgodzi się na kota-jeźdźcę? Storm, dosiadłszy konia, powodował nim przemawiając łagodnie. W końcu, gdy wierzchołek stał spokojnie u stop wzniesienia, przywołał Surre, Chwiejnie podeszła do brzegu i skoczyła, ciężko ładując na grzbiecie konia. Ku zdziwieniu Ziemiańszczyzny, ogier nie usiłował pozbyć się podwójnego obciążenia. Ruszyli z powrotem, Surre ułożona niezgrabnie przed Stormem.

Kiedy już dotarli na miejsce, zrobił przegląd zapasów. Przed opuszczeniem Krzyżówki ograniczył swój osobisty ekwipunek do rzeczy zupełnie niezbędnych, licząc na zapasy żywnościowe przygotowane przez Sorensona. To, co udało mu się uratować, było więc zaledwie cząstka tego, czego będą potrzebować, zanim dotrą do jakiegokolwiek samotnej posiadłości lub obozu pasterskiego. Miał emiter, łuk i noż. Miał żelazną rację żywności, którą już napoczał. Miał spiwor, derkę z Ziemi, zestaw pierwszej pomocy, latarkę, prymus z trzema zapasowymi nabojami i manierkę z oczyszczoną wodą. Będzie musiał gotować wodę, chemiczne oczyszczacze przypadły razem z resztą zapasów. Dawał już sobie jednak radę w gorszych warunkach, a i zwierzęta potrafiły zadbać o siebie.

>> Była tu przecież jakaś fauna - przerosnięty kuzyn krowy, zamieszkujący skały, którego upolowali po drodze, stworzenie podobne do jelenia, które ustrzelił z łuku, stepowe kury, chociaż tych trzeba sporo, żeby zaspokoić głód. Ale wszystkie zwierzęta na Arzorze wędrowały wraz z wodą, będą więc musieli dotrzeć do nadrzecznych łąk przed Wielką Suszą.

Storm siedział ze skrzyżowanymi nogami przy posłaniu Surre. Hing wcisnęła pyszczek w koszulę pana mruczac smutno do siebie. He znaleźli nawet torby, w której jeździł Ho, i zwierzę bardzo tęskniło za przyjacielem. Ziemiańszczyzny gładził szorstkie futro przyglądając zalanemu wodą, południowemu krancowi doliny. Na wydostanie przez tunel musieliby jeszcze długo czekać.

Storm zdjął Hing z kolan i sięgnął po lornetkę. Omiotł jeszcze

raz wzrokiem okolice. Cos bylo nie tak, chociaz trudno mu bylo sprecyzowac swoje wrazenie. Wydawalo mu sie, ze przedtem wygladalo tu jakos inaczej.

Przyjrzał się wysokim scianom. Sprawny wspinacz mógł się tamtędy przedostać, ale nie było mowy o przeprowadzeniu konia. Jeżeli na północy nie było jakiegos przejścia, to tunel pozostawał jedyną drogą na zewnątrz. A iść na północ znaczyło zapuszczać się dalej w nie zbadane tereny.

Samotność nie była dla niego niczym nowym. Przez całe dotychczasowe życie przeszedł sam. Łatwiej zresztą znosił wyprawy ze swoimi zwierzętami, niż pobyt w takim ludzkim mrowisku, jakim było Centrum. Ale w tej dolinie było coś, z czym nie spotkał się przedtem, nawet na obcych, opanowanych przez wroga planetach, gdzie żył w ciągłym niebezpieczeństwie. To coś tkwiło w rumowiskach, skalnych scianach i nie był nawet specjalnie zaskoczony, że na pagorku znalazł tylko trupy. To miejsce przyciągało śmierć. Wszystkie zmysły, całe jego ciało pragnęło wydostać się stąd. Gdyby nie Surra, która nie zniósłaby takiej podróży, wyruszyłby natychmiast.

Postanowił rozpalić ognisko. Nie tylko, żeby wysuszyć przemoknięte rzeczy i ogrzać się w czasie chłodnej, przesiąkniętej wilgocią nocy. Ogień był pierwszą, najstarszą bronią przeciwko nieznanemu. Zaczął coś mówić, potem słowa zamieniły się w piosenkę, stara piosenka, która chroniła przed czymś, co czyha w mroku. Słowa, których nie mógł pamiętać, teraz przychodziły łatwo, układając się w kojący rytm.

Nagle Baku, siedzący wysoko na skale poruszył się. Surra podniosła głowę i zastrzygła uszami. Storm sięgnął po emiter. Plecy oparł o scianę, z prawej strony chronił go wysoki głaz. Drugą ręką wyciągnął noż. Atak musiał być bezpośredni. Gdyby to był łucznik, już zacząłby strzelać.

-Eruoooo...! - zawołanie odbiło się echem. Słyszał je już nie raz i nie potrafił powtórzyć. Storm, nie tracąc czujności, z palcem na spuszczeniu emitera, patrzył na zbliżającą się postać, ledwie widoczna w gestniejącym mroku. Gorgol dotarł do nich i opadł na skraj posłania Surry. Prawe ramię przyciskał do piersi, lewa ręka sygnalizowała z trudnością.

-Wrog... po powodzi... zabili... wszyscy martwi.

-Tak jest - odpowiedział Storm. - Pozwól obejrzeć rane, wojowniku. -

Oparł chłopca o głaz i zbadal pospiesznie rane, światło dnia słabło z minuty na

minute. Na szczęście, na ile mógł się

72

zorientować, była czysta, zaden ze zdradzieckich haczyków nie pozostał w ciele. Przemysł ją resztkami czystej wody i obwiązał. Gorgol westchnął i przymknął

oczy. Storm wyjął blok skoncentrowanej żywności, odłamał kawałek i włożył w zdrową rękę Norbisa.

Kiedy tubylec znowu otworzył oczy, Storm zadał najważniejsze pytanie:

-Nitra odeszli? Czy dalej są tutaj?

-Nie Nitra - Gorgol zdecydowanie potrząsnął głową. - Nie Nitra

zabijali... nie Norbisowie...

Storm przysiadł na piętach lustrując upstrzone mrowiskami pustkowie. Przez moment z jego niejasnych obaw wyszło się przerażające przypuszczenie: ludzie

z Zamkniętych Grot? Może jakieś wrogie siły, które pozostawili tu na straży?

Skrzywił się. Ludzie na wzgórzu zostali zabici strzałami, rana, która przed chwilą opatrzył, pochodziła od tej samej broni. Przesady walczyły w nim z rzeczowym podejściem.

-Nie Norbisowie?

-Nie Norbisowie, nie Nitra... -jednak dobrze odczytał znaki tubylca.

Chłopiec sztywno poruszył prawym ramieniem i nadal obiema rękami: -

Przyszli ludzie z daleka... jak ty!

Ale strzały? Rytualne okaleczenie zwłok...?

-Widziałeś ich?

-Widziałem... na gorze... woda wysoko, wysoko! Ludzie przyszli po

deszczu... mieli to - wskazał puklerz ze skóry jorisa - jak Norbisowe... mieli

luki... jak Norbisowie... ale nie Norbisowie. Myśle, Rzeźnicy z Gor... kradną

konie... kradną frawny... zabijają... mówią, że to Norbisowie. Znaczą trupy jak

Norbisowie. Strzelali... Gorgol padł jak martwy... ale najpierw zabił jednego! -

Oczy mu zabłysły - Gorgol teraz wojownik! Ale za dużo... - rozpostarł palce,

żeby pokazać liczebność wrogów.

-Rzeźnicy z Gor! - powtórzył głośno Storm, a Gorgol musiał odgadnąć

znaczenie słów, bo potwierdził z przekonaniem.

-Są jeszcze tutaj?

-Nie jest tak. Oni odeszli - wskazał na połnoc. - Myśle, że tam

mieszkają. Nie chcą, żeby poznać ich kryjówkę... więc zabijają.

No coż, jeszcze jeden powód, żeby nie szukać wyjścia na północy. Palce

Gorgola mówiły dalej.

-Mają jeźdźca... on związany... może chcą zabić, żeby karmić

73

złe duchy - zawahał się i dodał przerażający znak, który Storm po raz pierwszy ujrzał w wykonaniu Sorensona: - MIESO.

Indianin słyszał, że niektóre plemiona Norbistów dla uczczenia lub

przeblagania demonów, ceremonialnie pozerają swych jeńców. Większość

szczerpów uważała te praktyki za ohydne i toczyła niekończącą się wojnę z

kanibalami. W umyśle Norbisa pojęcie zła było tak ściśle związane z MIESEM,

że wysunięcie takiego przypuszczenia było dla Gorgola czymś oczywistym.

-Nie jest tak - sprostował Ziemiak. - Rzeźnicy nie jedzą więźniów.

Ten jeńiec był z równin?

-Poganiacz - przytaknął Gorgol.

-Sa blisko osadnicy? Możemy ich znaleźć... powiedzieć o złych ludziach...

że zabili...

Gorgol spojrzał na południe.

-Wiele słońca do góry... na dół... zanim dojdziemy tedy do osadników.

Może być przejdziemy. Ale nie po ciemku... Nie znam terenu... Nitra na

wzgórzach. Człowiek stapa cicho, szybko, bardzo ostrożny... - zmierzył Storma

wzrokiem w sposób, którego przybysz nie rozumiał.

-Zgadza się - powiedział i zasygnalizował Storm.

Zapadł zmrok. Otulił Gorgola własnym spiworem, a sam skulił się na trawie

obok Surry, usypiając, jak wielokrotnie przedtem, z pełnym zaufaniem, że

nadzwyczajny słuch kota wychwyci każdy szmer.

Prawie świtało, gdy obudził go jej słaby sygnał. Oprzytomniał od razu,

umiejętność tę posiadał już tak dawno, że nie zdawał sobie nawet z niej sprawy.

Cokolwiek to było, wywołało tylko zaciekawienie kota. Nadstawił uszu, ale

słyszał tylko ciężki oddech Gorgola, stuknięcie podkowy swego konia i nagle...

jakis stukot, tak cichy, że sam nie zwróciłby na niego uwagi.

W szarowce można było już odróżnić kształty. Odbezpieczył emiter.

Wycelował, kiedy był pewien, że ciemna plama nie jest koniem. Kontur o



przyczekim lbie mogli nalezec tylko do jednego zwierzecia na Arzorze, a mieso tego zwierzecia bardzo by sie im teraz przydalo. Minute pozniej sprawial juz cialo rocznego, dobrze wypa-sionego frawna. Ale co robilo to zwierze w takiej dziczy?

Frawny trzymaly sie w stadach, zamieszkiwaly rowniny i w normalnych warunkach nie spotykalo sie ich ani pojedynczo, ani w gorach.

Przykucneli przy ognisku, ktore Storm odwazyl sie rozpalic,

74

zbudowawszy przedtem oslone z kamieni. Kawaly miesa nadziali na zaostzone kijki i Norbis pilnowal, aby sie rowno przyrumienily.

-Kradziony - odparl na watpliwosci Storma. - Zli ludzie chowaja

frawny w kryjowkach... moze tego zgubili po drodze... moze burza rozpedzila stado...

Storm w zamysleniu przygladal sie pieczeni. Z wszystkimi tymi kradziejami frawnow i koni wiazal sie jeden problem. Co, u licha, zlodzieje zamierzali zrobic z lupem. Rynkiem zbytu byly inne planety, a w jedynym porcie kosmicznym, wszystkie ladowane zwierzeta ksiegowano, wymagano dokumentow kupna i zezwolenia na eksport. Osadnicy pierwsi wykryliby nowego, ktory nie potrafilby wytлумaczyc swego stanu posiadania. Jaki wiec byl sens kradziezy miesa bez szans jego sprzedazy?

-Po co im mieso... nie sprzedadza... - Wiedzial, ze bystry chlopak nadaza za jego tokiem myslenia.

-Moze nie sprzedaja... duzy kraj. Zabieraja frawny daleko... konie tez.

Norbisowie wiedza, gdzie kryjowki. Norbisowie zabieraja konie z ukrytych miejsc. Hurol... z naszego szczepu zabral tak trzy konie ostatniej suszy. On wielki myśliwy... wojownik...

A wiec Norbisowie odwiedzali kryjowki Rzeznikow. No tak, takie zajecie moglo odpowiadac charakterowi tubylcow. Ale nadal nie wiedzial, jaki zysk chcieli osiagnac Rzeznicy? Niezbledny bylby ukryty port kosmiczny dla nielegalnego zaladunku. Ukryty port kosmiczny! Zesztywnial z szeroko otwartymi, niewidzacyimi oczami utkwionymi w ognisku. Surra, odbierajac ten stan, warknela cicho. Byly przeciez takie porty. Jeden z nich sam odkryl i naprowadzil na niego galaktyczna grupe operacyjna. Za jego pomoca pozbawiono planete dostaw zywnosci. Odezwała sie w nim zyłka myśliwego.

Wojna sie skonczyla - oficjalnie. Spedzil ten okropny rok w Centrum, zeby udowodnic, ze jest o tym przekonany. Ale zalozmy - tylko zalozmy - ze jego szalona hipoteza byla prawdziwa! Mialby wtedy jeszcze jedna szanse wziecia odwetu na mordercach jego swiata. Zaczal cichutko mruczec. W tej chwili sprawa Quade'a byla bardzo, bardzo daleko, prawie o niej zapomnial. Gdyby miał słusznosc! O Dalecy Bogowie, pozwolcie, zeby miał słusznosc! Obrocil sie do Gorgola, obserwujacego go uwaznie kocimi oczami.

-Ci Rzeznicy... maja konie?

-Jest tak - padla odpowiedz.

75

-No to, jak Huroł, sprawdzmy, czy te konie nas uniosa! Cienkie wargi Gorgola rozciagnely sie w norbiskim polusmiechu.

-To dobrze slysze. Oni zabili nasza krew i za to musi byc zabieranie rak...

W tej chwili Storm zdal sobie sprawe, jak niewiele brakowalo do zerwania ich przyjazni. Gdyby, tak jak planowal poczatkowo, pojechal na poludnie, pogwalcilby zwyczaj nakazujacy pomszczenie zabitych. W porownaniu ze zbrodnia, ktora podejrzewal, byla to drobnostka, ale dobrze bylo miec jeszcze ten jeden argument przeciw wyrzutom sumienia przypominajacego o nie dokonczonej historii z Quade'em.

## ROZDZIAL 9

Chcial wyruszyc jak najszybciej, ale chcial rowniez, zeby Surra odpoczela jeszcze choc dzien, zanim bedzie musiala sproszczac trudom podrozy. Rana Gorgola

tez wymagala troski. Postanowil wiec najpierw sam wyruszyc na poludnie, zeby zobaczyc, czy nie czaja sie tam czasem ludzie Nitra. Sprawdzil, jak miesaja sie jego pacjenci i zaczal przygotowania do wyprawy. Wymieszal czerwona ziemie i sproszkowane, kredowe kamyki z tluszczem frawna otrzymujac rodzaj farby, ktora namalowal na twarzy i tulowiu roznorodne plamy i linie. Barwy wojenne czy kamuflaz? - jego dzieło bylo i jednym, i drugim.

Gorgol przygladal mu sie z prawdziwym zainteresowaniem.

-To czary wojownika?

Ziemianin spojrzal na pasy na swojej piersi i usmiechnal sie, ale nie zmienilo to upiornego wyrazu jego pomalowanej twarzy.

-Tak, czary wojownika... czary mojego ludu... Pod wpływem impulsu zalozyl naszyjnik i zdobiony pas wojenny. Zastanowil sie, co z bronia. Sam mogli

uzywac luku, ale Gorgol, ze swoja rana, nie. Nie mogli zostawic chlopca tylko z jego dlugim nozem. Odczepil pochwe z emiterem. Wiedzial o gleboko zakorzenionym w srod tubylcow uprzedzeniu do uzywania czyjejs broni. Wierzyli oni, ze miedzy wojownikiem a jego orezem istnieje jakas mistyczna wiez. Ale byla tez mozliwosc zrobienia podarunku, przy ktorym magia broni pozostawala nienaruszona. Nie wiedzial, jak taka ceremonia ma wygladac, wiec zawieryl intuicji. Tak, jak pierwszego dnia ekspedycji, podniosl emiter ku niebu, potem skierowal ku ziemi, wreszcie podal Gorgolowi pokazujac jednoczesnie, ze jest to dar.

Pionowe zrenice chlopca rozszerzyly sie, ale nie dotknal obezwladniacza. Byla to bron przywoziona z innych planet i dla Norbisow bardzo kosztowna, rzadko ja wiec kupowali, zwlaszcza, ze trudno bylo o zapasowe magazynki. Ale czasem zdarzalo sie, ze przybysz ofiarowal ja tubylcowi. Byl to wielki zaszczyt. -Naciskasz tutaj... celujesz tak... - Storm powoli wyjasnial zasady obslugi, chociaz wiedzial, ze Gorgol pracowal z osadnikami wystarczajaco dlugo, zeby sie w nich orientowac. Mlodzieniec skinal glowa i wyprostowal sie z duma, kiedy Ziemianin przypasal mu ten nowy orez.

77

Mial juz zarzucic kolczan na ramie, gdy chlopak zatrzymal go gestem. Jedna reka wyjal polowe swoich strzal myśliwskich i podal Stormowi. Strzaly wojenne

byly uswiecone i nie mozna ich bylo przekazywac, bo moglyby zawiesc w potrzebie. Wyposazony, w barwach wojennych, znowu prawdziwy Nawaj, Storm opuscil oboz w towarzystwie szybujacego w gorze Baku.

Z wody, nadal blotnistej, unosil sie nieprzyjemny zapach. Jezeli nie dawalo sie inaczej, brnal przez plicizny, ale staral sie obejsc jezioro, nie ryzykujac kapieli. W mulistej cieczy unosily sie wzdete ciala zwierzat. Nie znalazl jednak sladow ani koni, ani Maca i czwartego Norbisa, ani zapasow. Jezeli jakies wierzchowce przezyly, na pewno zabrali je napastnicy.

Zblizajac sie do poludniowego kranca doliny, zatrzymywal sie co jakis czas, lustrujac teren przez lornetke. Wreszcie zobaczyl, ze ksztalt wzgorz rzeczywiscie ulegl zmianie. Ale dopiero, kiedy przedostal sie przez sciane pozlepianych blotem glazow, poznal cala prawde.

Tunel zniknal. Zasypany go zwaly ziemi, ktore usunac mogl chyba buldozer,

choć takiego pewnie na Arzorze nie było. Być może, człowiekowi udało się wspiąć na górę, choć groziło to ponownym obsunięciem ziemi, ale nie było mowy o przeprowadzeniu wtedy konia. Ktoś lub coś odcięło im łatwy odwrot.

Jaką godzinę później Gorgol przyjął tę wiadomość obojętnie. Wyraźnie nie robiło na nim wrażenia, że z nich wszystkich tylko Baku mógł się stąd bez kłopotu wydostać. On chciał pojechać na północ. Ziemianin obiecał mu, że następnego dnia zostawi Surre z koniem i zapasami w obozie, a sami sprawdzą drogę, którą przeszedł zablakany frań. Jeżeli zwierze mogło dostać się do doliny, to mógł tamtędy przejść także koń.

Storm miał się za niezłego tropiciela, ale Gorgol potrafił nieomal odczytywać ślady ze skał. Poprowadził ich do szczeliny, gdzie w wysychającym błocie widac było odcisk kopyta. Szczelina była z początku dość wąska i piała się pod górę, ale nadawała się do przejścia. Doszli nią do ścieżki, gdzie między skałami Gorgol znalazł mały woreczek obszyty frańnią wełną z pachnacymi ziołami.

-Ludzie z daleka już... sprowadza wielkie sny... - podał znalezisko

Stormowi, który powąchał je ostrożnie. Zapach nie był nieprzyjemny, ale zupełnie nieznan. Sądził, że może to być klucz do odkrycia tożsamości bandytów.

78

-Czy to rośnie na Arzorze? - spytał.-Nie jest tak. Czarownik znalazł trochę w obozie Rzeźników. Głowa się trzęsie... dużo snów... źle. To rzecz duchów...nie jest dobra.

Storm wetknął woreczek za pas. Był to niewątpliwie jakiś narkotyk, być może silniej działający na tubylców niż na przybyszów, którzy go przywieźli.

-Tędy... z koniami...

Pas ziemi był zdeptany konskimi kopytami, widac to było wyraźnie, pomimo że później przeszło tędy w przeciwnym kierunku stado frań.

Wszystkie konie były podkute, co dowodziło, że nie należały do Norbisów. Po drugiej stronie drogi znaleźli przyczynę, dla której frań zapuścił się samotnie w dolinę. Leżało tam inne, zabite przez jorisa zwierze, objęzione do kości. Ale jaszczur szybko zapłacił za swą zdobycz. Leżał obok - żółtawy, dokładnie oskorowany korpus, wydany na pastwę padlinozerców.

Gorgol, skradając się od skały do skały, dotarł do zwłok. Pomimo

unieruchomionego ramienia był równie zwinny jak zawsze. Kiedy Storm dołączył do niego, chłopak wskazał na głowę gada. Widok poruszył Ziemiańnika. Nie dlatego, że brakowało całej górnej części czaszki, ale dlatego, że znalazł tylko jeden rodzaj broni, który mógł zadać taką ranę. Po wojnie absolutnie zabroniono jej użytkowania.

- "Tasak"! - szepnął. Jeszcze jeden dowód, że jego wczorajsze przypuszczenie miało podstawy. Skrzywił się, patrząc na swój luk. Przeciwno emiterowi miałby jakieś szanse, ale przeciw "tasakowi" - żadnych! Norbis wstał i rozejrzał się. Podniósł kawałek kija, obrócił nim głowę zwierzęcia i podważył zuchwę. Trysnęła zielonkawa ciecz. Gorgol zagruchał coś skonsternowany.

- Śmiertelna trucizna... pora godow...

Znaczyło to, że wielkie gady były teraz dwukrotnie bardziej niebezpieczne. W czasie okresu godowego samce stawały się jadowite, a ich ukaszenie często było śmiertelne, przynajmniej dla przybyszów. Musieli teraz zabijać napotkane jaszczury nie czekając na atak.

Omijając miejsce jatki Storm zbliżył się ostrożnie do krawędzi. Widok zaskoczył go, chociaż pewnie powinien się go spodziewać. Jak wzrokiem sięgnąć, ściany doliny były wycięte w rodzaj ogromnych stopni, a raczej tarasów, w większości gęsto porośniętych. Stąd na południe wiodł równy trakt - być może, bandyci przeprowadzali

79

nim kradzione stada, bo na pewno nie daloby się przepędzić ich drogą, która tu przyszła.

Storm sięgnął po lornetkę i przyjrzał się uważnie dolinie. Na jej dnie pasło się stado frawnow, łatwych do rozpoznania dzięki charakterystycznej sylwetce: ciężkie, mocno sklepione w klebie, z wysoko uniesionymi, rogatymi głowami, zady miały niskie i prawie nagie, pokryte tylko meszkiem.

Nie widział koni ani jeźdźców. Wysokie ściany były wystarczającym ograniczeniem, zastępującym pastuchów, chociaż, zdaniem Storma, w pełni okresu godowego jorisów przydałyby się strażnicy.

Ta dolina była znacznie szersza od zewnętrznej i tylko przez lornetkę mógł zobaczyć, że jej przeciwległa ściana też jest pocięta tarasami. Porastała ją gęsta i wysoka trawa. Nie było widać żadnych śladów powodzi.

Nie było też widac niczego, co potwierdzałoby podejrzenie Storma.

Wyglądało to tylko na wygodną kryjówkę dla kradzionych stad. Gdyby nie ten zabity joris...

Poczuł na ramieniu reke Gorgola. Podając za jego wzrokiem skierował lornetkę znow w głąb doliny. Frawny nie pasły się już:

samce potraszając łbami pogalopowały niezgrabnie na prawo, podczas gdy samice z młodymi zbity się w ciasną grupę, ustawiając się w postawie obronnej, łbami na zewnątrz.

Jezdźcy! Trzech, na ciemnych, krepkich, niedużych koniach, podobnych do tych, które widział w norbiskim obozie. Ale ludzie nie byli tubylcami. Nie nosili też typowego stroju osadników: bryczesów ze skóry jorisa i koszul z frawnej wełny. Storm przyklakł odprowadzając ich wzrokiem. Pierwszy rzut oka na ich czarne bluzy, które zawsze wyglądały jak przysypane kurzem, potwierdził jego podejrzenia. To było to! Mundury wroga, nielegalny handel kradzionymi stadami, wszystko do siebie pasowało. Nic dziwnego, że załatwili członków ekspedycji inscenizując jednocześnie napastkę tubylców. Zrzucić wszystko na dzikich Norbisów. Wspaniały podstęp, wymarzona sytuacja dla Xików.

-Ssst... - Gorgol nauczył się naśladować dźwięk, którym Storm wzywał drużyny, jedyny dźwięk wspólny dla nich obu. Teraz wskazywał na północ, chcąc zwrócić uwagę towarzysza. Frawny stały nadal zbite w gromadę, czujnie obserwując jeźdźców, ale nie to zainteresowało Norbisa. Nawałnica spowodowała, że częściowo obsunięta ziemia utworzyła rodzaj ścieżki, dochodzącej do przedostatniego ta-

80

rasu. Stamtąd właśnie obserwowała jeźdźców jakaś postać, nieomal nie do odróżnienia od ziemi, do której przywarła.

Storm przyłożył do oczu lornetkę. Wysoki, szczupły Norbis musiał być zupełnie niewidoczny z dna doliny. Jego głowa wyglądała inaczej: rogi nie były jak u Gorgola barwy kości słoniowej, lecz niebieskozielone.

Spojrzał pytająco na chłopca. Młodzieniec podpełzł aż na brzeg przewieszanej skały, skąd miał najlepszy widok. Brode oparł na zranionej ręce.

Rysy twarzy były spokojne, ale kocie oczy zdradzały podniecenie. Usta rozciągnęły się w grymasie, który u Norbisa oznaczał gniew lub chęć walki.

Druga ręka zrobił znak: - Nitra.

Czy samotny tubylec działał na własną rękę, czy był zwiadowcą oddziału wojennego? Biorąc pod uwagę obyczaje Norbisów, obie możliwości były prawdopodobne. Mogł to być jakiś młodziak, który wyruszył, by zasłużyć na miano wojownika. Mogło być też tak, że Nitra odkrył te kryjówki i postanowili przejąć łup Rzeźników. Atak doświadczonych łuczników ukrytych w gęstej roślinności tarasów mógł być trudny do odparcia.

Palce Gorgola znów się poruszyły.

-Tylko jeden.

Chociaż Ziemiąnin nie mógł opanować mowy Norbisów, a chłopak potrafił jedynie naśladować dźwięk wezwania, Storm odkrył, że może przekazywać proste informacje przesadnie poruszając wargami, a Gorgol częściowo go wtedy rozumie. Odwrócił głowę i spytał:

-Oddział wojenny?

Gorgol przecząco potrząsnął głową.

-Tylko jeden.

Załował, że nie ma tu Surry. Posłałby ją w ślad za wojownikiem, żeby się upewnić, czy rzeczywiście Nitra jest sam. Teraz musiał zrewidować swój plan. Byłoby głupota zapuszczać się w dolne partie doliny narazając się na odcięcie odwrotu. A jednak chciał się dowiedzieć, dokąd tamci zmierzają.

Wycofał się na płaszczyznę z martwym jorisem kierując się ku jej północnemu krancowi. Tam odważył się podnieść. Oparty plecami o rudawy głaz, był pewien, że z odległości kilkudziesięciu metrów jest nie do odróżnienia od skały.

Dolina była obszerna, z grubsza w kształcie butelki, skierowanej szyjka na południe. Bandyci musieli ukryć wszystko pod ziemią, bo nie dostrzegł żadnych zabudowań, niczego prócz dzikiej roślinności.

81

A jednak rosło tu coś jeszcze - pionowe, wysyłające refleksy światła przez troskliwie uplecioną osłonę zieleni, za którą twórcy niewątpliwie powinni otrzymać

niezłą notę.

Przyjrzał się temu czemus uważnie. Stateczniki musiały być ukryte głęboko pod powierzchnią lasu. Wymagało to mnóstwa pracy. Sadząc z wyglądu porastającą go roślinność statek wylądował dość dawno. Pilot, który odważył się siąść na tak

ograniczonej przestrzeni, był z pewnością mistrzem. Gdyby Storm mógł przyrzec się pojazdowi bez osłony, określiłby jego typ, ale już teraz mógł stwierdzić, że na pewno nie był to transportowiec. Mogł to być statek zwiadowczy lub pocztowy albo dostawczy, którym udało się komuś wydostać w ostatniej chwili przed klęską.

Czykolwiek był, Storm wiedział, że na jego pobrużdżonym boku może znaleźć się tylko jeden symbol. Ale czy to, co widział, było tajemna kolonia Xikow, zorganizowana jeszcze w czasach ich potęgi, czy też była to tylko kryjówka maruderów, którzy, nie złożąwszy broni, postanowili tu przetrwać?

Dotarł do niego Gorgol.

-Nitra poszedł - wskazał na północ. - Może poluje na zdobycz... - zamarł z wyciągniętą ręką, utkwivszy oczy w zamaskowanym kształcie. Pokreślił ze zdumieniem głową.

-Co?



-Rzecz 'z dalekiego nieba - Storm uzyl tutejszego okreslenia statku

kosmicznego.

-Dlaczego tu?

-Rzeznicy... zli ludzie przywiezli...

Usta chłopca znow rozciagnely sie w grymasie gniewu i walki.

-Rzecz z dalekiego nieba nie przychodzi na ziemie Norbisow

-wyciagnal palce prawej reki dotykajac lewej w gescie protestu.

-Norbisowie zawarli braterstwo krwi z ludzmi z daleka... mowili prosto... zlozyli przysiege wojownikow. Statki z daleka przychodza tylko w jedno miejsce... nie w gory, gdzie Ci-Co-Ciskaja-Pioruny sa zli! Ludzie z daleka nie mowia prosto... tutaj tez rzecz z daleka.

Kłopoty! Storm wyczul grozbe w tej przemowie. Norbisowie wyrazili zgode na lokalizacje portu kosmicznego z dala od gor, ktore byly dla nich miejscem swietym. Traktat gwarantujacy osadnikom nienaruszalnosc ich osob i mienia dopuszczal ladowanie i start statkow kosmicznych tylko w tym jednym miejscu. Gdyby rozeszla sie wiesc o drugim porcie w samym sercu gor, bylby to koniec wszelkich ukladow.

82

Storm opuscil lornetke i wyciagnal rece, chcac zwrocic uwage Gorgola. - Ja wojownik... - podkreslil stwierdzenie wskazujac na swa blizne. - Gorgol

wojownik - delikatnie dotknal zabandazowanego ramienia chłopca. - Moja

blizna nie od Nitra, nie od innego plemienia jak moje... zostalem zraniony

walczac ze zlymi ludzmi... z tego plemienia! - wyciagniety palec przeszl

powietrze wskazujac ukryty statek kosmiczny - Gorgol zraniony przez tych

złych ludzi... stad! - wskazał znowu. - Oni są tymi, którzy jedzą MIESO ! -

dodał najokropniejszy w mowie tubylców znak. Żółte oczy tubylca długo wpatrywały się w twarz Storma, wreszcie palce poruszyły się:

-Przysiegasz Tym-Co-Ciskaja-Pioruny? Storm wyciągnął noż, włożył go w reke Norbisa i pociągnął za ostrze ku sobie, aż jego czubek dotknął piersi.

-Niechaj Gorgol pchnie, jeśli nie wierzy, że mówię prawdę - powoli zasygnalizował wolną rękę.

Norbis cofnął noż, odwrócił go i podał Ziemianinowi rekojesc. Gdy ten ją przyjął, chłopak odparł:

-Wierzę. Ale to... zła rzecz. Ludzie z daleka będą walczyć ze złymi ludźmi swojego rodzaju... albo przysięgac zlamana.

-Jest tak. Co potrafię, to zrobię. Ale najpierw musimy o nich więcej wiedzieć.

Gorgol spojrzał w głąb doliny.

-Nitra poluje... noc nadchodzi. W dzień najlepiej... ty nie masz oczu, co widza w ciemności.

Storm poczuł ulgę. Gdyby teraz Norbis chciał śledzić zwiadowcę, trudno byłoby mu odmówić. Ale propozycja wychodząca od tubylca zgadzała się z jego planem.

-Wielki kot wydobrzeje... - zasugerował. - Będzie mógł pilnować Nitra, gdy my będziemy śledzić złych ludzi.

Gorgol chętnie przystał na to. Widział już Surre w akcji. Rzuciwszy jeszcze raz okiem na statek, Storm ruszył z powrotem do zewnętrznej doliny. Planował działania wojenne.

## ROZDZIAŁ 10

Było już prawie ciemno, gdy dotarli do obozu. Storm zaczął budować osłonę z kamieni, żeby rozpalic ogień. Gorgol pomagał mu w tym jedna reka.

Mogliby, oczywiście, ukryć się w jaskini, w której był uwięziony, ale znajdowała się ona o całą szerokość doliny stąd. Poza tym odstreczało go wspomnienie zatechłego, martwego powietrza, powiewu śmierci, który tam czuł.

Deszcz pasł się swobodnie. Gdyby dojrzał go z wysoka jakiś Nitra albo bandyta, wzięby go za uciekiniera z obozu ekspedycji. Z Surra na straży nie groziła mu kradzież. W przyszłości można by go nawet użyć jako przynęty.

Zaproponował to Gorgolowi, który zgodził się z entuzjazmem. Taki kon był skarbem - wierzchowcem wodzów

-zdobycza, która można by się pysznić przed innymi.

-Co z drogą? - palce Storma poruszały się w świetle ogniska.

-Ścieżka, którą znaleźliśmy, nie jest dla stąd. Musimy znaleźć tę inną...

-Taka droga nie idzie przez te doliny - odparł z przekonaniem Gorgol.

To, co zdążyli obejrzeć przed powodzią, wydawało się potwierdzać taki sąd.

Nie natknęli się na żaden ślad wypasu stąd. Indianin wyciągnął noż i ostrzem

zaczął szkicować mapę doliny i jej usytuowanie w odniesieniu do kryjówki

bandytów. Rysował jednocześnie objaśniając, a Norbis, nawykły do innych map

wojennych lub myśliwskich, przyglądał się w skupieniu, od czasu do czasu

poprawiając lub zadając pytania.

Kiedy ustalili, co wiedza na temat okolicy, Ziemię widział już tylko

jedno wyjaśnienie braku połączenia między dolinami, nie licząc ścieżki, która

wspięła się dzisiaj. Droga musiała biec z południowej części, gdzieś pomiędzy

rozdzielającymi dwie niecki gorami.

-W nocy... Nitra może uderzyć... - Gorgol w zamysleniu spoglądał w płomienie. - Norbis widzi dobrze... nocny wypad to dobry podstęp... dobry przeciw Rzeźnikom.

Spojrzał na Storma.

-Ty nie widzisz dobrze po ciemku...? Może być, nie... Ale kot... on widzi!

Ziemiańcin podniósł się. Rzeczywiście! Zwiadowca nie będzie czekać wiadomo na coś. Było bardzo prawdopodobne, że na atak

86

wyberze godziny przed świtem - ulubiony chwyt tubylców. Gdyby byli przy tym, mogliby się dużo dowiedzieć.

Szansa była niewielka, dużo zależało od szczęścia i od czynników niezależnych od Storma, ale wykorzystywał takie szanse z powodzeniem już przedtem. "Zupełnie jak dawniej" - pomyślał. Dobrze znany dreszcz przebiegł mu po plecach. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że w żółtym blasku ognia w jakimś sposobie upodobił się do Surry - Surry szykującej się do skoku.

-Pojdziesz - nadal Gorgol. - Spróbujemy teraz zejść niżej... potem zaczekamy na godzinę zamylenia. .

-Ty też?

Grymas Norbisa wystarczył za odpowiedź, ale palce dodały:

-Gorgol teraz wojownik. To dobra wyprawa, powód do dumy. Pojde... będę szukać drogi.

Z namaszczaniem spożywali frawnia pieczeni. Do tego smakoliku Storm

dodał dwie tabletki koncentratu z czasów służby. Gdyby musieli się obejść bez jedzenia przez następny dzień lub nawet dłużej, nie będą czuli głodu.

Wydał Surrze rozkazy bez słów, widząc z radością, że odzyskała już większość swej siły i sprawności. Hing wsadził sobie na ramię. Baku nie nadawał się na nocne wyprawy, ale Storm wiedział, że o świcie wzbije się w powietrze i będzie mógł go wezwać.

Ponownie wspieł się ścieżką frawną i wyszli na znajomą płaszczyznę. Surra rzuciła się do przodu i od ciała Jorisa odskoczyło jakieś nieduże zwierzę, zostawiając za sobą smugę ostrej, pikantnej woni. Kot zakasłał, prychnął gniewnie i zaczął tarzać się w trawie usiłując usunąć z futra obcy zapach. Już po kilku sekundach Storm musiał przyznać, że gdyby nie nadzwyczajny wzrok Surry i Gorgola, musiałby szybko zrezygnować ze swego ambitnego planu. W gęstej roślinności tarasów panowała absolutna ciemność. Jedną ręką chwycił dłoń tubylca, drugą osłaniał Hing przed uderzeniami zwisających galezi. W końcu, podrapany i obszarpany, przedarł się przez cierniste krzaki na dno doliny.

W dzień mogliby skryć się w gąszczu. Norbis i Surra z pewnością teraz też mogliby wybrać tę drogę, ale on musiał się trzymać skraju otwartej przestrzeni. Na szczęście, frawny ułożyły się na noc daleko, na środku pastwiska. Choć uciekały przed jeźdźcami, spotkanie pieszego z bykiem, zwłaszcza w porze cielenia, mogło się źle skończyć dla tego pierwszego, przed czym ostrzegali Storma wcześniej Dort i Ransford.

spowodował, że ktoś stał się nieroztropny. Światło biegło od podstawy szczytu wieńczącego północną ścianę doliny. Storm nie miał wątpliwości co do źródła tego blasku: nie był to ogień ani atomowa lampa osadników, lecz urządzenie takie, jak to, które widywał na drugim końcu galaktyki.

Traktując pojazd kosmiczny jako punkt odniesienia, określił z grubsza położenie plamy blasku. Zaciśnął potem palce na nadgarstku Gorgola w jednym z prostych sygnałów, jakich używali w ciemności. W odpowiedzi chłopak uściśnął jego dłoń dwukrotnie, po czym Storm opuszczał się na czworaki i ruszył za Surra, z Hing usadowioną na plecach.

Pozostawiając Norbisa w zarosłach, trójka skierowała się w stronę statku. Szczęśliwie, fawny nie pasły się tutaj i trawa była tak wysoka, że od czasu do czasu Ziemię musiał się podnosić, żeby sprawdzić, czy idą we właściwym kierunku. W końcu jednak dotarli nad brzeg...

Dotknął ziemi - była mokra, świeżo skopana. Wysunął głowę poza krawędź wykopu i oświetlił go latarką, używając jej najmniejszej mocy.

Miał rację, ziemię dopiero co odkopano, praca nie była zresztą skończona, bo stateczniki były jeszcze w połowie przysypane. Krawężnik został zasypany po wylądowaniu - częściowo, by go ukryć, a częściowo, by utrzymać go w pozycji pionowej do odlotu, gdyż nie było tu żadnych wsporników. Gdyby jakaś wichura wytraciła go z pionu, choćby o kilka stopni, nie mając dźwigów do ponownego ustawienia, bandyci zostaliby po prostu z kupa złomu.

Ale to kopanie oznaczało, że zamierzali użyć statku. Chcac się dowiedzieć czegoś o jego typie, omiotł światłem kadłub - wszystkie luki były zamknięte.

Znowu spojrzał na wsporniki. Gdyby miał oba meerkaty, mógłby im zlecic

podkopanie jednego z nich, co zachwiałoby równowagę statku i zniszczyło plany Xikow. Ale sama Hing nie dałaby sobie z tym rady.

Miała ona zresztą swoje plany. Zeskoczyła z ramienia Storma, pacnęła łapą rozkopana ziemię i, uznawszy, że jest to wspaniały materiał do rozgrzebywania, sturlała się na sam dół, gdzie rozpoczęła gorliwą pracę. Na wezwanie pana prychnęła gniewnie, ale w końcu wróciła, choć niechętnie i obrażona, unikając reki człowieka. Storm, chcąc poprawić nastrój zwierzaka, zlecił mu inne zadanie.

88

Meerkat słuchał początkowo ponuro, ale szybko rozpogodził się i z radosnym gruchaniem rzucił się do rozkopywania ziemi wokół palika przytrzymującego

jedną z grubych lin, które jak sieć oplatały statek kosmiczny. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że mocno napięta sieć utrzyma kadłub w pionie i poluzowanie jednej z głównych lin może go z niego wytrącić. Trzeba było wykorzystać każdą szansę, a temu zadaniu meerkat mógł podolac.

Storm wycofał się do tarasów, starając się zatrzeć za sobą ślady. Nie udało mu się tego zrobić idealnie, ale jak mógł, uczynił ślad nieczytelnym. Kiedy dotarł do zarośli, ponownie chwycił Gorgola za reke, a ten uściśnął go dając znak, że znalazł schronienie. Była to niewielka szczelina w pękniętej pod wpływem jakichś ruchów tektonicznych ścianie tarasu. Wcisnęli się tam wszyscy z Surra, a po chwili również z Hing, która dopoty traciła nosem ramie człowieka, dopóki ten nie przyjął skarbu wygrzebanego przez stworzenie i nie przytulił zwierzaka do siebie.

Postanowili, że zaczekają do świtu. Jeżeli do tego czasu Nitra się nie pojawi, nie uczyni tego i później. Mogł on oczywiście dojść do wniosku, że kryjówka

bandytów jest dla niego zbyt twardym orzechem. Storm drzemał. Nauczył się wykorzystywać przerwy w działaniu na sen, ale poderwał się na równe nogi, gdy niebo przeciał ognisty pocisk, za którym poszybował drugi... i trzeci.

Pierwsza strzala trafiła na łatwopalny materiał i buchnął płomień. Po trzeciej usłyszeli wysokie, przerażone rzenie koni. Ogień plonął wzdłuż linii przebiegającej jakies półtora metra nad ziemią, jak gdyby na ścianie lub zagrodzie. Ściana lub zagrodzie... przypomniał sobie, jak Larkin chronić konie przed atakiem jorisów wienczył tymczasowy korral kępami ciernistych krzewów. A suche krzewy paliły się łatwo.

Przerażonym głosem koni zawtorowały krzyki. Odległy punkt świetlny, który dostrzegli wcześniej, zmienił się w spora szczelinę, będącą pewnie otwartymi drzwiami.

Gorgol poruszył się i klepnął Storma po ramieniu przekazując swój zamiar.

Spłoszone konie wydostały się jakos z plonącego korralu i pedziły prosto na nich.

Norbis chciał skorzystać z zamieszania i zdobyć wierzchowca. Miał emiter, był więc lepiej przygotowany do obrony w ciemnościach od Storma, którego luk był w nich zupełnie bezużyteczny. Ziemiańcin skinał głową i tubylec zniknął w mroku.

Nagle usłyszeli wysoki, wibrujący krzyk, który na pewno nie

89

wydarł się z gardła przybysza. Nitra w opalach? Z pewnością też miał zamiar zająć się uciekającymi koniami. Plonące krzewy oświetlały scenę. Jeźdźcy

usiłowali okraść stado. Jechali jednak zakosami, co wskazywało, czym zajmowali się w przeszłości. Storm nie miał wątpliwości, że pochodzili z oddziałów zaprawionych w bojach.



Rozbłysło światło, przy którym zbladł blask ognia. Jasny słup prawie sięgał statku, przesuwał się usiłując oświetlić konie. Czy na jednym z nich ujrzał jakąś sylwetkę? Nie był pewny, ale koni wydawał się świadomie wymykać z linii światła. Wierzchowce rozpięzły się, po dwa, po trzy, i coraz trudniej było je wszystkie oświetlić.

Huknęło i purpurowa błyskawica chlusnęła w lewo. Storm szczełnął zębami, a Surra przywarła do jego nogi przerażona i wściekła. To też już kiedyś widział - bicz zniszczenia smagający uciekinierów. Teraz już nie chodziło o konie! Gorgol! Gdyby tylko mógł go tu sprowadzić! To nie była właściwa pora na chwytanie oszalałych zwierząt. Nie, jeśli Xikowie używali promieni siły. Tubylec nie wiedział przecież nic o ich potężnych broniach.

Cieźko mu było zdecydować się na ryzykowanie życiem Surry, ale musiał dać szansę chłopakowi. Przykleknął obok kota i położył mu ręce na karku, dotykając kciukami dużych uszu. Myślał, wydał jej rozkaz: - Znajdź Gorgola. Sprowadź go tutaj.

Surra warknęła. Promień siły uderzył ponownie, tym razem po prawej stronie. Ich bezpieczeństwo zależało od tego, na ile sprawny był operator "bicza". A Xikowie potrafili nim wyczyniać prawdziwe cuda. Storm widywał już w przeszłości takie pokazy.

Kot stał napięty. Znal rozkaz i był gotów wyruszyć. Storm podniósł ręce i Surra zniknęła w wysokiej trawie. Powietrze niesło ze sobą drażniący gardło smród spalenizny. Błyskawice ciskane przez człowieka weglily wszystko, zostawiając tylko naga, czarna ziemia.

Minał go właśnie pierwszy koni, jeszcze jeden i jeszcze. Widział tylko

przemykające cienie. Gdyby w tym szalonym pedzie wpadły na stado frawnow, doszłoby do prawdziwej paniki. Zeby tylko Surra sprowadziła Gorgola...

Jeszcze jeden strzał z "bicza" i oslepiający blask. Konie, rzac szalenczo, zawrocily, ale trzy pierwsze gnaly dalej. Czy na jednym z nich byl jezdziec?

Gorgol... gdziez on byl... a gdzie Surra? Bedac na otwartej przestrzeni narazali sie nie tylko na trafienie blyskawica, ale tez na stratowanie przez oszalale konie.

90

Storm zaczel sie przygladac strzalom promieni starajac sie ocenic ich zasieg. Jesli operator nie przelaczy urzadzenia na niska czestotliwosc, blyskawice nie

siegnia ani statku, ani tarasow, ktore mial za plecami. Mogliby wiec wycofac sie spokojnie, gdyby tylko Norbis wrocil. Storm umial sobie radzic w roznych sytuacjach, ale przed bronia przeciwnika czul respekt.

Promienie padaly teraz blisko siebie, jakby mialy przeorac cala przestrzen pomiedzy statkiem a zachodnia sciana. Rece odruchowo zaslonily uszy, gdy powietrze przeszl okropny krzyk ginacego w bolu zwierzecia. Wybijali konie!. Uzywali "bicza" nie po to, zeby je zagonic z powrotem. Poswiecali wlasne stado, zeby dostac napastnika? To bylo do nich podobne. Storm z trudem zwalczyl w sobie fale furii i zmusil sie do spojrzenia na rzez, ktora byla kolejna pozycja na dlugiej, zapisanej w jego sercu, liscie zbrodni dokonanych przez te rase. Konie ginely, a czlowiek nie mogl powstrzymac dreszczy, ktore wstrzasaly nim przy kazdym jeku agonii dobiegajacym z laki. Surra! Surra i Gorgol! Jak mogliby uciec?

Hing skomlala, wbijajac pazury w skore pana i mocno przyciskajac do niego drzace cialko. Nagle Storm odskoczyl, a po chwili poczul ogromna ulge, gdy

dotknęło go miękkie, ciepłe futro, a szorstki język polizął jego ramię. Czule przywitał się z kotem, po czym wyciągnął rękę w ciemność i trafił na skóre jorisa - puklerz Gorgola.

Norbis odwrócił się, ledwie widoczny w ciemności, i Ziemiańnin zobaczył, że podtrzymuje jakąś drobną i niewysoką postać. Storm dotknął jej. Uratowany człowiek nie był tubylcem. Miał na sobie koszulę z frawniej welny - cała w strzepach - i pas, jak jego własny. To był osadnik. Chwycił jego drugie ramię i przerzucił sobie przez plecy. Gdy dotarli do pierwszego tarasu, obcy wyprostował się trochę i próbował iść, chociaż sprawiał tym więcej kłopotu niż pożytku. Pokonali już dwa tarasy, zatrzymując się tylko dla zaczerpnienia chu. Zgiełk w dole ucichł, ale promienie nadal metodycznie siekły irzestrzen. Nie było już tam ani jednego żywego stworzenia, ale wyglądało na to, że nie wystarczyło to Xikom.

Trzeci taras. Jeszcze jeden i beda przy przejściu. Obcy mruczał ips, raz czy dwa razy jeknął. Chociaż nie był zupełnie przytomny i lelkotał coś bez sensu w odpowiedzi na pytania Storma, już pewniej ymał się na nogach i posłusznie dawał się prowadzić. Nie było łatwo wspiąć się na tarasy i przedrzeć przez ich gesta

93

roślinność. Gdyby nie to, że w wyższych partiach była ona rzadsza, mogłoby ich tam zastać świat. Niebo już szarzało, kiedy doszli do skraju płaszczyzny. Surra przywarła do ziemi. Pomiedzy nimi a przejściem czaiło się jakies niebezpieczeństwo.

Gdyby Storm mógł być pewny, że to tylko Nitra, wydalby jej polecenie,

jakiego oczekiwała: - Oczyszcz drogę. Ale Xik z "tasakiem" czy inna upiorna bronja był zbyt dużym zagrożeniem dla kota. Przekazawszy swój plan Gorgolowi, Storm powoli sam ruszył do przodu, osłaniany przez Norbisa.

Jeszcze raz nadzwyczajny słuch Surry uratował im życie. Był to wartownik.

Ukrył się sprytnie w niszy skalnej pozostając tam nieosiągalny, sam natomiast kontrolował całe przejście. Żeby się go pozbyć, trzeba go było jakos stamtąd wyciągnąć. Ale jak? Storm przykucnął za skała obserwując okolice. Było teraz jasne, że bandyci poświęcili stado, żeby upewnić się o czyjejs śmierci. Szybko doszedł do wniosku, że tym kims był obcy uratowany przez Gorgola. Mogł to nawet być ten sam człowiek, którego chłopak widział w rękach napastników w dniu pogromu ekspedycji.

Nie miał złudzeń. Wszystkie drogi z doliny były teraz pilnie strzeżone.

Następnym logicznym posunięciem wroga będzie zapewne troskliwe przeczesanie tarasów i zagonienie "zwierzyny" do jednego z wyjść, prosto pod lufy rozpylaczy.

Takie postępowanie, chociaż skierowane teraz przeciwko niemu, Storm określiłby jako niezły plan. A taktyki Xikow nigdy nie można było nazwać głupia.

Kim był ten nieznajomy, że odzyskanie go było aż tak ważne? A może chodziło tylko o to, by nie wypuścić nikogo, kto wiedziałby o ich bazie? Ale te pytania nie były najważniejsze. Najważniejsze było, żeby minąć ten punkt, zanim rozpocznie się nagonka i zanim zdąży tu przysłać więcej ludzi.

Został mu jeszcze jeden fortel. Żeby tylko zadziałał! Oparł głowę na zgiętej ręce patrząc na płaszczyznę. W myślach przedstawił wroga na jego skalnym posterunku starając się uczynić ten obraz tak żywym, jak tylko potrafił.

Podtrzymując go jednocześnie tym dodatkowym, nie nazwanym zmysłem,

wzywał. Surry był pewien. Z Hing porozumiewał się tylko głosem i dotykiem, umysł zwierzęcia był zbyt ocieziały. Baku - musi go dosięgnąć! Orzeł na pewno wzbil się o świcie w powietrze i szybuje wypatrując ich. Gdyby udało się go sciągnąć tym wezwaniem!

94

subtelna wieź, która trudno byłoby nazwać władzą, a która la-, go z kotem, orłem i meerkatami, teraz skupiona była na jednym

Życie i zadania łączyły ich już tak długo, że wieź ta musiała -pnąć i mógł na niej polegać w chwili, gdy była jedynym ratun-. Baku! Przybadz - Baku! Silne, bezdźwięczne wołanie poszy-ilo w szaroliliowe niebo, będące teraz tylko przestrzenia, z której nadlecieć orzeł.

## ROZDZIAŁ 11

Baku! Wola Storma była jak powróż, jak lasso mknące w roz-1 świetlone niebo, by chwycić i sciągnąć w do} skrzydlaty kształt. Kiedyś, dawniej niż rok

ziemski temu, wezwał orła w ten sposób w podobnej sytuacji i ptak usłuchał. Czy uda mu się i tym razem?

Surra wcisnęła się w załomek skały tuż obok niego. Czuł jej napięcie. Przez chwilę ich wewnętrzne siły połączyły się, wysyłając wspólne wezwanie. Prawie bezgłosny mruczenie kota, raczej wyczuły niż usłyszany, przywołał Storma do rzeczywistości. Unosił głowę i otworzył oczy. Wydawało mu się, że wyteżał wole całymi godzinami, a nie trwało to dłużej niż kilka chwil. Xik stał w tym samym miejscu, nadal skulony za skałą, patrząc w dół, ku dolinie.

-Ahuuuu! - mógł to być dźwięk głosu jakiegoś krewniaka Surry.

Niegdyś stanowił okrzyk wojenny mieszkańców pustyni, teraz wzywał do walki

drużynie Storma.

Atak orla lub sokola jest wspaniałym pokazem precyzyjnego lotu. Jest również wyjątkowo skuteczny. Xik, być może, w ostatniej chwili zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale była to jego naprawdę ostatnia chwila. Pazury wpily się w ciało, dziób poranił twarz, a potężne skrzydła ogłuszyły wroga. Storm i Surra w mgnieniu oka doprowadzili sprawę do końca.

Zabrawszy obcemu bron, Storm wepchnął ciało do szczeliny skalnej. Trzeba było bardzo dokładnych poszukiwań, ażeby je tam odnaleźć. Twarz była okropnie poszarpana, ale Storm nie musiał widzieć bladozielonej skóry ani krwi o dziwnej barwie, żeby rozpoznać rasę, do jakiej należał zmarły. Xikowie byli humanoidami. Byli nawet bardziej podobni do ludzi niż Norbisowie, jeśli nie liczyć takich szczegółów, jak kolor skóry czy struktura włosów. Ale rogatych, łysych Norbisów i potomków Ziemiaków łączyła pewna wspólnota w odczuwaniu, niemożliwa do osiągnięcia przez Xików. Pomimo cierpliwych prób nie udało się znaleźć żadnej płaszczyzny porozumienia z nimi. Choć Ziemiaki i najeźdźcy potrafili opanować język przeciwnika, to komunikacja nie przekraczała nigdy poziomu prymitywnej wymiany informacji. Kierowały nimi skrajnie różne pobudki, a każda próba kontaktu kończyła się katastrofą.

Storm, ciągnąc ciało, nie potrafił opanować odrazy. Było to coś więcej niż jego zwykła obawa przed dotknięciem zmarłego. Podobnie

96

nie potrafił i nie chciał powściągnąć wściekłego gniewu, który ogarnął go, gdy musiał być świadkiem rzezi koni w dolinie. Nie można było zrozumieć najeźdźców. Można było co najwyżej próbować odgadnąć ich pokretne motywy.

Zniszczenie Ziemi było jednym z rezultatów ich sposobu prowadzenia wojny. Było ono równie bezsensowne, jak wymordowanie własnego stada dzisiejszej nocy. Ziemianie przeżyli zagładę swojego gniazda, rozsiani po niezliczonych koloniach w Galaktyce, a wiezien, którego Xikowie chcieli zlikwidować, właśnie im się wymykał.

Gorgol tylko czekał na usunięcie wartownika. Najszybciej, jak się dało, ciagnąć za sobą chwiejącego się osadnika, zmierzał do przejścia. Storm przerzucił zdobyczny rozpylacz przez ramię i pospieszył mu z pomocą, funkcje zwiadowców zlecając Surre i Baku. W świetle dnia zobaczył, że z uciekinierem obchodzono się brutalnie, nie w takim jednak stopniu, jak z wieloma więźniami Xików, których uwalniał z obozów jenieckich. Najważniejsze, że trzymał się na nogach. Kiedy chwycił drugie ramię nieznajomego, Gorgol uwolnił się spod jego ciężaru i szybko zasygnalizował:

-Konie... wolne... będziemy ich potrzebować... ja przyprowadzę...

I zniknął, zanim Storm zdążył zaprotestować. Pewnie, że przydałyby im się konie, ale im szybciej wydostana się z tej złowrożej doliny, tym lepiej. Tylko Bogowie wiedzieli, jak daleko posunęła się już nagonka. Storm szedł dalej, zataczając się trochę pod ciężarem osadnika. Zostawił Surre w przejściu. Jeśli Gorgol wróci z koniami, kot pomoże mu je pedzić. Surre była niecierpliwa, ale potrafiła pełnić przez jakiś czas rolę wartownika. Baku z góry obserwował okolice, Hing harcowała przed nimi, od czasu do czasu zatrzymując się wzukiwaniu jakiegoś skarbu.

Zaczynały go boleć nogi, z trudem łapał oddech, a w końcu poił klujący ból w boku. "Brak kondycji" - pomyślał ze złością - a długo siedziałem w Centrum".

Spróbował obmyślić plan działania. Oboz na kamienistym brzegu był zupełnie odsłonięty. Z drugiej strony, nie mogli odejść daleko z ledwie żywym osadnikiem, nawet jeśli Gorgol sprowadził konie. Z tego wniosek, że musieli znaleźć jaskinię gdzieś w dolinie. Storm znalazł tylko jedną i myślał o niej z chęcią - grota, do której ponosił go Deszcz w czasie nawałnicy. Iła na wschód od przejścia, około mili od ich dotychczasowego obozu. Na pewno woda opadła już znacznie poniżej wejścia do jaskini.

97

skini. Woda... suchy język oblizywał jeszcze bardziej suche wargi i Storm szybko zaczął myśleć o czymś innym.

Nie będzie czasu na odpoczynek w obozie. Zabiorą tylko zapasy, wsadzą rannego na konia i zaraz ruszą dalej. Teraz już nie uważał wyprawy Gorgola za lekkomyślną. Gdyby się udało, byłaby to dla nich wielka pomoc, pod warunkiem, że zwierzęta nie będą zupełnie zajęzione. Wierzchowce mogły stać się ich ratunkiem.

-Ty nie... jesteś... Norbisem... - chociaż słowa wypowiedziane były powoli i z przerwami, zaskoczyły Storma. Nieswiadomie traktował swojego towarzysza jak rodzaj ładunku, który należało chronić, więc ta rozumna wypowiedź zdumiała go.

Twarz zwrócona ku niemu była platanina ran i zadrapań, tak pokryta zakrzepłą krwią, że trudno było odgadnąć jej rysy. Ziemiak nie zdawał sobie sprawy, że barwy wojenne uczyniły jego twarz równie nieczytelną.

-Ziemiak - odpowiedział Storm i usłyszał krótkie westchnienie, które równie dobrze mogło być reakcją na jego odpowiedź, jak syknięciem z bólu, bo



nieznajomy własnie potknal sie i uderzył zwisajaca reka w skalna sciane.

-Wiesz... kim... oni... sa...?

Storm nie musial sie dopytywac, kogo oznaczalo slowo "oni".

-Xikowie - odparl krotko, uzywajac obrazliwego okreslenia

stosowanego powszechnie wsrod weteranow. Sciany przejścia odbily echem glos

Ziemiańska, ale zagluszył go tetent kopyt. Surra nie reagowała, znaczyło to, że

Gorgolowi wyprawa sie powiodła. Storm przyciagnal towarzysza do sciany i

czekal.

Trzeba bylo prawdziwego znawcy, zeby dopatrzec sie jakiegokolwiek

wartosci w trojce zwierzat schodzacych sciezka. Pokryte zaschnieta piana, ze

zwieszonymi lbami i zamglonymi oczami wygladaly, jak gdyby utrzymanie sie na

wlasnych nogach bylo wszystkim, na co je teraz stac. Ale Gorgol kroczył za nimi

z dumnie podniesiona glowa, szczesliwy ze swej zdobyczy. Klasnal w dlonie i

przynaglajac stadko do ciezkiego truchtu pognal je ku zewnetrznej dolinie, po

czym podszedl do Storma chcąc pomoc w transporcie rannego.

-Pomyslne lowy! - pogratulowal mu Ziemiańska.

-Malo czasu... bylyby lepsze. Rzeznicy sa glupi... zostalo im malo koni...

ale oni ich nie chwytaja...- odparl Gorgol i chwycil reke nieznajomego.

Dzwigajac go we dwoch pokonali znacznie szybciej pozostaly odcinek drogi.

98

Konie - zbyt wycienzone, by miec ochote na trawe - staly z opuszczonymi glowami, podczas gdy Deszcz przygladal sie im pelen

zainteresowania. Wygladal wspaniale, szczegolnie w porownaniu z nimi,

wyprostowany, niecierpliwie grzebiac kopytem, z ruda grzywa rozwiewana przez

wiatr.

- - To... mi... kon! - zmaltretowany osadnik zatrzymał się, wsparty na towarzyszach, z oczami utkwionymi w Deszczu.

-Utrzymasz się na nim? - spytał Storm. - Przykro mi, stary, ale jeszcze kawałek musimy podjechać.

-Spróbuj...

We dwóch wsadzili go na konia. Usiłował złapać się grzywy, ale mu się to nie udało. Storm widząc, jak wyglądają jego ręce, nie mógł powstrzymać cisnących się na usta przekleństw. Osadnik odpowiedział czymś, co zapewne miało być śmiechem.

-Wszystko się zgadza, sam bym coś dodał... - spowiadał. - Ci twoi Xikowie, to ostre chłopaki. Myślałem kiedyś, dawno temu, że to ja jestem twardziel...

Zachwiał się tak nagle, że Storm nie zdążył go podtrzymać, ale Norbis był szybszy.

-Jest ranny...

Ziemianninowi nie trzeba było tego mówić.

-Tędy - wskazał drogę. - Za wzgórzem, gdzie leży Dagotag i inni... jaskinia w ścianie...

Gorgol skłonił głowę, podtrzymując wiotkie ciało nieznajomego. Storm poszedł przodem wskazując drogę, a Deszcz posłusznie stapał za nim.

Odnaleźli groty i Storm, zostawiwszy tam osadnika z Norbisem i Hing, pojechał zabrać rzeczy z obozu. Sprowadził też Surre i trzy konie. Wiedział, że Deszcz opiekuje się dwiema klaczami i rocznym ogierkiem, a one będą się go

trzymac i nie beda probowaly uciekac, gdy odzyskaja sily.

Przy wejsciu do jaskini czekal na niego Gorgol z wiadomoscia, ktora tydzien wczesniej bylaby sensacja.

-To byla Zamknieta Grota- ciagnac Storma za ramie tubylec poprowadzil go do miejsca, gdzie na stropie i scianach widac bylo slady narzedzi.

-Ukryte miejsce - wskazal na ciemna czelusc - ciagnie sie daleko w glab...

Storm nie wiedzial, czy w tej sytuacji Norl , ' /godzi sie tu zostac.

99

Ale byl zanadto zmeczony, zeby sie tym martwic. Wiedzial, ze jesli usiadzie, nie bedzie w stanie zwalczyc sennosci, wiec zabral sie do pakowania zapasow, a potem poszedl zobaczyc,

co z nieznanym. Lezac na ziemi z poraniona twarza wcisnieta w koc, wydawal sie drobniejszy. Od czasu do czasu lal gwaltownie oddech jak splakane dziecko.

Ziemianin wyslal Gorgola po wode, a sam wyciagnal zestaw pierwszej pomocy.

Najdelikatniej jak potrafil, zabral sie do opatrywania ran. Osadnik raz czy dwa razy jeknal, ale nie ocknal sie. W koncu, po pol godzinie rzetelnej pracy, Storm odetchnal z ulga. Jesli

wziac pod uwage kryteria Xikow, to nie zdazyli sie zabrac serio do wieznia. Minie kilkanascie dni, zanim wygoja sie rece i slady bicza na plecach, twarz tez bedzie sie przez jakis czas mienila barwami teczy, ale nie znalazl u niego zadnego zlamania ani powaznej rany.

Kiedy juz skonczyl, szedl nad jezioro, rozebral sie i umyl dokladnie, po czym wrocil do groty, owinal kocem i zasnal jak kamien.

Jakis drazniacy zapach wyrwal go w koncu z labiryntow snu. Scigal w nim, przez rosnace w oczach gory, statek Xikow, ktory, zeby bylo dziwniej, uciekal na ludzkich nogach

i dwukrotnie obejrzał się patrząc na Storma oczami Brada Quade'a. Kiedy otworzył oczy, zobaczył Gorgola piekącego stepowe kury na ognisku. Czynność tę obserwowała z dużym zainteresowaniem widownia złożona z Hing, Surry i obcego, który siedział oparty o skrzynki z zapasami i wyglądał na całkiem przytomnego.

Na zewnątrz była noc, ale przez wąską szczelinę widzieli tylko skrawek nieba z pojedynczą gwiazdą. Wejście znowu zasypało się zwalami ziemi i ich oboz mogłoby być odkryty tylko przez kogoś, kto umiał latać, jak Baku. Orzeł, jak gdyby wezwany myślą pana, poruszył się na swoim posterunku u wylotu szczeliny, skąd obserwował dolinę.

Ale uwagę Storma przykuł nieznajomy. Kiedy go opatrywał, był zbyt zmęczony, zbyt skupiony na pracy, żeby mu się przyjrzeć. Teraz pomimo ran, ścinów i bandazy zobaczył coś, co zaskoczyło go tak, że nie udało mu się ukryć zdumienia. Znal te rysy. Siedział przed nim młody - bardzo młody - przedstawiciel nie tylko rodzaju ludzkiego, ale jego własnej rasy. To był Dineh!

Zadziwiająco niebieskie oczy chłopaka, jedyny szczegół, który nie pasował do reszty twarzy, były utkwione w Stormie z tym samym

100

wyrazem kompletnego zaskoczenia. Opuchnięte wargi poruszyły się i nieznajomy spytał pierwszy:

-Kimże ty jesteś, w imię Siedmiu Piorunów?

-Hosteen Storm... Jestem Ziemianinem... - przedstawił się nie całkiem przytomnie.

Chłopiec podniósł niezdarnie do twarzy zabandażowaną rękę i skrzywił się, gdy dotknął opuchlizny. .

-Nie uwierzysz, chłopie - powiedział jakby przepraszająco - ale zanim

zebralem te baty, wygladalem troche jak ty.

-Jestes Dinehem - Storm przemowil w jezyku swego dzieciinstwa. - Jak sie tu dostales?

Jego rozmowca sluchal z uwaga, potem jednak pokrecil przeczaco glowa.

-Przepraszam, ale to nie moj jezyk. Ciagle nie rozumiem, jakim cudem dorobilem sie pol-blizniaka na Ziemi. Ani jak on wyciagnal -mnie z tych tarapatow. Psiakosc, chyba Pijacy Dym wiedza, co mowia. Sny sa prawda...

-Nazywasz sie... - Storm byl rozczarowany tym, ze chlopak nie znal jezyka Nawajow i zadal to pytanie nieco ostrym tonem.

-Och, przepraszam, to zadna tajemnica. Jestem Logan Quade. Storm podniosl sie gwaltownie, a blask ognia ozywil jego wojenne ozdoby. Nie zdawal sobie sprawy, jak imponujaco wygladal w tej chwili. Nie poczul tez, ze jego twarz, przed chwila plonaca zapalem, byla teraz stezala i zimna.

-Logan... Quade... - powtorzyl bez wyrazu. - Slyszałem juz o Quade'ach...

Mlodzieniec nadal spokojnie patrzyl mu w oczy.

-Ty i wielu innych, włączając naszych przyjaciół z doliny... Wydaje się, że darzysz nas dokładnie taka sama sympatia jak oni. Ich mogę zrozumieć, ale co Quade'owie zrobili tobie?

Był bystry, to mu musiał przyznać. Za bystry. Przez chwile czuł się, jak gdyby trzymał za ogon wściekłego samca frawna i nie mógł go ani poskromić, ani wypuścić. Nie wiedział, co robić. Było to nowe, nie znane uczucie, którego nie zamierzał akceptować.

-Jestes na zlej drodze, Quade. Ale jak cie dopadli Xikowie? - zmiana

tematu wyszła dość niezgrabnie i Stormowi zrobiło się głupio. Jeszcze gorsze

było to, że chłopak wyglądał na wyraźnie rozbawionego jego potknięciami.

-Dostali mnie jak na tacy - odpowiedział Logan. - Mamy

101

posiadłość na południe od Szczytów i regularnie znikają nam bydła. Dumaroy i kilku innych hodowców z okolicy wrzeszczy o Norbisach za każdym razem, gdy

nie mogą się doliczyć sztuki. Ostatnio zaczęło ich ginąć coraz więcej i Dumaroy

zrobił się wojowniczy. Mogło to doprowadzić do czegoś brzydkiego. Wiesz, my

też mamy problemy z niektórymi plemionami, ale gdyby te kapane w gorącej

wodzie głupki zaczęły się odgrywać na wszystkich Norbisach bez wyjątku,

niedługo nie byłoby tu miejsca dla nikogo, kto nie jest rogaty. No więc, nie

kupując tych głupot, które rozpowiadał Dumaroy, postanowiłem się rozejrzeć.

Wybrałem zły moment - a może właściwie dobry, patrząc na to z innej strony - i

znalazłem ślad dużego stada pedzonego w góry, gdzie nie mogło mieć żadnego

interesu. A że jestem trochę przygłupi, co lubi mi wytknąć czasami mój ojciec,

poszedłem po prostu za tropem, aż mnie chwycili. Proste jak drut. Ci mili

Xikowie sądzili, że mogłbym im dostarczyć kilku informacji, które były im

najwidoczniej potrzebne do zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomysłowości. Niestety

nie mogłem, a kiedy starali się mnie trochę osmielić, ktoś napadł na ich koral i

odrobnie im przeszkodził. Myślałem, że czuli się w dolinie zupełnie bezpiecznie i po

ataku stracili głowy. Wykorzystałem tę szczęśliwą przerwę w rozmowach i dałem

nogie. Po drodze wpadłem na Gorgola, a resztę już wiesz.

Machnął obandażowaną ręką i dodał już poważnie:

-Nie wiesz za to, że jesteśmy na krawędzi wojny. Xikowie umyślnie

mieszali tu, żeby skłócić Norbisów z osadnikami. Czy robią to tak sobie, czy mają zamiar załatwić przy tej okazji jakieś własne interesy, tego nie powiem. Ale planują teraz uderzenie w strojach tubylców na majątek pod Szczytami, a potem kilka napadów na obozy myśliwskie Norbisów - wtedy oczywiście będą przebrani za osadników. Nie wiem, czy znasz plemię Nitra. Nie należą oni do tych, których będzie drażnił człowiek z odrobina oleju w głowie. A Xikowie robią im regularnie różne głupie numery. Jeśli tutejszych wystarczająco rozwścieczą, to ci się zjednoczą i - znowu pomachał reka - czolem, kochany świecie. Ze wszystkimi swoimi dobrymi intencjami Oficerowie Pokoju będą musieli wezwać Patrol. Albo czeka nas trwająca lata wojna podjazdowa typu Norbisowie przeciw wszystkim, albo pokój, ale bez Norbisów. Ja uważam, że tutejsi to dobre chłopaki, więc czeka nas, chłopie, trochę pracy. Musimy skończyć te wojny, zanim się naprawdę zaczną.

## ROZDZIAŁ 12

Wszystko się zgadzało. Nie tylko z rozwojem wypadków tutaj, w górach, ale i z taktyką, jaką Xikowie zwykli byli stosować wszędzie w galaktyce. Klęska

niczego ich nie nauczyła i zaczęli swoje stare gierki. Czy ta garstka maruderów

wierzyła, że Arzor może stać się zalazkiem nowego imperium? Nie była to

wprawdzie wizja bardziej pyszałkowata od tej, która kierowała nimi przedtem i

do zniweczenia której trzeba było tylu wysiłków i ofiar ze strony Konfederacji.

Westchnął. A jednak konflikt, który zmiotł Ziemię z map kosmosu, wcale się nie skończył.

-Ilu jest Xików? - zajął się praktyczną stroną problemu. Lo-gan Ouade

wzruszył ramionami i zaraz jęknął z bólu.

-Byłem trochę zajęty i nie zdążyłem ich policzyć. W grupie, która mnie chwyciła, było pięciu, Ale nie wszyscy byli obcy - przynajmniej dwaj to bandziory stad. No i facet prowadzący przesłuchanie. Chciałbym go jeszcze spotkać! - dłonie w bandażach usiłowały zacisnąć się w piasku. - Widziałem w sumie jakiś tuzin obcych i z sześciu naszych-bandytów. Zdaje się, że nie przepadają za sobą.

-Na pewno nie. - Xikowie miewali pomagierów spośród ludzi również na innych planetach, ale rzadko coś z tej współpracy wychodziło. - Ilu jest osadników w rejonie Szczytów?

-Siedem posiadłości. Dumaroy ma największą. Mieszka tam z bratem, bratankiem i dwunastoma poganiaczami. Lancin, Artur, ma mniej ziemi, ale zamierza dołączyć do niego brat, jak tylko się zwolni ze służby. Mają pięciu norbiskich poganiaczy. No i my: sześciu Norbisów i dwóch poganiaczy, których ojciec przysłał z Dorzecza. Dziesięciu, może dwunastu, daloby się wyskrobać z mniejszych gospodarstw. Nie jest to duża armia, zwłaszcza dla ciebie, po tym jak walczyłeś w siłach Konfederacji...

-Widziałem zwycięstwa odnoszone przez mniejsze oddziały - łagodnie odparł Storm. - Ale jesteście pewnie bardzo rozproszeni...

-Jak tylko dostaniemy się do pierwszej chaty, znajdzie się sposób, żeby wszystkich zwolnić. Nie jesteśmy znowu tacy prymitywni, jak sądzicie wy - przybysze.

-A ta chata - jest jak daleko?

-Musiałbym rozejrzeć się po okolicy, nigdy tu przedtem nie byłem. Ale myślę, że jakieś dwa dni spokojnej jazdy albo piętnaście godzin na dobrym koniu.



-Deszcz to wszystko, co mamy w tej chwili. A Xikowie na pewno depcza nam po piętach. - Storm nie sprzeczał się. Wymieniał tylko problemy w miarę,

jak je sobie uświadamiał. - Nie znaleźliśmy też wyjścia z tej doliny, którym daloby się przeprowadzić konie. Wejście jest zasypane ziemią.

-Nie obchodzi mnie, jak to zrobimy - odparł Logan. - Mówię ci tylko, Storm, że musimy to zrobić! Nie można pozwolić Du-maroyowi z Norbisami narozrabiać tu tylko po to, żeby zrobić frajdę tym cholernym Xikom! Urodziłem się na Arzorze i -jeśli to możliwe - zamierzam go uratować.

-Jeżeli to możliwe... - powtórzył Storm czując zimne ukaszenie żalu za utraconym domem.

-Tak, ty przecież lepiej niż my wszyscy wiesz, co potrafią Xikowie, jeśli grają według swoich reguł.

Storm odwrócił się do Gorgola i przekazał mu z historii Logana to, na co potrafił znaleźć odpowiednie znaki. Zakończył pytaniem w tej chwili najważniejszym:

-Czy jest wyjście z doliny dla człowieka i konia?

-Jeśli jest... Gorgol znajdzie. - Norbis zdjął dwa ptaki ze szpikulców i owinał je szerokim liściem. - Ide zobaczyć... Wgramolił się na wał ziemi i zniknął.

-Długo jesteś na Arzorze? - spytał Logan, gdy Storm podzielił pozostałe ptaki i podał Quade'owi jego porcje.

-Trochę ponad miesiąc... według mojego czasu...

-Szybko się zdomowiles - zauważył chłopak. - Wielu ludzi

urodzonych tutaj nie potrafi mówić palcami tak szybko i dobrze.

-Może idzie mi łatwiej, bo moja rasa używała niegdyś języka znaków w rozmowach z obcymi. Czekaj... pomogę ci.

Logan nie bardzo radził sobie z jedzeniem, więc Storm usiadł przy nim i podawał kęsy na ostrzu noża. Surra mrużyła oczy z sennym zadowoleniem, a Hing ufnie ułożyła się na wyciągniętych nogach chłopca.

-Skąd wzięłaś te zwierzęta, to przybysze? A ten tresowany ptak - co to jest? - zapytał Logan, kiedy Storm zajął się dzieleniem następnej kury.

-Jestem Mistrzem Zwierząt, a to moja drużyna. Baku - czarny orzeł afrykański, Surra - kot pustylny i Hing-meerkat. Wszystkie pochodzą z Ziemi.

Przyjaciel Hing zginał w powodzi...

-Mistrz Zwierząt! - w głosie brzmiał szczerzy podziw, chociaż

104

niekształcone rysy chłopca nie mogły go wyrazić. - Powiedz mi... kto to jest ten Dineh, o którym mówiłaś wcześniej?

-Myślałem, że nie znasz języka Nawajów - odparł Storm. Niebieskie oczy były teraz bardzo jasne.

-Nawajów - powtórzył wolno, jak gdyby usiłując przypomnieć sobie, gdzie mógł przedtem usłyszeć to słowo. Wyciągnął dłoń do bransolety na ręce Storma, potem dotknął lekko naszyjnika hustającego się, gdy tamten podawał mu jedzenie. - To są przedmioty Nawajów, prawda?

Storm czekał. Miał dziwne wrażenie, że wyniknie z tego coś ważnego.

-Tak.

-Mój ojciec ma taką bransoletę...

Nie powinien był tego mówić. Słowa przypomniały Stormowi to, o czym przez ostatnie tygodnie starał się nie myśleć. Odruchowo cofnął się przed reka Logana. Wstał.

-Twój ojciec - głos Storma był cichy, łagodny i bardzo spokojny - nie jest Nawajem.

-A ty go nienawidzisz, prawda? - w pytaniu chłopca nie było oskarżenia.

Takim tonem mógł równie dobrze rozmawiać o pogodzie.

-Brad Quade ma wielu wrogów, ale zwykle nie są to ludzie twojego pokroju.

Nie, nie jest Nawajem, urodził się na Arzorze, ale dziadkowie pochodzili z Ziemi.

Jest polkrwi Czejenem... ^

-Czejenem! - Storm był zaskoczony. Łatwiej było mu myśleć o wrogu jako o pochodzącym ze starej, aroganckiej rasy białej, która zawsze kłamała, oszukiwała! spychała jego naród coraz dalej i dalej, chociaż nigdy nie udało się zepchnąć go w nicosc. Nigdy!

-Czejenowie to Indianie amerykańscy... - zaczął wyjaśniać Logan, ale przerwano mu.

Surra zerwała się na równe nogi, jej poprzednia sennosc znikła bez śladu.

Storm chwycił rozpylacz. Był to wyrob Xikow, ale przypominał broń Konfederacji na tyle, że mógł się nim posługiwać. Żałował, że nie ma zapasowego magazynka, ale najeżdżcom z pew-

- noscia też brakowało amunicji.

To był Gorgol. Przyniósł złe wiadomości. Nie mógł nawet wykruszyć na poszukiwania. W południowym krancu obozowali Nitra, a |na północy wzdłuż krawędzi doliny widac było światła.

Konie - rzucił Storm - i woda. Wprowadzimy zwierzęta

105

i nabierzemy wody we wszystkie pojemniki. Może trzeba tu będzie trochę posiedzieć, gdy Xikowie zajmą się tubylcami.

Zabrali się szybko do pracy. Zagasili ognisko i poszerzyli wejście tak, żeby zmieściły się w nim konie. Po powrocie zastali Logananał nogach. Z latarką Storma badał ciemny korytarz, którego wszyscy ' przedtem unikali.

-Zastanawiam się - myślał głośno - czy ten tunel nie biegnie pod górą na drugą stronę. Może to nie jest prawdziwa Zamknięta Grota, tylko połączenie między dolinami? Mówiłeś, że dostaliście się tutaj przez tunel... no to może to jest wyjście?

Storm spojrzał bez sympatii w czarną czeluszc, w której ginęło światło latarki. Im dalej od wejścia, tym bardziej martwe było powietrze, i czuł, że zapuszczając się tam byłoby zwykłym kuszeniem złego. Zmusić go do tego można byłoby chyba tylko siłą.

-Dziwne powietrze - Logan pokustykał dalej, jedna ręka opierając się o ścianę. - Jak martwe. Światło też tu wyprawia jakieś sztuczki.

Storm zauważył, że konie skupiły się na środku groty, Surra wyraźnie unikała ciemnego wylotu i nawet Hing, zwykle skora do najbardziej lekkomyślnych wypraw, tym razem nie poszła za Loganem, lecz siedziała w grocie, kołysząc się na boki, i weszła podejrzliwie.

Ziemiańcin z Gorgolem wzięli się za maskowanie wejścia do groty.

Pozacierali ślady kopyt aż do brzegu jeziora. Napelnili trzy manierki i buklak

Gorgola. Stojąc nad brzegiem, Storm ujrzał wzdłuż krawędzi światelka, o których

mowil tubylec. Gdyby Xikowie znaleźli ciało wartownika, byłoby bardziej ostrożni.

Dochodziła północ, gdy skończyli prace i wczolgali się do jaskini. Kiedy Storm ułożył się do snu, miał wrażenie, że nieruchoma atmosfera tego miejsca nie dopuszcza żadnego świeżego powiewu, który powinien dostawać się tu przez pozostawioną szczelinę. A gdy zamknął oczy, poczuł się jak uwięziony w nie dającej się otworzyć skrzyni. "Zamknięte Groty" - dotychczas sądził, że nosiły taką nazwę, bo naprawdę zostały zamurowane, ale teraz był skłonny uwierzyć, że to jakaś nieodłączna cecha samych jaskiń czyniła je zamkniętymi. Głos rozsądku mówił mu, że postąpili słusznie, że jeśli będą mogli ukrywać się tu do czasu, aż on i Gorgol nie znajdą wyjścia z doliny, to ich szanse przeżycia będą większe niż jeden do jednego. Ale ciało nie słuchało tego głosu i każda cząstka rwała się na zewnątrz.

Nadszedł ranek i wtedy docenili swoją kryjówkę - była oaza

106

chłodu w rozpalonej słonecznym żarem dolinie. Logan podczołgał się do Storma obserwującego okolice.

-W tym roku wielka susza nadchodzi wcześniej - zauważył. - Tak się zdarza, jeśli burze w gorach są wyjątkowo gwałtowne. Jeszcze jeden powód, żeby szybko się stąd wynosić.

-Jadąc w tę stronę napotkaliśmy rzekę - odparł Storm. - Była to, oczywiście, pora deszczowa, ale czy może ona zupełnie wyschnąć?

-Stana nie. Ale ona płynie dość daleko na południe stąd. Nic nie wiem o tej, którą wspomniales. Dostać się do Staffy i jechać wzdłuż niej znaczyłoby

dwukrotnie nadłozyc drogi. I wjechac na tereny Nitra.

-No to lepiej szybko sie stad zabierajmy... - Storm przerwal prawie w pol slowa, bo skrawek doliny, ktory mogli zobaczyc, nagle sie zaludnil. Przez lornetke mogl rozroznic szczegoly. Nosili norbi-skie puklerze i skorzane nogawke, ale nie wysilali sie na dokladniejsze przebranie. Bladozielona skora i proste, splowiale wlosy spadajace w mysich ogonkach na ramiona, wskazywaly, ze dwoch sposrod jezdcow bylo Xi karni. Pozostali trzej to byli osadnicy. Dwoch z nich trzymalo luki, ale reszta miala nowoczesna bron. Jeden z Xikow wiozl przed soba przerazliwie biala rure.

Storm pogodzil sie juz z tym, ze najezdzczy dysponowali tasakami, rozpylaczami, promieniami sily, ale widok tej rury wstrzasnal nim. Broni tej bylo niewiele, zostala ona wynaleziona pod sam koniec wojny i nie zdazyla wejsc do powszechnego uzycia. Z pewnoscia ostatnim miejscem, gdzie spodziewalby sieja ujrzec, bylo to pustkowcie na lezacej z dala od uczeszczanych traktow planecie.

Dwie sztuki tej broni przejele Konfederaci zdobywajac przez zaskoczenie posterunki wroga, ktory nie zdazyl wysadzic ich w powietrze. Proby z nia przeprowadzono na bezludnych asteroidach i natychmiast wydano rozkaz, by kazdy nastepny znaleziony egzemplarz byl na miejscu zniszczony.

Rury mogle byc uzyte, i owszem, zmiataly wrogow w ulamku sekundy, ale produkowaly przy tym potworna fale energii rozchodzaca sie we wszystkich kierunkach, choc, byc moze, nie miala ona tak zgubnego dzialania na Xikow, jak na zolnierzy Konfederacji. Zbudowane na zasadzie zblizonej do destruktora, uzywanego przez sily Konfederacji do usuwania materii nieozywionej, mialy moc wielokrotnie wieksza.

-Nowe kłopoty? - spytał Logan. Storm podał mu lornetkę.-Widzisz te rure na drugim koniu - to najgorszy kłopot, jaki znam. - Wyjaśnił

chłopcu, co wie na temat tej broni.

-Zdaje się, że chcą być pewni swego - zauważył sucho Qu-ade. - Nie zależy mi szczególnie na Nitra. Mielismy pewne różnice zdań i jeśli nie wyjmowano ci nigdy z ciała ich strzały z haczykami, to nie wiesz, ile się można przy tym napocic. Nie, nigdy za nimi nie przepadałem, ale nasze dyskusje toczyły się zawsze na mniej więcej równym poziomie. Użycie tego draristwa przeciw Norbisom to trochę tak, jak kazać walczyć z Surra stepowej kurze i, żeby było sprawiedliwiej, związać jej nogi.

Storm przekazał Gorgolowi treść rozmowy. Norbis skinął głową i odprowadził wzrokiem jeźdźców, aż zniknęli za rumowiskami.

-Nitra tu... ostatniej nocy. Może być nie tak teraz. Nie czekają jak robaki, żeby ich rozdeptać. Ta zła rzecz... lepiej ją zabierzmy.

-Nie - z zalem zaproponował Storm. - Tylko zli ludzie mogą jej użyć... my dotkniemy... my zabici! - użył najbardziej wyrazistego symbolu śmierci, jaki znał.

Jeździec wiozący rure ukazał się ponownie na zboczu ostatniego ze wzgórz.

Niezgrabnie zsiadł z konia, jego ruchy nie miały nic z gracji osadników czy lekkoci tubylców. Widac było, że obcy traktują wierzchowca wyłącznie jako jeden ze środków transportu, nic poza tym. Zrozumiał teraz, jak Xikowie mogli wybić do nogi przerażone zwierzęta nie zważając na okrucieństwo tego czynu.

Najeźdźca przerzucił bron przez ramię i wspiał się na szczyt, gdzie zaczął usypywać kopczyk z kamieni mający stanowić podstawę dla rury. Poruszał się pewnie i bez pośpiechu. Storm zauważył, jak coś przemknęło w powietrzu. Przez szkła lornetki ujrzał

strzale, która drząc jeszcze tkwiła w ziemi nie dalej niż pół metra od celu. Ale musiał być to jakiś wyjątkowo udany strzał, gdyż żaden inny pocisk nie sięgnął wierzchołka.

-Nitry strzelają - znów podał Loganowi lornetkę.

-Musieli nieboraków zapędzić w ślepa uliczkę - zauważył chłopak. - Nie broniliby się tak rozpaczliwie, gdyby mieli inne wyjście.

Zobaczyli pozostałych jeźdźców. Arzorscy towarzysze Xikow wysforowali się daleko przed najeźdźcą, poganiając w panice wierzchowce.

108

-Psiakrew - zaklął Storm - ci kretyńcy rzeczywiście chcą tego użyć! Obrócił się szybko i zepchnął Gorgola na dno jaskini. Następnie rzucił za

nim rozpylacz i zjechał na dół, ciągnąc za sobą Logana. Surra? Kot już tam był...

Baku... Baku... Orzeł wyruszył na polowanie jakiś godzinę temu. Z całych sił

Storm posłał ku niemu rozkaz, by nie wracał. Wysoko będzie bezpieczny...

-Wprowadźcie konie! Jak najdalej do tunelu!

-O co chodzi? Przecież ustawili to swinstwo ponad milę stąd lufa w drugą

stronę... - Logan próbował protestować, ale pokustykał w stronę ogiera

zaganiając wraz z nim klacze. Wspólnie udało im się zmusić konie do wejścia w

ciemny korytarz. Storm z rozpaczą spojrział na otwór w ścianie łączący ich z

doliną. Nie było już czasu, by go zasłonić.

-Na ziemi! - dał przykład, padając płackiem. Gorgol i Logan poszli w

ślady za nim. - Oczy! Zasłońcie oczy!

Potem mógł już tylko leżeć i czekać, z twarzą ukrytą w zgięciu łokcia.

To posunięcie ukazywało całą bezduszną obyczność. Żeby pozbyć się kilku

Nitrow, przeznaczyli na straty wszystkie żywe istoty przebywające w dolinie.



Usmiechnal sie smutno na wspomnienie uciekajacych bandytow. Na ile znal Xikow, to nie beda zwlekali z uzyciem broni, zeby dac swym kolegom szanse przezycia.

Surra rozplaszczyla sie obok Storma, a Hing usilowala podkopac sie pod niego, skrobiac bezowocnie pazurami po skale i skomlac. Wreszcie Ziemianin wciagnal zwierzaka pomiedzy siebie i kota. Slyszal stukot podkow, ale konie nie wyszly z tunelu. Zdaje sie, ze odebraly ostrzezenie Storma rownie dobrze, jak jego druzyna.

O broni wiedzial tyle, ile napisano w wojskowych meldunkach, rozpropagowanych wsrod druzyn Komanda, ktore w czasie swych dzialan operacyjnych mogly sie natknac na to niebezpieczne urzadzenie. Bylo malo prawdopodobne, zeby te meldunki zawieraly nie sprawdzone lub przesadzone informacje.

Dlaczego jej uboczny efekt nie dotyczyl Xikow? Kiedy jej uzyja? Zaczal liczyc sekundy. Zdal sobie sprawe, ze robi to na glos, dopiero, gdy uslyszal stlumiony chichot Logana.

-Mam nadzieje, ze nie robisz z nas wariatow? - spytal chlopak. - No, kiedy bedzie ten koniec swiata?

Powiedzial to w zla godzine, bo w tej samej chwili ich ciemny

111

i zatechly swiat przestal istniec. Storm nie potrafil nigdy pozniej opisac, co sie z nim dzialo w tym czasie wyjetym ze swego normalnego biegu. Czul, jakby

chwycil go jakis olbrzym, zgniotl w kulke, a potem ja podrzucal. Zadnej myśli...

uczucia... nic oprócz pustki i jego, lecacego w te pustke dalej i dalej, i dalej... A

przy tym to coś, co naruszyło fundamenty jego świata, nie było siłą fizyczną, bo przez cały czas czuł, że jakaś część jego osoby leży, przywierając do twardej skały, podczas, gdy ta druga pedzi i wiruje w przestrzeni. A on był rozdarty pomiędzy tymi dwiema częściami.

Jak długo to trwało? Czy w czasie tej walki między materia a nie-materia stracił przytomność? Czy to skały pochłonęły większość nieznanego promieniowania i ocaliły ich? Wiedział tylko, że przetrwali kataklizm i że żyli. Znowu poczuł ciepło ciała Surry i wzdrygnął się pod dotknięciem pazurów Iling, która, ciągle przerażona wyla się i wierzgała łapami. Przez długą chwilę leżał bez ruchu, jak robak pod kamieniem, który w każdej chwili może zostać odkryty i wystawiony na śmiertelne niebezpieczeństwo. Wreszcie w klebowisku przerażonych myśli błysnęła iskra decyzji. Podniósł głowę i przez jedną okropną minutę był ślepy. Nie było już szczeliny ze skrawkiem nieba, wszystko wypełniała gęsta ciemność i martwe powietrze.

Usiadł, czując, że Surra też się podnosi. Warknęła i prychnęła. Nagle, gdzieś z ciemności, dobiegł głos Logana mówiącego ze sztuczną swobodą:

-Zdaje się, że ktoś nas przymknął!

## ROZDZIAŁ 13

Storm skierował latarkę na wyjście z jaskini. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył: wyjścia nie było. Przedtem zamknęła je obsunięta ziemia i skały, ale tym razem było znacznie gorzej. Na powierzchni tejże ziemi-strumyki gęstej substancji utworzyły szczelną zasłonę.

-Co to...? - usłyszał zdumiony okrzyk Logana. Podszedł bliżej, oświetlając to coś.

Teraz rozpoznał materiał, z którego zbudowany był ten dziwny tor prowadzący do doliny i

który wysyciał ściany tunelu. Chociaż nie zauważył tego przedtem, wejście do groty musiało być też nim wyłożone, a energia wyzwolona przez straszliwą bronię Xikow stopiła go jak masło.

Wreczył latarkę Gorgolowi, pokazując mu, gdzie ma świecić, a potem z całej siły uderzył rekojescią rozpylacza w czarny sopel. Lekki stop, z którego była zrobiona kolba broni, wydał metaliczny dźwięk, Storm zatoczył się dwa kroki do tyłu, ale na czarnej powierzchni nie pozostał żaden ślad.

Ziemię odwrócił bronią, nastawił na maksymalną moc i nacisnął spust. Przerazliwie jaskrawy płomień wwiercał się w powłokę, ale nie wypalił w niej znaku.

-Nic? - Logan przykucywał, żeby obejrzeć ścianę. - Co to za swinstwo?

Storm wyjaśnił mu krótko, myślał o czymś innym. Wziął od Gorgola latarkę i przechadzał się przed zasypnym wejściem. Przypadek? A może to dawni właściciele przygotowali taką przemyślną pułapkę na śmialków? W każdym razie byli uwięzieni.

Czarne strumyki dokładnie zespoliły skały i ziemię ze sobą. Może Hing udałoby się wydostać, ale nie było szans na przekopanie otworu na tyle dużego, żeby przecisnęli się przez niego inni.

Pozostawał tunel.

Jeszcze raz przeszedł wzdłuż ściany, żywiąc - wbrew namacalnym faktom - nadzieję, że znajdzie jakąś drogę ratunku. Kiedy odwrócił się, stanął twarzą w twarz z Loganem.

-Ciagle nie rozumiem, co się stało! - Arzorczyk przyglądał się ścianie. - Gdyby

wycelowali tę swoją maszynkę w nas, to zgoda. Ale przecież oni strzelali w drugą stronę i to

o wiele stąd!

-Ludzie z laboratoriów Konfederacji stwierdzili, że działanie uboczne tej broni jest wynikiem wibracji. Ta substancja najwyraźniej

113

została przez nie stopiona. Wygląda na to, że na chwilę wszystko w dolinie przeszło w stan ciekły.

-Mam nadzieję - Logan odsunął się od ściany - że te wszystkie lotry, ugrzęzły w tym na dobre. Nie da się rozbic? Storm pokręcił głową.

-Rozpylacz to wszystko, co mamy. Widziałeś, co się stało.

-No trudno. Musimy więc ruszyć w głąb. I to zaraz. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale powietrze tu się zmieniło.

Rzeczywiście, zapach stechliżny był znacznie wyraźniejszy. Rozpylacz też z całą pewnością nie odświeżył atmosfery. Albo spróbuj szczęścia w tunelu, albo czeka ich tu marny koniec.

Zaladowali zapasy na konie i niechętnie zagłębili się w mrok. Storm nastawił latarkę na najmniejszą moc - została mu już tylko jedna zapasowa bateria. W tym słabym świetle spostrzegli szybko, że przejście jest dziełem istot inteligentnych. Jeżeli nawet tunel nie został przez nie przeбитy, to wykonczenie należało do nich. Ściany wyłożone były tym samym czarnym materiałem.

-Całe szczęście, że te twoje wibracje nie dotarły tak głęboko - zauważył

Logan i odchrząknął. - Gdyby tak się stało - koniec z nami.

Podczas gdy atak Xikow został jakby wyjęty z normalnego biegu czasu, ta podróż dla Storma miała wiele z drogi przez senny koszmar. Poruszali się chyba w normalnym tempie, ale jemu wydawało się, że brną przez jakąś gęstą cieć. Być może, miało to coś wspólnego z powietrzem, które obezwładniało myśli i

zwalniało reakcje. Czy minęły minuty, czy już godziny, odkąd zapuscili się w ten kanał, którego czarne ściany zdawały się pochłaniać tlen i światło?

Nagle Surra rzuciła się do przodu. Mignęła jak płowa błyskawica w blasku latarki i zniknęła w mroku. Zawołał ją i omal nie wylądował na ziemi, gdy Deszcz skoczył naprzód. Konie były równie podniecone jak kot.

-Powietrze! - krzyknął Logan.

Teraz Storm też poczuł powiew. Było to więcej niż świeże powietrze: wiatr niesł ze sobą jakies dziwne, ale przyjemne wonie. Zaczął biec, słysząc za sobą tupot pozostałych.

Korytarz zakrecił i ujrzeli światło. Storm wyłączył latarkę i rzucił się ku niemu. Przecisnął się obok ogiera, odepchnął jedną z klaczy i niemal wpadł na Surre, która stała na tylnych łapach, przednimi opierając się o prety kraty, zamykającej wylot tunelu. -

114

Storm chwycił się kraty i wyjrzał na zewnątrz. Nie była to otwarta przestrzeń, której oczekiwał. Za kratą rozciągał się ogród, ale nie potrafiłby

nazwać żadnej z roślin. W każdym razie żadnej z pierwszej grządki.

Na następnej... Nie! Palce Ziemiańska zacisnęły się kurczowo na pretych.

Był wstrząśnięty rozpakowując paczkę od Na-Ta-Haya, ale nie aż tak, jak teraz.

To był kawałek świeżej, czystej ZIELONEJ trawy z rosnącą sosną. To nie był szpicer ani lichtarzowiec, ani dłu-zec, tylko prawdziwa ziemna sosna!

-Sosna! - z tego słowa mógłby stworzyć piosenkę, piosenkę, której potęga

przywołałaby Odległych Bogów z otchłani kosmosu. Uderzył w kratę, a potem zaczął gorączkowo szukać zamka. "Wydostać się... stanąć pod tą sosną!..."

-Storm... rygiel... po drugiej stronie...

Słowa dotarły do niego pomimo jego podniecenia. Na zewnątrz kraty zauważył zamek o nie znanym mechanizmie. Ale jakos się przecież otwierał.

Musiał się otwierać!

Przecisnął reke przez kratę i uderzył pięścią w zasuwę. Niecierpliwość zmieniła się we wściekłość skierowaną na tę upartą rzecz, która wiewiła ich w tunelu, podczas gdy za nią rozciągał się cały ten piękny świat. Z trudem opanował się, cofnął reke i wyciągnął noż. Jeszcze raz, zgięty, przycisnął się do kraty próbując wetknąć ostrze w kolejne otwory metalowego kolka, które musiało stanowić blokadę ryglu. Logan i Gorgol powstrzymywali tłoczące się zwierzęta. Storm spocil się ze zdenerwowania, dłonie stały się śliskie, aż w końcu noż się z nich wysliznął i spadł do ogrodu, daleko poza zasięgiem reki.

Noż Norbisa był zbyt długi, Logan nie miał broni. Użycie rozpylacza przeciw nieznanej czarnej substancji, z której zrobiona była kratka, mijalo się z celem. Znowu zaczął walić bez sensu pięścią, ale pisk z dołu - spoza kraty - przywołał go do porządku. Krata wiewiła wszystkich oprócz Iling, która przecisnęła się przez nią, a teraz spoglądała wyczekująco na pana.

Hing! Storm ukląkł i zmusił się do przybrania łagodnego, cierpliwego tonu, gdy przemówił do zwierzęcia. Mistrz Zwierząt może kontrolować i kierować swymi towarzyszami tylko wtedy, gdy w pełni kontroluje siebie. Zapomniał o tej pierwszej zasadzie i, kiedy to sobie uswiadomił, przeraził się prawie tak samo, jak wtedy, kiedy ujrzał potworną bronię Xikow. Tym bardziej, że była to całkowicie jego wina, po raz pierwszy od czasu, kiedy wstąpił do służby, popełnił błąd.

Opanował się z wysiłkiem i zwalczył lek przed tym, że nie otworzy tajemniczego zamka. Teraz liczyła się Hing. Hing i jej ciekawość, jej pazury,

zadania w których była ćwiczona. Storm skoncentrował się i całą swą moc skupił na tym jednym obrazie.

Hing przysiadła na chwile na tylnych łapach, potem opadła z powrotem na cztery i wspierała się na drzwi, aż do zasuw, o kilka centymetrów od twarzy

Storma. Zatrzymała się i zagruchala pytająco.

Tym razem Ziemiąnin nie mógł nią pokierować. Kiedy niszczyli delikatne urządzenia wroga, Storm dysponował wcześniej modelami, na których mógł przećwiczyć wszystko i potem przekazywać zwierzęciu dokładnie, co ma robić.

Teraz nie znalazł nawet typu zamka. Mogł polegać tylko na naturalnej ciekawości Hing i próbować nakłonić ją do samodzielnego rozwiązania problemu. Meerkaty nie dorównywały inteligencji Surrze czy Baku, szanse na powodzenie tego planu były więc niezbyt duże.

W napięciu woli Storm włożył całą swą moc, nie zdając sobie sprawy, że jego twarz wyraża przeogromny wysiłek. Jego dwaj towarzysze nie wiedzieli ani dlaczego, ani jak toczy te zmagania, ale zastygli w milczeniu pod wrażeniem jego walki.

Hing opierała się tylnymi łapami o zasuwę, a przednimi uderzała w metalowe koło. Piskała ze złością, nie wiadomo czy pod adresem upartego zamka, czy w odpowiedzi na bezgłosny rozkaz. Ale nie wycofała się. Spróbowała chwycić koło zębami, prychnęła gniewnie i znowu użyła pazurów. Czy odkryła sposób otwarcia, czy był to tylko szczęśliwy traf, dość, że nagle błysnęło

swiatelko, a Hing zaskrzeczala i odskoczyla od zasuwy, w momencie, gdy ta opadla. Krata otworzyla sie na zewnatrz pociagajac za soba wczepionego w nia Storma. Wyczerpany napieciem, nie mial sily sie podniesc i byl tylko na wpol swiadomy tego, ze Gorgol odciaga go na bok, robiac droge tloczacych sie koniom. Lezal na wznak, wsparty na ramieniu Norbisa, gapiac sie polprzytomnie w przestrzen, w ktorej klebily sie smuzki mgly.

-Co to za miejsce... - glos Logana byl przytlumiony i nieco przerazony.

Powietrze bylo czysle i wypelnione woniami: korzennymi, kwiatowymi, przyciagajacymi, jak gdyby ktos zgromadzil tu wszystkie pachnace rosliny z tuzina swiatow. Jak wkrótce odkryli - tak wlasnie sie stalo. Storm z pomoca Gorgola stanal na nogach. Zobaczyl, ze Surra siedzi przed puchata kula pokryta kielichami purpurowych kwiatow i z polprzymknietych oczami wdycha z rozkosza ich delikat-

116

ny, lecz kuszacy zapadl. Konie zas pocwalowaly w kierunku splachetka zielonej trawy, ktora z pewnoscia pochodzila z Ziemi.

Uwolnil sie z uchwytu towarzysza i chwiejnym krokiem podszedl. do sosny.

Pieszczotliwie dotknal kory, zapach igiel i zywicy byl piekniejszy niz wszystkie egzotyczne wonie rozlaczane przez rosnace wokol rosliny. To byla naprawde sosna. Stanowila wierzcholek trojkata obsadzonego ziemskia roslinnoscia. Oparty o drzewo Storm rozejrzal sie cieszac oczy pieknem rozkwitlych roz, kisci bzu i innych roslin znanych, nie znanych, wszystkich w pelni kwitnienia, wszystkich intensywnie pachnacych.

-Co to jest? - Logan stanal obok Storma. Odwrocil poraniona twarz ku



kepom kwiatow, jakby czujac ich leczniczy wplyw.

-Z Ziemi - Storm rozlozyl szeroko ramiona. - Wszystkie sa z mojego swiata! Ale jak sie tu dostaly?

-A to co takiego? One na pewno nie sa z Ziemi. - Logan obrocil Storma i wskazal inny ogrodek lezacy za chodnikiem z nie znanego materialu. Mial racje. Dziwaczne, dla ziemskich oczu, krzaki z niebieskawymi, poskrecanymi liscmi i pasiastymi kwiatami -jesli te talerze byly kwiatami - nie pochodzily ani z Ziemi, ani z zadnej innej znanej Stormowi planety.

Gorgol przecial laczke, na ktorej pasly sie konie. Jego palce wyrazaly zdumienie:

-Duzo pachnacych rzeczy... wszystkie rozne... Storm obrocil sie jeszcze troche, caly czas jedna reka wspierajac sie o pien sosny nie tylko z powodu zmeczenia, ale i dlatego, ze cud, jakim bylo pojawienie sie tu tego drzewa, czynil cala reszte jakims rozkosznym snem. Z "ziemskim" ogrodem sasiadowaly jeszcze dwa ogrodki czy dzialki rozniace sie zupełnie roslinnoscia, ktora je wypelniala. Miala ona tylko dwie wspolne cechy: zadna z roslin nie byla brzydka i wszystkie przyjemnie pachnialy.

Logan zamrugal i potarl czolo zabandazowana reka.

-To cos jak... - obrocil sie powoli dokola. Blyszczace punkty, o ktorych Storm myslal, ze sa czescia krzaka o kremowych galazkach, frunely w gore trzepocac skrzydelkami i pomknely ku innym roslinom. Ptaki? Owady? Obie mozliwosci byly prawdopodobne.

-Na niektórych swiatach maja takie miejsca - Logan ciagnal swoje wyjasnienia - gdzie trzymaja dzikie zwierzeta. Nazywaja to zoo. Zdaje rni sie, ze

w tym miejscu chcieli zebrac okazy roslin z

119

roznych planet. Jeden, dwa, trzy, cztery - policzyl oddzielne dzialki wokol nich. -Kazda jest zupełnie inna.

Storm zgodzil sie z chlopcem. Gorgol wyciagnal reke i z wahaniem dotknal jednej z kremowych lodyzek, na ktorych przed chwila siedzialy latajace kwiaty.

Cofnal dlon i powachal ja z przyjemnoscia rowna tej, z jaka Surra rozkoszowala sie zapachem purpurowych kielichow.

Surra? Storm rozejrzal sie za kotem. Znikla, przepadla gdzies w tej pachnacej dziczy. Usiadl pod sosna opierajac sie o jej pien. Dlonie polozyl na ziemi, ktora byla taka, jak ziemia jego rodzinnych stron: wilgotna i spoista.

Wystarczylo zamknac oczy, zeby nie widziec innych ogrodow z ich dziwna roslinnoscia, albo patrzec w gore na namiot z zielonego igliwia i byc znow w domu...

Gorgol i Logan gdzies poszli. Storm byl zadowolony, ze zostal sam. Powoli zsuwal sie po pniu, az ulozyl sie pod sosna i zasnal mocnym snem bez marzen, zupełnie odprezony, choc swiatlo pozornego dnia nie przechodzilo w wieczorny zmierzch.

-...najdziwniejsza mieszanka, jaka widzialem. - Logan lezal obok na plecach, a Gorgol przesypywal igliwie miedzy palcami. Wedlug swiatla, ciagle jeszcze byl dzien, chociaz w jaskini znajdowali sie juz od wielu godzin.

-Mysle - ciagnal osadnik - ze wydrazyli na to cala gore. Naliczyliśmy okolo szescdziesieciu dzialek - w tym dwa wodne ogrody. Sa jeszcze sady owocowe i winnice... - wskazal na resztki po ich posilku, kupke ogryzkow i

lupin. - Mowie ci, tu jest fantastycznie.

-Zadnych zwierzat?

-Ptaki, owady - innych nie spotkalismy. No, poza twoim kotem.

Widzielismy ja, gdy tarzala sie w jakimś mchu i zachowywala sie zupełnie jak dzika. Zmykala przed nami, jakbysmy byli co najmniej Xikarni z ta ich pukawka.

-Jak to wszystko moglo rosnac bez zadnej pomocy przez lata, a moze wieki? - dziwil sie Storm. - Masz racje, to jest... musieli to zalozyć jako ogrod botaniczny, stanowiacy zbior okazow z calej galaktyki. To - wzial w palce plomiennopomaraneczowa skorke - bylo astranskie "złote jablko". A te czarnobiale jagody sa z Trzeciej Syriusza. Ale przeciez, gdyby zostawic taki ogrod samemu sobie, zdziczalby szybko. Cos go dalej kontroluje, podtrzymuje wzrost, uzyznia glebe...

-Moze to swiatlo? - podsunal Logan - Albo powietrze? Cos

120

zauwazylem. - Wyciagnal reke. Nie mial juz bandazy. Rany, ktore opatrzył Storm, byly nie tylko zamkniete, ale prawie zagojone.

-Pokaz mi ramie - Logan zasygnalizowal do Gorgola, a ten wyprostowal zraniona reke. Rana po strzale byla juz tylko czerwonym punktem i tubylec uzywal reki swobodnie, bez zadnej trudnosci.

-A ty jak sie czujesz? - dopytywal sie chlopak. Storm wyprostowal sie.

Nie zwrocil na to przedtem uwagi, ale teraz, kiedy Logan go zapytal, poczul, ze nie czuje juz wyczerpania. Na dobra sprawe nie obudzil sie z taka radoscia zycia od dawna, chyba od lat. Mial ochote tarzac sie, jak Surra, po ziemi i mruzcac ze szczescia.

-A widzisz? - Logan nie oczekiwał konkretnej odpowiedzi. - To jest w powietrzu, dookoła nas. Wzrost - to powoduje, że jesteśmy żywi, pełni sił, leczymy też nasze rany. Może to miejsce nie miało być tylko ogrodem botanicznym.

-Czy jest jakieś wyjście?

-Znaleźliśmy trzy - odparł Logan - Dwa są zakratowane, ale trzecie wygląda najbardziej obiecująco.

-Dlaczego?

-Bo jest zamurowane. Według legendy o Zamkniętych Grotach, to mogłoby być wyjście na zewnątrz...

Stormowi wydało się, że powinien teraz zerwać się i pójść, żeby zobaczyć to wyjście. Ale po raz pierwszy od lat opanowało go lenistwo. Leżąc pod sosną, patrzeć na pasące się konie, obok tak samo rozluźnionych towarzyszy, nie musieć nic robić - to było coś cudownego, doskonałego! Znaleźli przecież skrawek raju, mają się spieszyć z opuszczeniem go?

Gorgol usiadł, otrzepał fredzle pasa z igiel i powoli rozejrzał się wokół. W Stormie obudziło się jakieś słabiutkie zrozumienie.

Złotoczerwone palce tubylca poruszały się ostrożnie, z przerwami, jak gdyby, mając coś bardzo ważnego do przekazania, szczególnie uważnie dobierał znaki.

-To... pułapka... wielka pułapka.

## ROZDZIAŁ 14

-Pułapka? - powtórzył obojętnie Logan. Storm zaś poczuł, jak jego ocieźność zaczyna ustępować wskutek rosnących wątpliwości. Może dlatego, że spotkał się już z wieloma, czasem bardzo pomysłowymi, pułapkami, był bardziej

wrażliwy na ostrzeżenie.

-Jaka pułapka? - zasygnalizował.

-Podoba ci się... ty szczęśliwy... - Gorgol szukał znaków dla wyrażenia skomplikowanej myśli. - Nie idziesz... chcesz zostać... Storm usiadł.

-Ty nie chcesz zostać? - spytał. Gorgol znowu rozejrzał się dookoła.

-Dobre... - dotknął resztek owoców. - Dobre! - Przesadnie głęboko wciągnął pachnące powietrze. - Jest mi dobrze! Ale... nie moje...

Przesunął palcami po igliwiu.

-Nie moje... - Pstryknął palcami w kierunku innych ogrodów. - Tu nie miejsce Gorgola... nie trzyma Gorgola... twoje miejsce... trzyma ciebie...

Cos w tym było! Ostrzegawczy dzwonek w umyśle Storma był coraz głośniejszy. Nie ma lepszej przynety dla człowieka, którego świat przestał istnieć, niż skrawek ojczystej planety! Być może to miejsce nie było pomyślane jako pułapka, ale to niczego nie zmieniało. Powstał gwałtownie i z determinacją zaczął oddalać się od sosny.

-Gdzie te wasze zamurowane drzwi? - rzucił szorstko przez ramię, nie chcąc oglądać się na kusocielski trojkat wabiący znajomą zielenią.

-Myślisz, że Gorgol ma rację?

-O takich rzeczach się nie myśli. To się czuje. - Wielokrotnie tego doświadczył. - Być może ci, którzy stworzyli to miejsce, nie chcieli, by było ono pułapką...

Klepnął ogiera przeganiając go z trawy na chodnik oddzielający ogród ziemski od sąsiedniego.

-Surraaaa! - krzyknął głośno. Takiego wezwania użył tylko raz czy dwa

razy w ich wspólnej historii. Głos odbił się echem, plosząc ptaki i gromady barwnych owadów.

Ruszył ścieżka prowadząc konia za uzdę. Im prędzej oddali się od

122

tej odrobiny ojczystej ziemi, tym lepiej. Serce przepelniła mu gorycz - obrócił ją przeciw wrogom. Więc Xikowie myślą, że skończyli z Ziemią? Możliwe, ale nie skończyli z Ziemią!

Spieszył się, co rusz to skrecał i zmieniał drogę, starając się tak ją

skomplikować, żeby nie mógł łatwo odnaleźć tego niebezpiecznego zakątka

ukrytego pod sosną. Jeszcze dwukrotnie zawołał Surre. Hing szła za nim, od czasu

do czasu zatrzymywała się, weszac lub rozgrze-bując ziemię, ale zaraz dołączała

do reszty. Konie stapały posłusznie za Deszczem. Szli wąskimi ścieżkami

między ogrodami.

-Tutaj w lewo - zwrócił się z nim Logan - dookoła wody, a potem za

tym kawałkiem, gdzie rosną szkarłatne, pierzaste drzewa. Ciekawe, skąd

pochodzą? O, widzisz? Już jesteśmy.

Smukłe, szkarłatne drzewa opierały się o skalne ściany grotu. Czarna ścieżka

wiodła prosto ku lukowatemu otworowi w skale, który został dokładnie

zamurowany kwadratowymi blokami o boku mniejszym niż pół metra. Ziemiąnin

nie zauważył nigdzie czarnego materiału, chyba że użyto go jako zaprawy

murarskiej. Ściana nie ustępowała pod naciskiem dłoni. Zbadał ją dokładnie,

zastanawiając się, czego mógłby użyć do zburzenia przeszkody. Czy dałoby się to

zrobić za pomocą noży? Szkoda mu było rozpylacza - była to ich najpotężniejsza

broń. Lepiej zacząć od noży.

Po kwadransie, mając ręce śliskie od potu i z trudem panując nad emocjami, musiał przyznać, że to nie było właściwe rozwiązanie. Pozostawał rozpylacz. Nie był to, co prawda, destruktor, ale nastawiony na największą moc powinien zadziałać na bloki skalne albo na substancję je spajającą.

Odesławszy resztę na bezpieczną odległość, Storm ułożył się na chodniku, podkładając pod lufę kilka kamieni tak, aby celownik był skierowany na punkt, pośrodku muru. Naciśnął spust i, opierając się siłą odrzutu, utrzymał broń w tym samym położeniu.

Mijały sekundy, może upłynęła nawet minuta, a jedynym efektem była fala potwornego żaru, która, odbita od ściany, uderzała następnie w Storma. Nagle w środku promienia ukazał się żółty punkt rozszerzający się wokół. Potem kolor zmienił się, a ściana zaczęła dymić. Łzy pociekły mu z oczu, chwycił go duszący kaszel, ale Storm nie ustępował. Powoli obniżał lufę, prowadząc żółtą plamę ciągłym ruchem ku ziemi. Światło zaczęło pulsować. Znaczyło to, że kończy się magazynek. Co będzie, jeśli się pomylił i wyczerpał rozpylacz nie

123

uzyskując nic w zamian? Kurczowo trzymał broń, a pulsacja stawała się coraz bardziej urywana, aż wreszcie promień zniknął.

Ku jego ogromnemu rozczarowaniu, ściana wyglądała równie nieustępliwie jak przedtem. Nie mógł czekać. Pomimo buchającego gorąca, podbiegł do niej i, odwróciwszy rozpylacz kolbą do przodu, uderzył z całej siły w osmaloną smugę. Kiedy broń trafiła w skalę, poczuł wstrząs, który nim zachwiał. Zobaczył, że opalona część muru przesunęła się trochę do tyłu. Może niewiele, ale jednak. Podniesiony na duchu uderzył jeszcze raz. Ściana rozsypała się. Jednak nie

wzdłuż złączeń - rozpadły się same bloki skalne. Materiał budowlany obcych był mocniejszy niż produkty natury.

Krzew o koronkowych gałązkach zatrzęsł się i spod jego opalizujących liści wypelzła Surra z błyszczącymi dziko oczami. Wyszła na ścieżkę i dysząc stanęła przed Stormem. Podrapał ją za uszami, przemawiając w śpiewnym języku, który ją uspokajał. Była tak podniecona, że dziwił się, iż usłuchała jego wezwania.

Wrodzona niezależność kotów powodowała, że były doskonałymi kompanami, towarzyszami w walce, ale nigdy sługami. Za każdym razem, gdy Surra była posłuszna jego wezwaniu lub rozkazowi, wiedział, że czyniła to z własnej woli. Nigdy też nie był pewien, czy uczyni to następnym razem. Teraz, pod dotknięciem jego łagodnych dłoni, rozluźniła się, zaczęła mruczeć i pieszczotliwie uderzać go łapą o schowane pazurach. Widac, ona także nie dała się uwieść obcej pulapce.

Ogolocili z owoców sąsiednie ogrody, napełnili manierki czystą wodą z miniaturowego wodospadu i czekali. W końcu bloki skalne ostygły na tyle, że mogli ich dotknąć i, pracując we trzech, poszerzyli otwór w ścianie.

Przewidywania Logana okazały się trafne. Przed nimi ciągnął się nie tunel, a następna grotka, poza którą widac było światło arzor-skiego dnia. Po kolei przeprowadzili konie przez wyrwę w murze, a Gorgol, który wybrał się na krótki zwiad, wrócił podekscytowany.

-Ja znam to miejsce! Tu zabiłem złego lotnika. Stąd jest droga na zewnątrz...

Wyszli do doliny tak wąskiej, że była zaledwie parowem pomiędzy gorującymi nad nią dwiema wzniesieniami. Był to teren prawie zupełnie pozbawiony



roślinności i słońce zamieniało go w prawdziwy piec hutniczy. Podkreślało to jeszcze bardziej kontrast pomiędzy jałowością zewnętrznego świata a urokami jaskini. Pod wpływem im-

124

pulsu Storm zawrócił i zaczął pokruszonymi kamieniami zasypywać otwór w skale. Przyłączył się do niego Logan. Nie był już tak opuchnięty, więc mógł się uśmiechnąć.

-Nie będziemy zdradzać sekretów Zamkniętych, co? - zaśmiał się. -

Zreszta to jest zbyt dobra kryjówka. Może jeszcze nam się przydad.

Nie przeszło im nawet przez myśl, jak szybko to nastąpi.

Gorgol dosiadł jednej z klaczy i ruszył w stronę południowego kranca

doliny. Logan jechał na oklep na drugiej, a roczniaka obładowali resztkami

zapasów. Storm miał właśnie wskoczyć na ogiera, gdy Surra wydała okrzyk

wojenny i z nastrozona sierścią wyskoczyła przed konia Norbisa, sycząc

wyzywająco. Na jej syk nadeszła podwójna odpowiedź. Emiter Gorgola wypalił,

gdy żółtoszary głaz oderwał się od skały i, ukazując nagle czworo łap, zaatakował

ze ślepa furia, zanim Storm zorientował się, co się dzieje.

Joris, rąbną promieniem emitera, wydał zduszony ryk i runął na piargi,

podczas gdy Gorgol usiłował poskromić przerażonego konia. Klacz, na której

jechał Logan, również się spłoszyła i chłopak, nadal nie całkiem sprawny, nie

mając oparcia w siodle, przekościolkował w dół w chwili, gdy zza skały wynurzył

się drugi jaszczur.

Strzała Storma trafiła w jeden z trzech słabych punktów gada - miękkie

podgardle, ale nie zabiła go na miejscu. Klapnął morderczymi zębami i Logan z

krzykiem rzucił się do tyłu. Z rany na łydce buchnęła krew. Gorgol strzelił jeszcze raz do rannego Jorisa i, nie zwracając na niego dalszej uwagi, skoczył ku chłopcu. Młody Quade obiema rękami ścisnął nogę tuż powyżej rany. Był bardzo blady. Spojrzał na Storma dziwnie pustym wzrokiem. Gorgol wyciągnął noż i odciął jeden z frezli przy pasie. Nagłym szarpnięciem ściągnął but z nogi Logana, który odruchowo wstrzymał oddech. Tubylec owinał pas skóry dookoła łydki chłopca tuż nad raną i podał koniec Stormowi, by ten go mocno związał, tworząc rodzaj opaski uciskowej. Sam podszedł do Jorisa, podważył mu szczękę i zajrzał do paszczy. Potem błyskawicznie wyciął z brzucha zwierzęcia spory płat sadła i wrócił biegiem, by obłożyć nim ranę.

-Samiec - wycedził Logan przez zacisnięte zęby. - Jad... Storm poczuł, że robi mu się zimno. W jego zestawie do pierwszej pomocy nie miał niczego, co mogłoby pomóc rannemu. Słyszał historie o ukaszonych przez jorisy - nie kończyły się dobrze. Ale Gorgol zaszygnował:

125

-Wyciągając... - wskazał na strzep gądziego sadła. - Nie chodzić, nie jeździć... leżeć spokojnie... zaraz chory, bardzo chory... Logan uśmiechnął się blade.

-Wie, co mówi - głos miał dziwnie zmieniony. - Chyba mnie bierze...

Bladość pod opalenizną stała się szara. Chłopcem zaczęły szarpać drgawki, których nie mógł powstrzymać. Z kąta ust pociekł strumyczek krwi.

Gorgol podbiegł do Jorisa i wyciął nowy kawałek tłuszczu. Pokazał Stormowi, by ten zdjął pierwszy płat, i zaraz przykrył ranę następnym. Norbis wskazał na plamę czegoś niebieskiego na zakrwawionym sadle.

-Jad... wychodzi...

Ale czy mogli usunac w ten sposob cala trucizne? Logan uspokoil sie. Glowa opadla'mu na piersi. Lupal gwaltownie powietrze. Jego skora byla lepka od zimnego potu. Chyba stracil przytomnosc.

Gorgol jeszcze cztery razy zmienial ten szczegolny opatrunek. Za ostatnim razem nie bylo na nim sladu trucizny. Chlopiec lezal bezwladnie, oddychal szybko i-plytko.

-Nie ma jadu. Teraz spi... - wyjasnil Norbis.

-Obudzi sie?

Gorgol przyjrzel sie nieprzytomnemu.

-Moze byc, tak. Nie ma wiecej do zrobienia. Nie jezdzic, nie chodzic, moze byc tak duzo dni... - podniosl dwa palce.

-Sluchaj - powiedzial Storm, a potem poruszył palcami. - Ty powiesz mi, jak isc... ja znajde pomoc... wroce... wy poczekacie w miejscu rosnacych rzeczy...

Norbis skinal glowa.

-Ja pilnuje... ty sprowadzisz pomoc... powiesz tez o zlych ludziach...

Wspolnymi silami wniesli Logana z powrotem do jaskini i Storm zaczal przygotowania do wyprawy. Gorgol wyrysowal mu na ziemi droge. Zamierzal wziac konia, a zostawic Surre. Musial jechac szybko, zbyt szybko dla kota. Moze na zewnatrz odnajdzie Baku?

Wzial ze soba dwie manierki, paczke zelaznych racji, luk i strzaly. Gorgol chcial mu oddac emiter i Storm zawahal sie przez chwile, ale odmowil, wiedzac o magii, jaka Norbis przypisywal broni i nie chcac pozbawiac go mozliwosci obrony, w razie, gdyby Xikowie zajeli doline.

JUZ spokojniej i wyglądał, jakby spał. Zdawało się, że jego szanse na przeżycie wzrosły. Wszyscy osadnicy posiadali odtrutkę na jad jorisa i Storm zamierzał ją przywieźć. Następnego dnia o świcie Ziemię wyruszył, omijając ogryzione już do kości zwłoki jaszczurow, i skierował się w dół drogi, która dwa lata temu pokonał Gorgol. Jadąc, wzywał bezgłośnie Baku, ale ten się nie zjawiał. Zaczął się lekac, że ptak zginał od broni Xikow. Złował, że nie ma z nim Surry, której doskonały słuch i węch były mu tak pomocne. Nagle zdał sobie sprawę, że chyba za bardzo uzależnił się od swojej drużyny. Droga, którą odkrył Gorgol, była szczelina skrecająca na południowy zachód. Zgodnie z tym, co mówił tubylec, powinna go wyprowadzić na równinę grubo przed zachodem słońca. Nie zauważył nigdzie śladów ani Xikow, ani Nitrow, ale dwa razy przeciał całkiem świeży trop jorisa, a raz znalazł na miękkiej ziemi odcisk szponia-stej łapy, która mogła należeć do stworzenia, zwanego przez Norbisa "złym lotnikiem".

Musiał jednak zanoć w wawozie. Podzielił się z Deszczem zawartością jednej z manierek, po czym ogier niechętnie pożył się kępami wyschniętej, brunatniejącej trawy. Ranek wstał chłodny, pochmurny i Storm ponaglił konia, chcąc wydostać się z doliny, zanim nadejdzie następna ulewa. Wyobrażenia podsuwała mu mało zachęcające obrazy tego,

co mogłoby spotkać konia i jeźdźcę, gdyby tym wąskim przejściem runęły masy wody.

Do południa było jeszcze daleko, chmury nie zamierzały wylac swojego brzemienia na ziemię, a oni galopowali już po obrzeżach równin, które szerokim językiem sięgały stop Szczytów. Według Logana, do pierwszej chaty miał dotrzeć przed zmrokiem, a stamtąd nawiązałby łączność z dowolnym gospodarstwem w okolicy.

Wcześniej jednak trafił na wioskę. Stafa przecinała te równiny i Storm skrecił, by trzymać się jej zachodniego brzegu. Był pewien, że siedziba ludzka nie może leżeć daleko

od wody. Z radością ujrzał kopuły norbiskich namiotów. Sciągnął cugle, przewiesił luk przez plecy i wyciągnął do góry ręce pokazując wartownikom, że nie ma złych zamiarów. Ale żaden wartownik się nie ukazał. Storm podjechał bliżej i zobaczył, że pomiędzy namiotami nie ma nikogo. Panująca cisza była tak niesamowita, że znowu się zatrzymał. Norbisowie nie budowali stałych osad. Nad rzekami można było

127

często spotkać pozostałości po obozie, ale nigdy tubylcy nie zostawiali rusztowań ani pokrycia swoich namiotów. Należały one do majątku rodziny i nie było łatwo zdobyć nowych.

Słup przy największym z namiotów był pomalowany w karma-złotych pasy, co oznaczało, że wieś należy do klanu Shosonna, sprzymierzonego z plemieniem Gorgola i zycliwie nastawionego do osadników. Czyżby napadli na nich Nitra?

Storm sciągnął wodze i ruszył stępą w kierunku namiotów. Jeszcze jedno okrucieństwo Xików?

-No, dobra! Stan, gdzie jesteś i ręce do góry! Rozkaz spadł na niego jak grom z jasnego nieba. Ton głosu skłonił go jednak do posłuszeństwa, przynajmniej na razie. Podniósł ręce do góry, dłońmi na zewnątrz, rozglądając się w poszukiwaniu niewidocznego przeciwnika.

-Mamy cie w dalekowszoku, koleś...

Ach tak! Odzyskał trochę wiary w swoje umiejętności zwiadowcze.

Dalekowidzem można było wypatrzyć człowieka z odległości mili lub nawet większej. Właściciel głosu mógł go wykonać, zanim Storm zorientowałby się, że ktoś jest w pobliżu. Ale kto to był? Bandyta na usługach Xików? Osadnik?

Zarówno jedno, jak i drugie było możliwe.

Deszcz parsknal, przestapil z nogi na noge i obrocil glowe do pana, jakby pytajac, na co czekaja. Storm wpatrywal sie w zabudowania, falujaca trawe, brzegi strumienia, szukajac jakiegos sladu ukrytych tam ludzi. Jego cierpliwosc sie konczyła. Nie mial czasu na zabawe w chowanego. Logan potrzebował pomocy, a wiadomosc o zamiarach Xikow powinna byc jak najszybciej przekazana wladzom.

W koncu opuscil rece. Na to czekano, bo w tej samej chwili z namiotu wodza wyszlo trzech mezczyzn i ruszylo ku niemu, trzymajac go na muszkach emiterow.

-Dumaroy! - szepnal do siebie. - I Bister!

Nie byl zachwycony takim zestawem.

Coli Bister szedl krok za swymi towarzyszami i Storm, który skupil uwage na nim, byl pewien, ze tamten go rozpoznal. Za chwile uzyskal potwierdzenie.

-To ten zwariowany Ziemianin, o którym ci mowilem! - Bister specjalnie podniosl glos, by byc dobrze slyszanym. - Cala droge do Krzyzowki trzymal sie z kozlami, a teraz wyglada, jakby na dobre do nich przystal.

Dumaroy kroczył ciezko, potezna postac, niebezpieczna jak sa-

128

mieć frawna. Storm znalazł ten typ człowieka. Jesli cos postanowil, nic nie moglo zmienic jego decyzji.

-Co sie dzieje, Dumaroy? - Ziemianin zapytal spokojnie naj-

lagodniejszym tonem. - Ciesze sie, ze was spotkalem. Tam, w Szczytach...

Raz, kiedys, Storm doswiadczył juz dzialania emitera. Ale wtedy nie dostal calej wiazki. Bylo to gorsze niz najgorsze uderzenie, prawie takie, jak koszmarne

przezycie, gdy Xikowie uzyli swojej bialej rury. Nie zdawal sobie sprawy, ze spada z konia. Nagle znalazl sie na ziemi, niebo wirowalo nad nim, a w uszach dzwoniły setki dzwonow. Poczul jeszcze, ze ktos go brutalnie odwraca, wiaze rece i... wpadl w czarna dziure nieswiadomosci.

Ostatnia mysla bylo, ze ktorys z tych trzech strzelil do niego bez ostrzezenia. Szeroka twarz Bistera. Tylko, ze cos w niej bylo nie tak... cos nie tak z Bisterem... bylo wazne, ze to zrozumial... bardzo dla niego wazne.

## ROZDZIAL 15

Ocknal sie z potwornym bolem glowy, ktory wokol oczu przechodzil w nieznosne pulsowanie. Nie mogl podniesc powiek, ale skads, z odleglej przeszlosci doszlo do niego, ze trzeba szybko dzialac. Zaczal walczyć o odzyskanie kontroli nad swym ciałem i umysłem. Staral sie ruszyc i uswiadomil sobie, ze lezy na ziemi, zwiazany, i ze wszelkie proby rozluznienia wiezow koncza sie tylko silniejszym lupaniem w glowie.

Zerknal spod na wpol przymknietych powiek. Byl wczesny wieczor. Wokol slyszal ruch i gwar obozowego zycia. Przewycieczajac zamroczenie, staral sie ze strzepow rozmow wylowic jakies informacje. Powoli, z urwanych fragmentow zdan, ktore do niego dochodzily, wylonil sie niewesoly obraz. To, czego obawial sie Logan, juz sie zaczelo. Najwieksze stado Dumaroya zostalo uprowadzone, a slad zwierzat prowadzil wprost do obozu Shosonnow na brzegu rzeki.

Rozwsciezczeni osadnicy najechali go w odwecie. Na szczescie, nie bylo zabitych, Norbisowie zdazyli uciec, ale w czasie pogoni tubylcy zranili ciezko dwoch ludzi. Teraz Dumaroy czekal na posilki, zdecydowany wytropic Shosonnow wsrod wzgorz i dac im dobra nauczke. Rozeslal wici zwolujace wszystkich osadnikow,

gdyz, jak wskazywaly slady, uciekajacy Shosonna przecieli swiezy trop Nitrow i Dumaroy obawial sie polaczenia sil tubylcow.

Jedna prawdziwa bitwa z Norbisami i plan Xikow bedzie na najlepszej drodze do pelnej realizacji. Mogli bez trudu kontynuowac swoja taktyke drażnienia obu stron. To znaczy: mogliby, gdyby Storm nie dotarl do osadnikow. Gdy opowie swa historie Dumaroy -owi, ten z pewnoscia bedzie musial przemyslec swoje posuniecie i zaczekac na Oficerow Pokoju. Bister - w jakis sposob Coli Bister odgrywal tu wazna role. Storm dalby glowe, ze to on wlasnie ogluszył go, zanim zdazyl cokolwiek powiedziec. Ciekawe, co wymyslil, zeby usprawiedliwic ten strzal bez ostrzezenia i zeby sklonic pozostalych do uwiezienia Storma? To, ze byl on nastawiony przychylnie do tubylcow, nie wystarczalo - zbyt wielu sposrod osadnikow reprezentowalo taka postawe. Jako Ziemianin mogl byc podejrzewany o niezrownowazenie umyslowe - czy Bister chcial wygrac te karte? Ten zarzut bylby trudniejszy do odparcia. Kazdy z osadnikow slyszal plotki o tym, co dzialo sie w Centrum, a Bister przebyl wraz z nim cala droge z Portu do Krzyzowki...

130

Nie mogl uniesc glowy wyzej niz na pare centymetrow, zasieg wzroku mial wiec dosc ograniczony, a wszystkie postacie, ktore sie ukazywaly, byly nieznanome. Dort Lancin mial posiadlosc w Szczytach, jezeli wiec osadnicy mieli przyjsc z pomoca Dumaroyowi, to powinien sie zjawic wczesniej czy pozniej. Dort byl filarem frakcji przyjaznej tubylcom i moglby wstawic sie za Stormem. Ziemianin zzymal sie w duchu na taka strate czasu. Bister - nadchodzil Bister. Storm instynktownie zamknal oczy. Szarpniecie



za sznur petajacy mu nogi odezwalo sie przesywajacym bolem glowy, z trudnoscia udalo mu sie nie poruszyc. Takie samo szarpniecie za nadgarstki. Szuranie butow... chrzakniecie. Odwazyl sie uchylic powieki. Bister stal odwrocony, wsluchujac sie w tetent kopyt. Storm przyjrzel mu sie tak, jak zolnierz spoglada na wroga w czasie chwilowego rozejrnu. Facet byl zagadkowy. Z niewiadomych przyczyn od pierwszej chwili zywil nienawisc do Ziemianina. Gdyby byl taki, na jakiego wygladal, to przy pierwszej lepszej okazji dazylyby do bojki. Ale Storm na poczatku pokonal go bez trudu i od tego czasu Bister podjudzal innych, by zemscic sie ich rekami. Wygladalo to tak, jakby jego imponujaca postac byla tylko mylącym przykryciem zupełnie innej osobowosci. Podejrzenie, szalone i bezpodstawne, przemknelo przez oszolomiony umysl Storma. Dobrze sie stalo, ze dzięki przejezdziacym jezdcom mial chwile na zastanowienie. Te historie, ktore opowiadano w ostatnich tygodniach wojny, gdy zdesperowani wrogowie siegneli po swe ostatnie sztuczki i tajne bronie, historie, ktore potem w Centrum poznal ze szczegolami. Aperi!

Jezeli Bister byl jednym z tych legendarnych stworzen-Xikow, dzięki chirurgii plastycznej i intensywnemu psychotreningowi przekształconych w czlonkow Konfederacji, to wyjasnialoby wiele. Bylby to najniebezpieczniejszy wrog, z jakim sie dotad spotkal. Wedlug relacji, ktore slyszal, aper posiadal tyle roznych umiejetnosci, co Mistrz Zwierzat, a moze wiecej.

Co prawda, opowiesci o aperach byly traktowane w Centrum jak niestworzone brednie. Wielokrotnie je dementowano, a lekarze i ludzie ze sluzb wywiadowczych zgodnie twierdzili, ze taka przemiana jest wlasciwie niemozliwa. Oczywiscie, zostawiali sobie te furtke:

"własciwie".

Jak gdyby jego wnioski nie były dostatecznie zaskakujące, zauważył jeszcze

jedno: Bister nie sprawdzał po prostu jego wiezow,

131

on je rozluźnił! Chciał, żeby Storm się z nich uwolnił, a Ziemiańcin nie miał złudzeń co do powodu tej łaskawości. Lotr nie ryzykował użycia śmiertelnej

broni w czasie ich spotkania we wsi Shosonnow, ale zabić jęca podczas próby ucieczki, to była zupełnie inna sprawa.

No cóż, w takim razie jęciec nie będzie próbował uciekać, nawet zachęcany.

Tak pograżył się w myślach, że nie zwrócił początkowo uwagi na głosny spor toczący się nieopodal. Dopiero, gdy usłyszał znajome nazwisko, problem Bistera odsunął się nagle na dalszy plan.

-...Brad Quade i strzelał w górę dymnymi rakietami. Mówię ci, daj spokój,

Dumaroy! Jest z nim Oficer Pokoju -jeśli zaczniesz sam jakas rozrobie z

Norbisami, to odpowiesz za to w Galwadi! Nie zamierzam się stąd ruszać przed przybyciem Quade'a...

-Możesz nawet zlizywać mu kurz z butów, Jaffe. Nikt cię nie będzie

zatrzymywał. Tylko, że my nie pozwolimy, żeby Dorzecze nam rozkazywało.

Bedziemy bronić naszej własności, a nie nianczyc te cholerne kozły! Wszyscyście

widzieli trop. Prowadzi prosto do wioski i dalej, w góry. Dzikusy ukradły mi

ostatnie stado! Mogę to powiedzieć każdemu Oficerowi. A co do Quade'a -

gdyby wiedział, co dla niego dobre, to trzymałby się z daleka. Zginał mu

szczeniak? Załóżę się, że wpadł w łapy tych kozłów i jego prawa rączka dynda

teraz w jaskini Domu Grzmotów! Mówię jeszcze raz: ruszamy o wschodzie

slonca, a jak ktos nie chce, to niech sie wynosi...

Rozlegl sie pomruk i kilka okrzykow. Storm, przysluchujac sie, doszedl do wniosku, ze prywatna armia Dumaroya nie podziela zapalu wojennego swego wodza.

-Dobra! Dobra! - Ryk osadnika zagluszył gwar tamtych. - Bierzcie konie i wynocha, ty - Jaffe i Hyke, i Palasco! Tylko nie przychodźcie do mnie, jak was kozły oskubia i zajma wasze tereny. Idźcie wtedy do swojego Brada Quade'a, niech im pokaze na paluszkach, zeby je oddali!

-A ja jeszcze raz ci powtarzam, Dumaroy, ze wciagasz Szczyty w smierdzaca sprawe i wszyscy bedziemy mieli przez ciebie klopoty. Poczekaj lepiej na Quade'a i Oficera i posluchaj, co maja do powiedzenia. Beda tu rano...

-Won! - w glosie brzmiala slepa furia. - Wynoscie sie, mieczaki!

Quade nie bedzie mi rozkazywal! Moze sobie byc szefem w Dorzeczu, ale nie tutaj. Wszyscy sie wynoscie, do cholery!

To, co slyszal, bylo kuszace. Moze by sie z nimi zabrac? Probowal uniesc glowe, ale przeszyly ja taki bol, ze zrobilo mu sie ciemno

132

przed oczami. Nie bylo szans na wymkniecie sie Bisterowi, zanim nie ustanie efekt dzialania emitera. Ale to, ze Quade jedzie w gore rzeki, bylo jakas nadzieja.

Pomimo tego, co ich dzielilo, Ziemianin mial do tego czlowieka wiecej zaufania, niz chcialby przyznac przed samym soba. Byl pewien, ze z ludzi, ktorych spotkal na Arzorze, jedynie Quade mial sile charakteru i umiejetnosci przywodcze, ktore by pozwolily przeciwstawic sie piekielnemu planowi Xikow. Storm musial wykorzystac szanse ucieczki dana mu przez Bistera. Ale musial ja wykorzystac z

powodzeniem, by dostarczyć informacje do obozu Brada Quade'a.

W ogólnym zamieszaniu wydawało się, że Dumaroy zapomniał o swoim więźniu. Nikt w każdym razie nie przyszedł sprawdzić, w jakim jest stanie, ani nie próbował go przesłuchiwać. Mogło to być też częścią planu Bistera. Dziwne, ale odkąd zaswitało mu podejrzenie co do jego tożsamości, Storm przyjął je za pewnik. Był jednak równie pewny tego, że gdyby chciał się podzielić tą rewelacją z osadnikami, udowodniłby im tylko, że jest jeszcze jednym stukniętym Ziemiąninem - takim, jak wszyscy.

Od obozu odgradzał go mały pagorek, nie licząc więc idących po wodę do rzeki i kilku osadników rozkładających spiwory, nie był pod stałą obserwacją. Nie odważył się wyciągnąć raka z petli, bo Bister mógł właśnie czekać na ten ruch. Był już w stanie unieść głowę bez specjalnych dolegliwości. Ściemniało się. Kiedy nadejdzie noc, zaryzykuje, chociaż to Bister miał w reku wszystkie atuty.

Przed zmrokiem Durnaroy jednak przypomniał sobie o więźniu. Storm zamknął oczy naśladować najlepiej, jak umiał, szczyt człowieka rzonego z emitera.

-Cos dlugo tak lezy... - Dumaroy nie był może niespokojny, ale trochę zdziwiony.

Odpowiedział Bister, a Storm starał się wylapać jakiś cien akcentu, który pomógłby zdemaskować apera.

-To Ziemiąnin. Oni źle znoszą promienie. Nie używają ich często.

-Może. Ale Starle mówił, że to komandos - to powinni być twardziele.

Swoją drogą, dalej nie rozumiem, dlaczego musiałes go kropnąć, Coli.

-Słuchaj, jechałem z nim od samego Portu. Ten facet lubi podstęp. Był

wtedy już na pol swirniety - jak wszyscy stamtąd. Słyszales pewnie, co się z

nimi działo po tym, jak spalili Ziemię. Ten

133

facet wbil sobie w głowę, że wszyscy są przeciwko niemu. Wszyscy poza kozłami. Od razu się z nimi skumał. Kiedy tak nagle zniknął z Krzyżówki, trochę

się o nim dowiedziałem. To Mistrz Zwierząt. Powinieneś być widzieć, jak

ujeżdżał konie Larkina. Robi ze zwierzętami, co chce. Jak taki typ przystanie do

Rzeźników, a jeszcze będzie w komitywie z dzikusami, to tak, jakbyś sobie pod

bokiem wyhodował jorisa. Nie zdziwiłbym się, gdyby brał udział w tym napadzie

Shosonnow. Nie chciałem, żeby nam zwił, zanim nie zadamy mu paru pytań.

Dobrze by było schować go gdzieś, bo inaczej trzeba go będzie przekazać

Oficerowi Pokoju...

-Nie może jechać, dopóki nie dojdzie do siebie - stwierdził Dumaroy. -

Miej na niego oko, Coli, i daj mi znać, kiedy się ocknie. Tak, chce mu zadać kilka pytań...

Odeszli wreszcie, ale ból w mięśniach, które Storm cały czas napinał, stał

się równie trudny do zniesienia, jak pulsowanie w głowie. Więc Bister miał go

mieć na oku? To dawało bandycie sposobność do pozbycia się Tłosteena Storma

bez hałasu i bez kłopotu. Gdyby była tu Surra... albo Baku... Wziął się w garść: w

koncu nie może polegać tylko na zwierzętach!

Bulgotanie wody płynącej po kamieniach tłumilo odgłosy dochodzące z

obozu. Na pewno Quade ze swymi ludźmi obozuje nad tym samym strumieniem.

Storm nie był pewny, czy ma wystarczająco dużo siły, żeby dosiąść konia, nawet

Deszcza. A czy mogłby popłynąć?

Poganiacze mieli zawsze ze soba manierki przytwierdzone do siodel. Ale tak duza grupa, i to w dodatku szykujaca sie na wyprawe w gory, musiala miec tez inne zbiorniki na wode. Najczesciej do tych celow uzywano tu buklakow ze skory wodnych ropuch. Wyrabialy je rybackie szczepy Norbisow, zyjace na poludniowych wybrzezach. Byly to owalne worki, kazdy wykonany z calej skory wielkiego plaza zamieszkujacego moczary. Prawie przezroczyste, pod wpływem wilgoci nadymaly sie jak balony. W obozie Krotaga Storm widzial, jak dzieci robily z nich tratwy. Z para takich pecherzy jego umiejetnosci plywackie nie mialyby wiekszego znaczenia - dalby sie po prostu niesc pradowi rzeki. Pozostawal jeszcze drobiazg: wydostac sie z obozu i ukrasc jeden lub dwa buklaki. Jesli oddzial mial wyruszyć wczesnym rankiem, to Dumaroy wysle kogos do rzeki, zeby napelnic worki. Musialy stac przez noc po dodaniu oczyszczajacych tabletek, bo gdyby wrzucono

134

je rano, to przez co najmniej pol dnia woda nie nadawalaby sie do picia. W czasach, gdy dzialal w Sekcji, sam robil tak wielokrotnie.

Byl oslabiony, ale powinien dac sobie rade z jednym czlowiekiem, zwlaszcza gdyby udalo sie go zaskoczyc. Ale Bister... to bylo wielkie niebezpieczenstwo. Wszystko zalezalo od szczescia i od tego, czy potrafi je wykorzystac. Zaczal powoli poruszac palcami, zginac rece w nadgarstkach i poczul, ze wiezy rozluzniaja sie coraz bardziej.

Jedynym jego atutem bylo to, ze jego wrog - chociaz wygladal jak czlowiek i nauczyl sie myslec i dzialac jak czlowiek - byl przedstawicielem innego gatunku. Jak Coli Bister, aper, mogl byc pewien, czy nie popelni jakiejs

drobnej pomyłki, potknięcia, które zaprzepaszciłoby jego plany? Być może, właśnie strach przed tym był powodem nienawiści do Storma. Bister potrafił rozpoznać w Mistrzu Zwierząt człowieka o niezwykłych właściwościach umysłu. Równie niezwykłych jak te, które posiadał on sam. Być może, obawa przed umiejętnościami Ziemiannina rozrosła się do tych rozmiarów, że aperi znacznie przeceniał rzeczywiste możliwości człowieka. I to właśnie Storm chciał wykorzystać.

Jego cierpliwość została wynagrodzona. Zza pagórka wynurzył się jeden z ludzi Dumaroya, zmierzający w kierunku rzeki z pustymi bukłakami przewieszonymi przez ramie. Pozwolił mu przejść i rozpoczął przedstawienie. Z głuchym jękiem obrócił się, walcząc z krepującymi go więzami. Mężczyzna odwrócił się, spojrzał i podszedł bliżej. Jak dotąd, szczęście dopisywało Stormowi - nie trafił na bystrzaka. Jeszcze jeden jęk, głuchy i bardzo realistyczny - był zaskoczony własnym talentem aktorskim - i mężczyzna, rzuciwszy worki na ziemię, przykleknął obok jenca, żeby zobaczyć, co się stało.

Reka Storma wylądowała na szyi tamtego. Uderzenie nie było celne - był jeszcze zbyt słaby - ale poganiacz stracił równowagę i upadł na Ziemiannina. Ucisk we właściwym punkcie i nieszczęsny, nadal zaskoczony, zwiotczał. Przez długą chwilę Storm leżał, przyciskając do siebie bezwładne ciało i czekał na krzyk, tupot nóg, zbierając siły do następnego ruchu. Nic się nie stało. Ziemiannin ostrożnie wydobył się spod mężczyzny i położył go na swoim miejscu. Podniósł bukłaki i zmuszając się do spokojnego kroku, ruszył ku rzece. Jeszcze trzy-cztery metry i będzie przy niej. Teraz nadac worki, zawiązać je i tratwa gotowa.

Rzeka stała się, niestety, uczeszczanym miejscem. Nieopodal hałasliwa

grupa brała kąpiel, a dalej prowadzono właśnie konie do wo-

V

135

dopóju. Storm, z workami pod pachą, ukrył się w nadbrzeżnych trzcinach. Nagle pomiędzy pojonymi koniami dojrzał swojego ogiera. Kon wyraznie nie

był w dobrym humorze. Czarny wierzchowiec zaczął prowokująco, a Deszcz jakby tylko czekał na wyzwanie. Poganiacz podjechał bliżej i trzasnął pejcem.

Nie można było z Deszczem gorzej postąpić. Odkąd Storm dosiadł go w porcie kosmicznym, kon nie został uderzony, wpadł więc teraz we wściekłość. Chociaż młody, był godnym przeciwnikiem i rzucił się naprzód, gryząc i wierzgając.

Storm zsunął się do wody. Uwaga wszystkich ludzi zwrócona była ku walczącym koniom. W chwili, kiedy dostał się w nurt strumienia, zobaczył, że Deszcz wbiega do wody. Usłyszał krzyki. Ru-doszary wierzchowiec zawrócił ku brzegowi i roztracając poganiaczy popędził w śród, ku gorom i wolności. Potem zakręt rzeki skrył wszystkich.

Podniecenie ucieczka dodało mu siły na tyle, żeby dostać się w główny nurt, ale teraz mógł tylko trzymać się swojej tratwy i mieć nadzieję, że Quade nie obozuje zbyt daleko. Nadeszła noc. Od gor wiał wiatr i Storm zaczął się trząść z zimna. Nad wzgórzami błysnęło i dobiegł łoskot grzmotu. Powinien mieć się na baczności, żeby we właściwej chwili skrócić ku brzegowi, zanim nadejdzie fala powodziowa. Trudno mu było jasno rozumować i dawał się po prostu unosić rzecze. Stracił rachubę czasu. Myśl o tym, że przechytrzył Bi-sterę, była przez chwilę jego małym triumfem, szybko przytłumionym przez ból i osłabienie.

Nie było widać księżyców, a i gwiazdy świeciły słabo przez strzępiaste



chmury pedzone wiatrem po nocnym niebie. Storm, na wpol swiadomy tego, co sie dzieje, plynal wciaz na poludnie. Obwachal go szczur wodny, ale chyba zapach Ziemianina nie byl zachecajacy, bo wielki gryzon plynal tylko rownolegle do niego przez jakis czas. Pojawienie sie zwierzecia uswiadomilo jednak Stormowi, ze moze natknac sie na ktoregos z wiekszych i niebezpieczniejszych od szczura mieszkancow rzeki. Zaczal poruszac nogami, zeby przyspieszyc tempo podrozy i uzyskac jakas kontrole nad tratwa.

Mijaly godziny. Byla juz ciemna noc, gdy w zakolu rzeki natknal sie na przeszkode - klebowisko splatanych galezi i innych resztek, niesionych przez prad. Zanim zdal sobie sprawe z niebezpieczenstwa, jakis sek przedziurawil jeden z buklakow i Storm, straciwszy rownowage, dostal sie pod wode. Bystry nurt cisnal go o wysoki brzeg

136

rzeki. Resztki sil wczepil sie w te sciane i, poobijany i podrapany, wgramolil sie wreszcie na gore. Nie byl juz zdolny do najmniejszego wysilku. Upadl twarza na trawe i zasnal.

-...dajcie go tutaj...

-To ten Ziemianin, Storm! Ale co...

-Wyglada, jakby byl w rzece.

Swiatlo. Plomienie ogniska polaczone z jasnym blaskiem polowej lampy atomowej. Ktos go podtrzymywal, unoszac mu glowe tak, zeby mogl lyknać z przystawionego kubka. Wszystko bylo jakies zamglone, tylko jedna twarz widzial wyraznie. Tym razem mogl rozmawiac z czlowiekiem, ktorego przybyl zabic.

Tak, przemierzyl pol galaktyki, zeby zabic Brada Quade'a, ale teraz ta mysl byla

odległa i nieistotna.

-Kłopoty... - wydukał. Słowo to niezbyt precyzyjnie wyrażało to, co miał do powiedzenia. - Xikowie w Szczytach. Norbisowie... Dumaroy...

Logan...

Potrzaskano nim, najpierw lekko, potem gwałtowniej.

-Gdzie jest Logan?

Storm, pograżając się znow w otchlan snu odpowiedział tesknie:

-Ziemia... ziemski ogród.

## ROZDZIAŁ 16

Storm szybko doszedł do wniosku, że grupa prowadzona przez Quade'a składa się z ludzi rozsądnych. Kelson z Policji Pokoju Planetarnego, "wielki,

wolno mowiący mężczyzna o oczach, którym nie umknął żaden istotny szczegół,

i o nad wyraz analitycznym umyśle, zadał mu kilka pytań, z których każde

trafiało dokładnie w sedno.

Ziemiąnin początkowo nie zamierzał ujawniać swych podejrzeń co do

Bistera. W coś takiego mogliby uwierzyć weterani z jego Komanda, którzy

wiedzieli, na co stać obcych agentów. Nie mógł jednak wymagać, żeby ci ludzie,

którzy pewnie nigdy nie natknęli się na Xikow, uwierzyli, że jeden z obcych był

wsśród nich nie rozpoznany. Tym bardziej, że nie miał na to żadnego dowodu. A

jednak, gdy Kelson wyciągnął z niego te rewelacje, zadając pytania z wprawą

doświadczonego inkwizytora, nikt ze słuchaczy nie wyraził niedowierzania.

Mieszkańcy tej planety byli chyba bardziej otwarci na takie opowieści niż

urzednicy, których nauczono nieufności w stosunku do nie sprawdzonych

wiadomości.

-Bister - powtorzył w zamyszeniu Quade. - Coli Bister. Ktos go zna?

Dort Lancin odezwał się pierwszy.

-Pędził stado z Portu razem ze mną i Stormem, dokładnie, jak mówi chłopak. Wydawał się całkiem normalny. Ale slyszalem w wojsku o apercach. Pod koniec nasi złapali dwóch takich, przebranych w mundury Konfederacji, którzy sabotowali działania grupy. Gdyby nie to, że jedna z ich akcji zwróciła uwagę dowodcy, cały ten sektor wzieliby diabli. Potem wszyscy się sobie nawzajem uważnie przyglądali, chyba że pochodzili z jednej wioski. Bister nie przyleciał naszym statkiem i był nowy u Larkina. Nie wiem, skąd się wziął, Put najął go tak, jak reszta nas.

-Poczucie winy to ciekawa sprawa- zauważył Kelson. - Bister nienawidzi Ziemiaków i prawdopodobnie, tak jak mówisz, leka się ciebie, Storm, bo zostaliście wyszkoleni do podobnych zadań. Gdyby nie czuł się winny i gdyby się nie bał, nie zachowałby się w sposób podejrzany. Musimy go dostać jutro, a jeszcze lepiej dziś. Jeśli Du-maroy już wyruszył, pojedziemy za nim. Ale nie będziemy zaczynać z Xikami. Są tak uzbrojeni, że będziemy potrzebować statku patrolowego, żeby się z nimi uporać. Quade, ponieważ chcesz odzyskać dzieciaka, odbijesz od nas na wschód. Ja z resztą pojedziemy na-

140

przód i postaramy się przekonać Dumaroya. Myślę, że rozdzielenie się będzie korzystne. Zrobili tak, jak proponował Kelson. Quade, prowadzony przez Storma, i dwóch poganiaczy odłączyli od reszty po tym, jak znaleźli opustoszały oboz grupy Dumaroya i ślady świadczące, że osadnik nie zrezygnował z pogoni za Norbisami.

Storm jechał jak we śnie. Odnajdywał punkty orientacyjne, zastanawiał się, jak mają

uniknac ewentualnych zasadzek, ale wszystko to robil mechanicznie, jak automat nastawiony na okreslony program. Czy byl to przedluzony efekt dzialania promieni obezwladniajacych - nie wiedzial, ale nic wokol nie mialo dla niego wiekszego znaczenia. Jechal przez jakis czas obok Quade'a i odpowiadal na pytania dotyczace jego spotkania z Loganem, ich uciezki przed Xikami, drogi przez tunel do ogrodow i w koncu nieszczesnego spotkania z jorisem, ale cala rozmowa toczyła sie jakby poza nim. Nie zauwazyl tez, ze Quade ukradkiem mu sie przyglada.

Jego umysl, jakkolwiek przycmiony, zareagowal bezblednie na nagle niebezpieczenstwo, gdy zostali zaatakowani. Przejedzali wlasnie przez waskie wejście do wawozu prowadzacego do jaskini Gor-gola. Musieli poruszac sie pojedynczo, Storm jechal jako pierwszy. Nagle ujrzal zoltoczerwone ramie i niebieskie rogi.

-Uwaga - jego ostrzezenie zabrzmialo jednoczesnie ze swistem strzal, a wokol zaroilo sie od ludzi. Poczul paralizujacy bol w lewym ramieniu, nie mogl nim poruszyc, gdy niebieskorogi Norbis chwycil go za pas. Zamachnal sie druga reka, ale ciezar padajacego zwalil go z nog i potoczyli sie miedzy skaly. Przez okropna chwile staral sie jedna reka odepchnac dlugi noz od swego gardla. Uratowalo mu zycie to, ze jego pierwsze uderzenie znacznie oslabilo tubylca. Podkurczyl kolana i zepchnal go z siebie, przetoczyl sie na niego i ogluszyl. Zostawilwszy nieprzytomnego Nitre na ziemi, stanal na nogi tylko po to, by znow runac trafiony skrajem wiazki z emitera. Bezwladnie osunal sie miedzy skaly nie czujac, ze padajac calym ciezarem ciala na wbita w ramie strzale odlamal jej koniec i wbil ja jeszcze glebiej.

Druga dawka promieni w jaki-s sposob zneutralizowala skutki pierwszej, bo gdy Storm otworzyl oczy, jego umysl byl jasny. Slonce przesunelo sie i na sciezce panowal chlod. Chlod i cisza. Dzwignal sie, opierajac o skale i wstrzymal oddech czujac rwacy bol

w lewym ramieniu. Chyba go nie zauważono, bo Nitrowie go nie okaleczyli. Nie

141

było żadnych ciał, ale na ziemi leżało kilka strzał i dostrzegł dwie plamy krwi. Chwiejnie podszedł bliżej i spróbował odczytać tropy. Siady butów... Wieszniowie

pedzeni na piechotę?

Przycisnął rękę do rany spoglądając na odciski kopyt, butów i ślady

Norbisów. Opierając się o ścianę wąwozu, ruszył w kierunku jaskini. Jakos dotarł

do jej wejścia. Cicho zawołał. Z ciemności nie nadeszła żadna odpowiedź.

Poszedł dalej, prowadzony przez światło padające z jaskini ogrodów. Wejście

było nadal otwarte. Zachwiał się i ukląkł na ścieżce.

-Logan! Gorgol! - zawołał słabym głosem.

Nie miał siły, żeby wstać. Gdzieś tam jednak była sosna... i zielona trawa... i

zapach ojczystych wzgórz. Chłodna trawa i sosnowe galezie nad głową... Pragnął

tego tak mocno, jak łyku wody i końca palącego bólu w ramieniu.

Poczuł się dalej i napotkał jakąś przeszkodę, żółtoczerwone ciało.

Dotknął go. Twarz Gorgola była zwrócona ku niemu, oczy zamknięte, usta

uchylone. Złoty. Widział pulsowanie żyły biegnącej u podstawy jednego z rogów.

Nie był ranny, wyglądał, jakby spał.

-Gorgol! - Storm potrząsnął tubylcem, potem uderzył go kilkakrotnie

otwartą dłoń w policzki. W końcu Norbis otworzył oczy i spojrzał trochę

nieprzytomnie na Ziemiańszaka. Ten spytał jedną ręką:

-Kto?

Gorgol unosił się trochę, objął głowę rękami i jęknął. Ucisnął palcami oczy i

wreszcie odpowiedział:

-Przyszedłem... po wodę... głowa boli... upadłem... spałem.

-Emiter! - Storm rozejrział się. Nie było Logana, Surry, Hing ani koni.

-Nitra? - było to mało prawdopodobne. Czy tubylcy, nie znający broni osadników, potrafiliby użyć jej przeciw Gorgolowi?

-Nitra zabijają strzałami... nożem... - sygnalizował Norbis. Wtedy zauważył ramię Storma. - Nitra - tak! Tutaj?

-Zasadzka... w dolinie...

-Chodź - Gorgol wstając znowu chwycił się za głowę. Podniósł Storma i podtrzymując go, poprowadził przez labirynt ogrodów. W końcu dotarli na miejsce i Ziemianin wyciągnął się na igliwiu patrząc znowu w koronę sosny nad głową. Nieopodal Gorgol ułożył stosik suchych patyków i zajął się krzesaniem ognia. Kiedy drewno zajęło się, tubylec wyciągnął noż i włożył ostrze w płomienie.

142

Storm, wiedząc, co go czeka, ponuro przyglądał się tym przygotowaniom. Były konieczne, wiedział o tym. Logana nie było, zwierzęta znikły, jeśli mają

odnaleźć ich i ludzi Quade'a, to musi być zdrowy. Kiedy Norbis podszedł do niego, Ziemianin rozciągnął usta w grymasie, który miał być uśmiechem.

-Strzela zostanie... źle! - Storm wiedział o tym wystarczająco dobrze. -

Muszę wyciąć... teraz.

Zdrowa ręka znalazł jakiś gałąz leżącą na ziemi i zacisnął na niej palce. -

Zaczynaj! - chociaż Gorgol nie mógł zrozumieć, odczytał znaczenie tego słowa z oczu Storma. I zaczął.

Norbisowie byli zreční i z pewnością chłopiec nie po raz pierwszy usuwał

strzale z ciała towarzysza, ale nawet gdy sprawnie była wykonywana, trudno było znieść te operacje. Storm przypomniał sobie, co Logan mówił o wyciąganiu strzał i ile to kosztuje ofiary. Miał i tak szczęście, że trzy haczyki na grocie nie ułamały się i trzeba było poszukać tylko jednego.

Cieżko dysząc, mokry od potu, leżał spokojnie, gdy Gorgol przyłożył na rane opatrunek z jakichś zgniecionych liści, po czym unosił mu głowę i dał pic. Potem znowu ułożył Storma na ziemi i wyciągając ręce tak, by ranny je widział, zasygnalizował.

-Ide... poszukam Logana... zobaczcie, kto mnie uspił... wytropie złych ludzi...

-Nitra - Storm nie miał siły, żeby podnieść rękę, ale Norbis znowu zrozumiał.

-Nie Nitra - pokręcił prawą ręką. - Mam wciąż rękę... Nitra zabierają do Domu Grzmotów. Myślę, może być, Rzeźnicy. Zobaczymy...

Storm zamknął oczy. Obudził się, gdy poczuł na zdrowym ramieniu ciepły, miękki ciężar i coś dmuchnęło mu w ucho. Wolno otworzył oczy. Szelest nad głową. Na zwisającej galezi siedziała ciemna postać, a jej głowa, ozdobiona zakrzywionym dziobem, była zwrócona ku człowiekowi.

-Baku! - Orzeł odpowiedział ochryplym okrzykiem. Meer-kat zagruchał coś radośnie przy uchu Ziemiańszaka, a z tyłu dobiegło go głośniejsze mruczenie Surre. Jeszcze nie w pełni przebudzony, leżał tak przez chwilę z leniwym zadowoleniem, nie ruszając się. Potem spróbował podnieść lewą rękę, by pogłaskać Surre i nagły ból przywrócił go do rzeczywistości. Ból jednak nie był tak silny, jak się spodziewał. Jak za pierwszym razem, to miejsce miało na niego

zbawienny wpływ. W dodatku lisciasty opatrunek Norbisa stwardniał osłaniając rane i tłumiac ból, jak gdyby rośliny te miały jakies działanie narkotyczne.

Gorgol musiał wrocic i znowu gdzies pojsc, bo obok zobaczyl sterte przedmiotow pochodzacych z ich zapasow. Poobijana manierka i skrzynka z racjami zywnosciowymi lezaly na welnianej derce dziadka, a za nimi, na lisciu wabily oko owoce.

Storm zjadl je z apetytem, byl bardzo glodny. Z minuty na minute czul sie coraz lepiej. Badal wlasnie zakres ruchow, ktore mogl juz wykonac chora reka, gdy przybiegl Gorgol.

-Znalazles... co?

-Logan zabrany przez Rzeznikow. Rzeznicy zabici przez Nitra. Logan...

ludzie z toba... Nitra trzymaja ich w drugiej dolinie. Moze byc, zabija. Nadchodzi Wielka Susza. Czarownicy Nitra robia czary dla Ciskajacych Pioruny, zeby przyszedl znowu deszcz. Zabijaja jencow dla Ciskajacych Pioruny...

-Nitra mysla, ze to przywola deszcz? - Storm staral sie wyrazic swe pytanie gestami. - Nitra boja sie, ze deszcze nie przyjda, jesli nie zabija wiezniow?

Norbis zywo skinal glowa.

-Ciskajacy Pioruny zyja wysoko w gorach, daja deszcz, wszystko rosnie.

Ale czasem za duzo deszczu - zle. Zle tez jak za sucho. Burze sa gorsze w kraju

Nitra niz u Shosonna. Wiec czarownicy Nitra oddaja jencow Ciskajacym

Pioruny... koniec Wielkiej Suszy, nie zrobia zlych deszczy, jesli pozra jencow.

-Jak oddaja wiezniow?



Gorgol zamachnal sie jedna reka, konczac gest jak gdyby wyrzuceniem przedmiotu w powietrze.

-Rzucaja z wysokiej skaly... moze byc. Nie na pewno... Shosonna nie szpieguja czarownikow. Duzo, duzo strazy naokolo... zabijaja tych, co patrza, jesli nie Nitra.

-Gdzie?

-Oboz Nitra nad krawedzia. Czekaja... chyba chca zabic Rzeznikow...

Shosonna tez sa na wzgorzach... moze byc, beda walczyc.

Czyzby to uciekinierzy z obozu nad rzeka, ktorych scigal Du-maroy?

Robilo sie tu tloczno. Nie wiadomo, dlaczego, Storm czul sie calkiem pewnie.

Byla tu grupa Dumaroya i oddzial dowodzony przez Kelsona, chyba ze jedni albo drudzy natkneli sie na Xikow, Nitrow czy rozwscieczonych Shosonnow.

144

Ale w tej cliwili Storma najbardziej interesowali Nitra. Kelson zostal ostrzezony, a Dumaroy nie byl zbyt daleko od niego - beda musieli podjac

ryzyko. A Nitra mieli Logana, Quade'a i chyba jeszcze dwoch poganiaczy. Tym

musial sie zajac. Mial jeszcze jeden atut. Z Shosonnami czy innym na wpol

cywilizowanym szczepem moglo sie nie udac, ale tu mial do czynienia z

tubylcami, ktorzy niewiele wiedzieli o przybyszach, zwlaszcza jesli ci roznili sie

od osadnikow, z ktorymi toczyli wojne.

Najlepiej, jak potrafil, przedstawil swoj plan Gorgolowi. Ku jego

zaskoczeniu, Norbis nie zaprotestowal, ale odparl:.

-Masz moc czarownika. Larkin mowi, ze twoje imie w jego jezyku

oznacza bron Ciskajacych Pioruny...

-Tak, w moim teź. Gorgol kiwnał głowa.

-Nitra nie widzieli takiego totemu, jak twój ptak, ani innych zwierząt,

które idą z tobą. Ludzie jeżdżą na koniach, zarnie mogą chwytac. Ale frawn nie je człowiekowi z ręki ani nie ociera się o niego. Czarownicy Nitra nie rozkazują zwierzętom. Możesz wejść do ich obozu nie spotykając strzały. Ale, może być, nie wyjdiesz więcej... to coś innego...

-Czy Gorgol może sprowadzić Shosonna na pomoc?

-Góry są duże, a czarownicy zaczęli swoje czary przed wschodem słońca. -

Reka Norhisa uczyniła znak zabijania. - Lepiej Gorgol użyje tego - wyciągnął zza pasa emiter. - Użyje na nich takiej magii.

-Został ci tylko jeden magazynek - zauważył Storm. - Kiedy go zużyjesz, zostanie ci emiter bez mocy...

-I to! - Norbis położył dłoń na rekojesci noża. - Ale będzie to wielki

honor dla wojownika. Kiedy zapłonie ogień, Gorgol stanie przed nim i opowie o swoich czynach dwunastu klanom i nie będzie nikogo, kto by mówił, że nie jest tak.

Storm troskliwie przygotowywał się do dzieła. Ponownie pomalował twarz zrobioną napredce farbą. Przez zranione ramię przewiesił złożoną derkę, której konce zatknął za pas concha. Przejrzał się w jeziorze i przewiązał splecione włosy paskiem materiału. Z wody spojrzała na niego postać barbarzyńcy, która na pewno zwróciłaby uwagę zgromadzenia Nitrow, nawet bez jego drużyny.

Nie mógł nieść Baku na zranionym ramieniu przez całą drogę, więc musiał przekonać go, żeby wyleciał z jaskini, sam zaś poszedł

za nim trzymając Hing. Surra szła obok. Od Gorgola dowiedział się, że orzeł wrócił poprzedniego dnia, tuż przed atakiem Rzeźników i zaraz przepadł gdzieś w jaskini, podobnie jak Surra i Hing.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Storm skoncentrował się przywołując uwagę zwierząt i przygotowując na ewentualny atak. Jeszcze raz nocny wzrok Gorgola okazał się przydatny, gdy wspinali się kretą ścieżką na wyżynę. Tej nocy jednak świeciły księżycy i gdy wydostali się z wąwozu, wyszli na jasno oświetlone zbocze.

Ziemianin szedł wolno, oszczędzając siły i przyjmując pomoc Norbisa w trudniejszych miejscach. Wiatr był zmienny, niosł ze sobą niski pomruk, naśladujący loskot grzmotu. Dotarli do skalnego stopnia, na który musieli się wspiąć. Dalej ścieżka wiodła wokół występu, przez lukowate przejście aż do szerokiej platformy, gdzie pod przewieszka znaleźli stos suchych patyków. Gorgol kopnął je i pokazał:

-Zły lotnik.

Stąd Norbis musiał ścigać zranionego stwora aż do Doliny Zamkniętych Grot. Wyglądało na to, że ptak był samotnikiem, jego gniazdo nie zostało też zajęte przez innego mieszkańca.

Musieli pokonać jeszcze jeden skalny stopień i Storm, podtrzymywany przez Gorgola zastanawiał się, ile jeszcze będzie musiał wytrzymać dzisiejszej nocy. Ale droga okazywała zbocze i w oddali ujrzeli czerwony blask ognia. Nagle w górę sypnęły zielone iskry i poczuli duszący śwad.

-Czarownicy! - zamigotały palce Gorgola.

Storm zobaczył, że znajdują się na równej płaszczyźnie, pozbawionej

roślinności, ale pokrytej tu i ówdzie wyrzeźbionymi przez deszcze skalami, w polmroku przypominającymi dziwaczne postacie. Do dwóch takich form przywiązano czterech mężczyzn - osadników, sadząc po stojakach. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniała gromada Norbisów przykucniętych dookoła ogniska i wpatrzonych w dwóch współplemienców, którzy uderzając w małe bebenki wydające odgłos naśladujący grzmot, tanczyli rytmicznie wokół płomienia. Storm przyglądał się uważnie. Albo Nitra czuli się tu zupełnie bezpieczni, albo ich wartownicy byli bardzo dobrze ukryci. W każdym razie żadnego nie widział. Ale tuż przy jencach siedzieli tubylcy.

-Ide... - zasygnalizował do Gorgola.

Nadal wezwanie do Baku, który musiał krążyć gdzieś nad ich głowami, przy nogach czuł krzepiące ciepło ciała Surry. Powoli zszedł na płaszczyznę, wydając dźwięk przywołujący drużyny.

146

Z czerni nieba wynurzył się Baku - pierzasta cząstka nocy obdarzona własnym życiem. Storm zachwiał się trochę, gdy orzeł wczepił się szponami w

derkę okrywającą jego zranione ramie, ale szybko doszedł do siebie i z Hing na piersiach, z Surra, drapieżnie szczerząc kły, przy nodze, wszedł pewnie w krąg ogniska.

## ROZDZIAŁ 17

Oto nadchodzi Zabójca. Potworów, obuty w jego mokasyny, Odziany w ciało zrodzonego z burzy.

Oto nadchodzi Zabójca Potworów,

Cieciwa napięta, strzala gotowa do lotu.

Oto nadchodzi Zabójca Potworów,

Gotow do walki...

Storm nie byl Spiewakiem, ale slowa same przysly do niego, ukkladajac sie w rytmy mocy. Czul, ze chroni go niewidzialna zbroja tego, ktory rozmawial z Odleglymi Bogami i byl rowny Duchom Przodkow. Czul, ze moc wzbiera i ogarnia go. Czyz z takim wsparciem potrzebowal jakiejis broni? Nie widzial, jak szeregi Nitra rozste-puja sie, tworzac droge ku ognisku. Nie zdawal sobie teraz sprawy z niczego, oprócz tej piesni i mocy, i tego, ze on, Hosteen Storm, byl w tej chwili mala, ale istotna czastka czegos znacznie przekraczajacego wszelkie mozliwe ludzkie dazenia...

Nie czul bolu, jaki sprawial siedzacy na chorym ramieniu Baku. Stal teraz bez ruchu oko w oko z niebieskorogim czarownikiem trzymajacym uniesiony w gore bebenek. Oslupialy Nitra wpatrywal sie w to niespodziewane zjawisko.

-Ahuuuu! - Storm wydal okrzyk wojenny swych przodkow. - Ahuuu!

Czarownik uderzyl w beben, odpowiedzial mu gluchy pomruk grzmotu, ale Ziemianin wyczul w tym gescie jakies wahanie. Tubylec przemowil swiergoczacym glosem. Storm nie uzyl mowy palcow. Nie nalezalo zdradzac swego pokrewienstwa z osadnikami i ich zwyczajami. Zwrocil sie ku wiezniom. Logan rozpoznal go, w oczach Quade'a blyselo zdziwienie.

Moc jest w jego ramieniu, moc jest w nim.

Zabojca Potworow odziany w jego cialo

Kroczy w nim...

Surra stapala obok, dostosowujac sie do jego dostojnego kroku. Wypusoil Iling.

MeerkatJak cien ozywiony blaskiem ognia, pomknal ku najblizszej skale. Wspiawszy sie na tylne lapy, rzucil sie z zebami i pazurami na wiezy krepujace jencow. Na gest Storma Surra rownie szybko pospieszyla na pomoc Loganowi i drugiemu z poganiaczy.

Kaplan Nitra zaskrzeczał jak rozwścieczony joris i potraszając bebenkiem skoczył ku Ziemiańskiemu. Baku załopotał skrzydłami i krzyknął groźnie

przeszywając tubylca wzrokiem. Unosił się nieco w powietrze i zaatakował, zupełnie jak wtedy, gdy w wiosce Krotaga spotkał się z zamkiem. Nitra musiał ustąpić przed tym uosobieniem furii i ptak pogonił go wokół ogniska. Z gardel obserwujących ich wojowników wydarł się wysoki okrzyk zdumienia.

-Nasza, jest moc! - Storm zaintonował pieśń, która pewnie tylko jeden ze słuchaczy mógł zrozumieć. Ale jeśli nawet słowa były nieznane, to jej wymowa była całkiem oczywista i gdy postąpił naprzód, Nitrowie rozpięchli się przed nim.

Quade zrobił krok do przodu i Storm kątem oka zauważył, że zrzuca przecięte wieży. To Gorgol, ukryty w mroku, wypełniał swe zadanie. Osadnik skoczył, by podtrzymać slaniającego się Logana, ale chłopak oparł się przez chwilę na łbie Surry - kot nie pozwolił dotąd na taką poufalność nikomu poza Stormem - i odzyskał równowagę.

-Kroczmy w mocy... - głos Ziemiańskiemu zagłuszył wojenne okrzyki Baku.

Surra prowadziła cofającą się grupę, za nią szedł Quade wspierający syna i poganiacze. Hing podbiegła do Storma i wspięła się do góry po nodze.

-Kroczmy w mocy - przynaglająco powtórzył Indianin. Oddzielał uciekających od poruszonych tubylców. Nie wiedział, jak długo jeszcze uda mu się ich powstrzymać, ale nie miał wątpliwości, że w tej chwili ma nad nimi władzę. Tylko kilka razy w życiu doświadczył tego poczucia wewnętrznej prawdy, uczucia, że jest cząstką większej, działającej bezbłędnie, całości.

Pierwszy raz wtedy, gdy jego zwierzęta po raz pierwszy usłuchały rozkazu.

Dwukrotnie w czasie służby, gdy wykonały szczególnie trudne zadanie. Ale tym razem było to coś jeszcze innego. Tym razem siła płynęła przez niego.

On kroczy w mocy,

On posiada moc,

On wypełnia wole Przodków,

Przodków, którzy krocza w pięknie,

On służy...

Uciekinierzy wydostali się poza krąg światła.

-Ssssst...

Nadleciał Baku. Z reki czarownika ciekła krew. Zamiast bebną trzymał noż, a z oczu biła nienawiść. Gdy orzeł usiadł na ramie-

151

niu Storma, Nitra skoczył ku niemu, tylko po to, by pasc na ziemię jak rżony piorunem. Z grupy wojowników dobiegł lament. Storm rozesmiał się. Tej nocy

nic nie mogło się nie udać! Gorgol użył emitera w najlepszym momencie tak, jak przedtem użył noża. Niosła ich fala fenomenalnego szczęścia, która czasem unosi człowieka poza granice jego możliwości. Śpiewacy mieli rację. Przepelniała go wiara w niewidoczne moce opiekujące się jego ludem, wiara, która rozbijała wszelkie wątpliwości. Był jak natchniony. Żaden Nitra ani Xik nie mogli mu się teraz oprzeć.

Krok za krokiem cofał się ku ciemnościom. Tam będzie się musiał wspinać na zbocze.

-Tedy, Storm - usłyszał w mroku. Nitrowie zaczęli krzyczeć coś

wojowniczo, ale zaden z nich nie kwapil sie do poscigu. Jakas reka chwycila go za ramie i poprowadzila w gore.

-Skad sie tu wziales? - zapytal Quade. - Myslelismy, ze nie zyjesz!

Storm znow sie zasmial. Byl nadal w transie.

-Wrecz przeciwnie. Ale lepiej wyniesmy sie stad, zanim oprzytomnieja...

Jego uniesienie trwalo przez cala droge, az do Doliny Zamknietych Grot.

Ale przy wejsciu do jaskini zatrzymal sie.

-Sluchajcie! - jego ton byl tak rozkazujacy, ze wszyscy zamilkli.

Byl to nie tyle halas, ile wibracja przenoszona przez kamienne sciany i ziemie pod ich stopami.

-Statek Xikow! - od dawna znal to drzenie. Ilez to razy obserwowal odlot wroga z ukrytych portow. Rozgrzewajacy sie, obcy statek powodowal takie wlasnie drgania.

-Co? - nie zrozumial Quade.

-Statek Xikow... szykuje sie do startu. Opuszczaja Arzor! Quade, jedna reka obejmujac Logana, druga przylozyl do sciany.

-Co za wibracje!

Zbyt silne, Storm nagle zdal sobie z tego sprawe. Maszyna, ktora widzial w ukrytej dolinie, nie byla transportowcem, byla niewiele wieksza od statku zwiadowczego. Te drgania byly za mocne! Jeszcze jeden pojazd ukryty gdzies niedaleko? Teraz warkot zaczal sie urywac...

Huk przeszyt noc i rozblysllo swiatlo tak silne, ze oswietlalo wszystko w obrebie kilku mil dookola. Sciany wokol nich trzesly sie,



osypywały się z nich miniaturowe lawiny, a ludzie i zwierzęta zbili się w przerażoną gromadkę.

-Silniki! Musiały wybuchnąć silniki! - Storm stanął na nogi sciskając

ramię, które znowu przeszywał paralizujący ból. Ocknął się z transu i poczuł ogromne znużenie.

-Jakie silniki? - pytanie Logana dobiegło jakby zza gęstej mgły.

-Xikowie zakopali częściowo swój statek, żeby go ukryć. Kiedy uciekłeś, właśnie go odkopywali. Nie mieli czasu. Może próbowali wystartować nie odkopawszy silników albo... - zerknął na przerażony klebek skulony na jego piersi - albo to sprawa Hing. Kiedy próbowali odlecieć - silniki wybuchły!

-Więc wysadzili się w powietrze! - Brad Quade rozprostował ramiona.

-Dobrze byłoby tam zajrzeć. Może był tam ktoś z naszych i potrzebuje pomocy?

-W ogrodzie... - wtracił się słabo Logan - w północno-zachodniej

ścianie jest wejście zwrócone w tym kierunku. Gdyby prowadziło do tunelu, moglibyśmy się tamtędy przedostać...

Pomimo wstrząsów, jakie odczuwali na zewnątrz, jaskinia ogrodów była nietknięta. Nowo przybyłych zaskoczyło to nagromadzenie okruchów nieznanych światów, ale nie zwalniali kroku. Gorgol pognął naprzód, a pozostali starali się dotrzymać mu kroku. Dotarli wreszcie do kraty, którą odkrył Logan.

Pokonali zamek i ujrzeli jeszcze jeden tunel, czarny i wypełniony martwym powietrzem. Tym razem nie mieli latarki i musieli zanurzyć się w absolutnym mroku. Surra z Gorgolem szli na przedzie, a reszta podążała za nimi. Wszystkich gnęło dreczące pragnienie, by mieć te drogi już za sobą.

Latwo było stracić orientację w tym ciemnym i kretym korytarzu. Czy była

to naturalna formacja skalna, czy też budowniczo wie chcieli zmylic ewentualnego wędrowca, Storm nie potrafił stwierdzić, w każdym razie po dwóch zakretach całkiem się pogubił. Zdawało mu się, że idą ku jaskini, z której wyszli. Baku na jego ramieniu poruszył się niespokojnie. Zatonął się na niewidoczną ścianę. Obok słyszał sapanie któregoś z towarzyszy, a potem głos Logana, który szorstko zapewniał ojca, że może się sam utrzymać na nogach. Jeszcze jeden zakret i zobaczyli światło, odbłask gigantycznego ogniska. Pospieżyli w tę stronę. Dogonili Gorgolai zająrzeli w studnię pełną ognia. Plomienie ogarniały tarasowate zbocza. Zarbił w górę

153

i dochodził aż do nich. Iskry niesły się z prądem powietrza wysoko w niebo. Patrząc na klebowisko płomieni Ziemięanin był przekonany, że nikt nie wyszedł żywy z eksplozji.

Gorgol wysliznął się za zewnątrz, a Storm poszedł w ślad za nim, posyłając Baku w górę na poszukiwanie ścieżki, która by ich stąd wyprowadziła. Mineli małą, otoczoną ścianami platformę, która mogła służyć za punkt wartowniczy i od pożaru oddzieliła ich granicę. Błask ognia nawet tutaj dorównywał światłu dziennemu. Ujrzyli Surre czekając na nich u szczytu schodów, które były w istocie tylko zagłębieniami wydrążonymi przez wiatr i wodę. Przejście tedy było ryzykowne, ale była to droga w dół, wyprowadzająca ich z piekła doliny. Zwierzęta z gatunku Surry były doskonałymi wspinaczami. Pomy, z którymi skrzyżowano jej pustynnych przodków, potrafiły pokonywać skalne ściany i krawędzie, na które nie odwazyłby zapuścić się człowiek ani pies gónczy. Ale nawet ona przyglądała się uważnie zejściu, wysuwając ostrożnie jedną łapę, jak

gdyby chciała sprawdzić stabilność stopnia. Wynik tego badania okazał się jednak pomysłny, bo pomknęła w dół i po chwili ujrzeli ją jakieś trzydziści metrów niżej, na polce skalnej znacznie obszerniejszej od tej, na której zatrzymali się Storm i Gorgol. Ziemiąnin podążył za kotem, z tym, że on pokonał schody na czworakach. Kiedy dotarł do polki, zobaczył, że w dół od niej prowadzi wycięta w zboczu skalna droga.

-Droga... - zasygnalizował Gorgol w świetle księżyca. - Niżej szersza...

biegnie tam... - wskazał na południowy wschód.

Być może, był to poszukiwany przez nich trakt, którym Rzeźnicy pedzili do doliny skradzione zwierzęta. Jeżeli tak, to idąc nim w przeciwnym kierunku, powinni wydostać się na równiny. - Wróć - nadal Storm. - Sprowadź resztę...

Gorgol już wspinał się zwinnie z powrotem. Storm ruszył naprzód, poprzedzany przez Surre. Czuł, że musi iść dalej, że jeśli się zatrzyma, to nic będzie w stanie zrobić kroku. Poszedł wąską drożką wykutą w ścianie góry, miejscami osłoniętą skalnymi przewieszkami. Sądził, że wszystkie Szczyty mogą być wydrążone przez dawnych najeźdźców i stanowić płatane tunele, jaskin i innych ukrytych ścieżek. Trzeba było o tym powiadomić Sekcję Badawczą.

Nagle z mroku wynurzyła się Surre i zagroziła mu ostrzegawczo drogę.

Storm zachwiał się, ale utrzymał równowagę i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał delikatny szmer. Szuranie butów po skale? Zgrzyt

154

metalny o kamień? Ktoś szedł w górę. Mogł to być równie dobrze Nitra-zwiadowca, co jakiś ocalały z pożaru Xik.

Z tyłu dobiegały głosy. To Quade'owie z poganiaczami zbliżali się,

prowadzeni przez Gorgola. Ten w dole też na pewno ich usłyszał. Pochylił się ku Surrze.

-Znajdź go... - szepnął niemal bezgłośnie, nadając jednocześnie silny sygnał telepatyczny. Kot bezszelestnie ruszył do akcji, by wypłoszyć z ukrycia wroga, który - być może - urządził w dole zasadzkę. Storm miał tylko długi, myśliwski noż. Wyciągnął go przed sobą jak szpade. Wszystko zależało od tego, kim był nieprzyjaciel. Gdyby to był Nitra, mogło się udać, ale Xikowie nie walczyli na noże. A jaka szansa miał przeciw rozpylaczowi lub tasakowi? Biegł chwiejnie w dół zatrzymując się co kilka metrów i nasłuchując. Surra jeszcze nie trafiła na przeciwnika. Ścieżka zakreślała serpentynę, Storm pokonał ten łuk dysząc. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby skorzystać z pomocy swoich towarzyszy. Zbyt przywykł do samotnej walki. Ostatnie przygody z Xikami spowodowały, że poczuł się jak w czasach służby, więc teraz, na wpol zamroczony ze zmęczenia i bólu, był przekonany, że czający się w dole wrog jest jego prywatna sprawa.

Jeszcze jeden zakręt. Ścieżka stała się szersza i mniej stroma. Po lewej, w zboczu góry była głęboka, ciemna szczelina. Stamtąd nagle padł strumień światła, który chwycił koniuszek ogona Surry.

-Ahuuuu! - krzyknął Storm i rzucił się w lewo, przylegając do skały.

Światło błysnęło znowu, oświetlając miejsce, w którym stał przed sekundą.

Jego taktyka okazała się skuteczna. Surra zaatakowała. Światło przez chwilę tanczyło szalenczo, po czym latarka upadła na ziemię. Storm musiał przekroczyć jej promień idąc z pomocą kotu.

Nagle w świetle księżyca ukazała się jakaś, zawzięcie młocąca ramionami,

postac. Osadnik? A może przebrany Xik? Storm ruszył w kierunku latarki, chcąc oświetlić walczącego z Surra człowieka. Kot nie chciał zabić, drażnił tylko przeciwnika.

Były komandos zatrzymał się, podniósł niezgrabnie latarkę i zwrócił ją w tamtą stronę. Nie było wątpliwości - Bister!

-Ssst...

Surra przypadła do ziemi, warcząc. Uszy położyła po sobie, ogon uderzał po obu stronach zjeżonego grzbietu. Nie zamierzała się wycofać.

155

Storm spostrzegł, że tamten sięga po broń.-Nie ruszaj się! - rozkazał.

Potężny mężczyzna, którego twarz wyrażała emocje równie czytelnie, jak zachowanie Surry, pochylił się do przodu i niechętnie, bardzo powoli unosił ręce.

-Ziemianin! - wykrztusił z siebie, jakby to słowo było obelgą. -

Treser...

-Mistrz Zwierząt! - Storm poprawił go swym łagodnym tonem, którego używał w chwilach największego napięcia.

Zatknął noż za pas i podszedł niespiesznie, oświetlając cały czas Bistera, aż zbliżył się na odległość ramienia. Wtedy zwinnie wyciągnął z kabury tamtego emiter i rzucił w przepaść.

Ale Bister też był szybki. Jego dłoń chwyciła noż. Stał ostrzem błysnęła jak błękitny płomień, gdy przykucnął w pozycji doświadczonych nożownika. Storm zdał sobie sprawę, że - aperi czy nie - przeciwnik potrafił obchodzić się z tą bronią.

-No, czemu nie poszczujesz swojego kota, bydlecy treserze? - Bister

wyszczeryl zeby. Byly prawie tak ostre jak Surry. - Juz ja sie nim zajme...

ciebie tez wypatrosze... Ziemianinie!

Storm cofnal sie, podniosl reke i wcisnal latarke w skalna szczeline.

Wiedzial, ze bylo glupota wdawac sie w walke z Bisterem. Ale cos zmuszalo go, by zmierzyc sie z nim - kimkolwiek czy czymkolwiek by ten byl "- na noze.

Dawny obyczaj dzikich wojownikow:

pokonac przeciwnika wlasnymi rekami.

-Surra... - Storm dal znak kotu, ktory zostal tam, gdzie byl, blyszczacyimi oczami przygladajac sie dwom mezczyznom na sciezce. Nie poruszyly sie bez rozkazu.

Indianin znow trzymal noz w rece. Na chwile zapomnial o znuzeniu, swiat zawezil sie do dwoch nagich ostrzy. Slyszal, ale nie zwrocil uwagi na okrzyk, ktory dobiegl z gory, gdy jego towarzysze ujrzeli, co sie dzieje. Bister jednak zwrocil na niego uwage i rzucil sie do przodu, chcac zakonczyc sprawe, zanim nadejdzie odsiecz dla Storma.

Ziemianin odskoczyl, ale przestraszyla go wlasna powolnosc. Chociaz poczul uniesienie podobne jak w obozie Nitra, tym razem jego ciało nie reagowalo tak szybko i poslusznie.

Bister tez byl tego swiadomy. Wiedzial, ze Storm nie jest tym czlowiekiem, ktory stawil mu czola w drodze z Portu do Krzywowki. Jego uderzenie bylo szybkie i celne.

## ROZDZIAL 18

Brzeknela stal, gdy Storm odparl atak. Bister jednak nacieral dalej - poruszał sie pewnie, zmuszając Ziemianina do odwrotu. Ten probowal, atakując i

wycofując się, wciągnąć obcego w promień latarki, który by go oslepił. Ale

Bister, świadomy niebezpieczeństwa, nie posuwał się naprzód.

Mogłoby skończyć z Xikiem w mgnieniu oka, gdyby wezwał Surre. Storm

wiedział o tym, ale wiedział też, że jeśli nie zmierzy się z Bisterem sam, nigdy nie będzie już w stanie dowodzić drużyną.

Czas przestał płynąć. Ich buty szurały ostrożnie po skalnej platformie. Po

odparciu jego pierwszego ciosu Bister zachowywał się bardziej uważnie, chciał

wyczerpać słabszego Ziemiańszaka. Storm poczuł, że po ramieniu okrytym kocem

splewa ciepłą stróżkę. Rana otworzyła się i krwawienie osłabiało go coraz

bardziej. Nogi zrobiły się ciężkie i powolne właśnie wtedy, gdy powinny być silne i szybkie.

To on był teraz wciągany w snop światła. Wiedział, że gdyby to się

Bisterowi udało, nie miałby żadnych szans. Gorączkowo zaczął przypominać

sobie wszystko, co wiedział o aperyach. Ich ciałom nadano ludzki wygląd,

wytrenowali ludzkie zachowanie, ale wewnątrz nadal musieli być Xikami, bo

inaczej nie byłoby przydatni swoim zwierzchnikom. A co mogłoby wyprowadzić

Xików z równowagi, co mogłoby ich zranić? Przed czym czuli strach? Dlaczego

zawsze toczyli z ludźmi wojnę na śmierć i życie?

Storm wymykał się, tanczył, o milimetry unikał groźnych ciosów. Dlaczego

Xikowie bali się i nienawidzili Ziemiańszaków? Jaka była ukryta przyczyna tego strachu,

przyczyna, którą mogłoby teraz wykorzystać?

Mysł przerwał zgrzyt ostrza o ostrze. Uderzenie było tak silne, że na chwilę

zdrętwiało mu ramię.

Nagle spłynęło na niego oświecenie. Wiedział, co jest słabym punktem Xika,

bo była to w jakiś sposób jego własna, odziedziczona po przodkach słabość, która jednocześnie stanowiła źródło ich siły.

-Zostałeś sam - przemówił spokojnie w języku galaktycznym. - Twoi ludzie wysadzili się w powietrze, Bister. Nie czeka na ciebie żaden statek. Sam! Samotny wśród nienawidzących cię obcych. Nigdy już nie ujrzysz domu!

W tym samym olśnieniu zrozumiał, dlaczego Xikowie zniszczyli

157

Ziemię. Mieli nadzieję, że rozbija tym Konfederację. Ale Ziemię zamieszkiwały różne rasy, a kolonie zdążyły się już uniezależnić od macierzystej planety, więc ten plan zawiodł.

-Sam! - rzucił to słowo silnym głosem Śpiewaka, starając się włożyć w nie moc, którą czuł stojąc przed czarownikiem Nitra. Bister był sam, on, Storm, też. Ale w tej chwili nie sprawiało mu to bólu.

-Sam! - widział ciemne, szeroko otwarte oczy Bistera, a w

-nich płomień rozpacz. Aperi był blisko wybuchu, a Storm musiał ten wybuch przyspieszyć.

-Nikt ci nie pomoże, Bister. Żadnych braci z ogniwa, żadnych towarzyszy broni. Jedyne Xik, jaki pozostał na Arzorze - zwierzę łowne...

Strzępy zasłyszanych informacji na temat zwyczajów najeźdźców pojawiły się, wyraźne, gotowe do użycia, podczas gdy stopy ani na moment nie przerywały swego wojennego tańca.

-Kto cię osłoni, Bister? Kto cię wezwie po imieniu? Nikt z twoich braci nie będzie wiedział, jak zginiesz i nie zaznaczy twojego krzaka na Stule Tablicach Wewnętrznej Wieży twego miasta. Bister umrze i będzie tak, jakby się nigdy nie



narodzil. Zaden syn z imienia nie przejmie po tobie Czterech Praw...

Usta Colla Bistera byly rozchylone, a twarz zroszona potem. Obcy blysk w oczach stawal sie coraz wyrazniejszy.

-Bister umrze, to wszystko. Nie ma dla niego przebudzenia w dniu

Wzywania-po-Imieniu.

-Aaaa!

Aper zaatakowal. Storma ostrzeglo chwile przedtem stezenie ciala

przeciwnika, zrobil szybki unik, ale ostrze siegnelo srebrnego naszyjnika

Ziemianina i bolesnie drasnelo piers. Pchniety ciezarem napastnika znalazl sie na

krawedzi platformy. Aper nie byl ranny i mial dosc sily, by stracic Storma w dol.

Jedyna obrona mogly byc chwytty poznane w czasach sluzby. Przy pomocy

jednego z nich uwolnil sie i jednym susem znalazl sie pod sciana.

Z gardla Bistera wydarl sie przenikliwy skowyt. Oczy zupełnie stracily juz

ludzki wyraz, byl w nich tylko bol i samotnosc. Wrog, ktorego nienawidzil

najbardziej ze wszystkich, uswiadomil mu smierc idei, ktore wiodly go w boj.

Teraz mial juz tylko jeden cel - zabic

-niewazne, czy bedzie musial za to zaplacic zyciem.

Nie rozumowal juz rozsadnie. Byl przez to bardziej niebez-

158

pieczny, ale tez latwiej bylo sobie z nim poradzic. Storm zaczal sie cofac, a Bister szedl za nim usilujac chwycic go zakrzywionymi palcami. Czlowiek uniosl reke w

pogotowiu, potem odwrocil sie nieco i osiagnal to, do czego dazyl. Swiatlo latarki

uderzylo prosto w twarz Bistera, oslepiajac go na chwile. Ta chwila wystarczyla,

by dlon Storma uderzyla niespiesznie i precyzyjnie, jak na cwiczeniach. Aper

wydal dzwiek bedacy czymś pośrednim między kasznięciem a chrząknięciem, upadł powoli, najpierw na kolana, a potem na twarz i tak pozostał. Storm cofnął się, aż jego prawe, zdrowe ramię oparło się o skałę. Patrzył, jak Surra podczołgała się i obwachała Bistera. Prychnęła i uniosła łapę z pazurami gotowymi do uderzenia, ale Ziemiańczyk syknął zabraniająco.

Brad Quade przeciał snop światła, przykleknął przy obcym i usiłował wyczuć bicie serca pod rozdarta koszula.

-Nie zabiłem go - głos Storma był w jego własnych uszach bardzo słaby i daleki. - To naprawdę Xik.

Zobaczył, że Quade podnosi się szybko i idzie ku niemu. Pomimo zmeczenia, Storm nie mógł pozwolić, by tamten go dotknął. Odsunął się od ściany unikając wyciągniętej ręki osadnika. Ale tym razem ciało nie usłuchało rozkazów woli. Osunął się bezwładnie i upadł tuż obok nieruchomego ciała Bistera.

Obraz był częścią snu. Ale był tu nadal, gdy Storm otworzył oczy i leżał na wąskim łóżku, nie mając siły się ruszyć. Cała ściana pokryta była plamami śmiałych kolorów, które znał i kochał. Były tam kanciaste ostaniec z pustyni południowego zachodu, ponad nimi zaś symetryczne, okrągłe kopuły chmur przedstawiane tak przez malarzy Dinehow jeszcze w czasach, gdy ich jedynym tworzywem był piasek. I był wiatr wiejący wokół ostanców. Prawie go czuł, widząc rozwiane włosy namalowanych jeźdźców i grzywy ich plamistych kuców. Fresk pokrywał ścianę obok łóżka i Storm spał obrocony ku niemu, więc pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, gdy miał dość siły, by podnieść ciężkie powieki, byli jeźdźcy na wietrze.

Artysta, który stworzył to malowidło, musiał sam znać pustynne wiatry

ojczystych stron, musiał czuć zapach wulny i szalwii, rosochatej sosny i ciemnego, nagrzanego słońcem piasku. Patrząc na ten obraz to było jak przebudzić się pod sosną w jaskini ogrodów. A nawet więcej. Bo to dzieło sztuki zostało stworzone przez człowieka jego rasy. Tylko Dineh mógł je namalować...

159

Scena z fresku była dla niego bardziej prawdziwa niż ci, którzy opiekowali się w tym czasie jego ciałem. Lekarz z Portu i milcząca kobieta o ciemnej twarzy,

która pojawiała się i znikła, oboje byli zaledwie bezcielesnymi zjawami. Nie potrafił się wydostać z namalowanego świata także wtedy, gdy przy jego łóżku pojawił się Kelson, by zadać kilka pytań - trudniej mu było zauważyć Oficera Pokoju niż najbliższego plamistego kuca. Nie wiedział, gdzie jest i nie dbał o to. Był zadowolony, że zarówno godziny czuwania, jak i znacznie dłuższe okresy snu może spędzać w towarzystwie jeźdźców ze ściany.

Stopniowo jednak coraz więcej czasu przypadło na jawę. Ciemna kobieta upierała się, by podłożyć mu pod plecy poduszki i posadzić go, ale wtedy nie mógł wygodnie przyglądać się malowidłu. Zdał sobie sprawę, że kobieta mówi do niego w języku Dinehow, krótko, nawet ostro, jakby ktoś zniecierpliwiony przemawiał do upartego dziecka. Starał się trwać przy swoich marzeniach, ale przerwał je nagle Logan, który przykucywał do jego łóżka. Twarz chłopca wygoiła się i Storm zauważył coś więcej niż tylko rysy Dineha, jakies dreczące podobieństwo do kogoś, kogo nie mógł sobie dokładnie przypomnieć.

-Podoba ci się? - młodszy Quade patrzył na fresk ponad ramieniem Storma.

-To dom... - odpowiedział Storm czując, że słowa i ich ton ujawniały

wszystko.

-Tak też sędzi mój ojciec...

Brad Quade! Prawa reka Storma przesunęła się po okrywającej go derce w znajome pasy. To był spadek po Nat-Ta-Hayu, a w każdym razie pęd o identycznym wzorze.

Nat-Ta-Ilay i przysięga, której zaządał od Storma. Przysięga dokonania zemsty na Bradzie Quade.

Ziemię leżał, oczekując uderzenia znajomej ostrogi nienawiści. Ale nie nadeszło. Był zdolny do jednego tylko uczucia - tęsknoty za przedstawionym na fresku światem. A jednak musiał wypełnić zadanie, dla którego przybył na Arzor, nawet, jeśli nie było w nim gniewu.

Storm zapominał prawie o Leganie, gdy młodzieniec podniósł się z krzesła i podszedł do ściany przyglądając się jeźdźcom. Na jego twarzy malowała się zaduma.

-Jak to było - zapytał nagle. - Jak czuł się człowiek jadąc przez ten kraj?

160

Zdał sobie sprawę z tego, że wspomnienia mogą sprawić Stormowi ból i ciemny rumieniec wypełził mu na twarz. Odwrócił się z zakłopotaniem do łóżka.

-Opuszcili te strony - Storm ostrożnie dobierał słowa - gdy byłem dzieckiem. Wracalem dwukrotnie i nigdy nie było to już to samo. Ale to trwa, gdzieś w głębi duszy ten świat nadal żyje. Żył też dla tego, kto namalował ten obraz. Nawet tutaj, o tyle lat świetlnych od Ziemi.

-Dla tej... - sprostował cicho Logan.

Storm usiadł gwałtownie. Nie wiedział, że jego rysy stwardniały nagle. Ale nie dane mu było zapytać. Ktoś stanął w drzwiach. Postawny mężczyzna o błękitnych oczach. Ten, którego Storm miał odszukać, ale nie chciał spotkać. Brad Quade "podeszedł do łóżka i spojrzał badawczo na Storma. Ten zaś wiedział, że to musi być ich ostatnie spotkanie, że pomimo swojego dziwnego wewnętrznego oporu musi zrobić, co do niego należy, i być przygotowanym na konsekwencje tego czynu.

Z dawną szybkością Ziemię wyciągnął rękę, wyszarpnął nóż zza pasa Logana i zwrócił ostrze w kierunku Brada Quade'a, opierając rękę na kolanie. Wyraz niebieskich oczu nie uległ zmianie, osadnik oczekiwał chyba takiego ruchu albo nie rozumiał, o co chodzi, ale w to Storm nie wierzył.

I miał rację. Quade wiedział - przyjmował wyzwanie - albo przynajmniej znał jego przyczynę, bo zapytał:

-Jeśli między nami jest stal, chłopcze, to dlaczego uwolniłeś mnie z rak Nitrow?

-Życie za życie, aż się policzymy. Uratowałeś mnie w Krzywosce.

Wojownik Dinehow płaci dług. Przybywam od Nat-Ta-Haya. Jego honor i honor jego rodu splamiles przelana krew... i inna hanba...

Brad Quade zbliżył się do nogi łóżka. Logan drgnął, ale tamten ruchem ręki powstrzymał go.

-Nie było żadnego przelewu krwi między rodem Nat-Ta-Haya a mną. -

Odpowiedział dobitnie. - I żadnej hanby!

Odpowiedź zmroziła Storma. Nie uwierzyłby, że Quade wyprze się winy.

Od pierwszego spotkania był przekonany o uczciwości osadnika.

-A co z Nahani? - spytał zimno.

161

-Nahani! - Quade był zaskoczony. Pochylił się i chwycił poręcz łózka. Oddychał szybciej. Storm nie mógł nie zauważyć prawdziwego zdumienia w jego

głosie.

-Nahani - Ziemianin powtórzył dobitnie. Potem uswiadomiwszy sobie możliwe wytłumaczenie zdziwienia tamtego, dodał: - A może nie znales imienia człowieka, którego zabiłeś w Los Gatos?

-Los Gafcos? - Brad Quade nachylił się chcąc spojrzeć Stormowi w oczy. - Kim... ty... jesteś? - cedził powoli, jakby każde słowo było wyszarpięte ostrzem trzymanym przez Storma.

-Jestem Hosteen Storm... syn Nahaniego... wnuk Nat-Ta-Haya...

Wargi Quade'a poruszały się przez chwilę bezgłownie, aż w końcu wydukał:

-Ale on powiedział... powiedział Raquel... że umarłeś... na febre! Ona... ona musiała o tym pamiętać przez całe życie! Wrocila po ciebie do wioski, a Nat-Ta-Hay pokazał jej zamurowaną jaskinię... powiedział, że cie tam pochował... To ja prawie zabiło! - odwrócił się, ukazując bezbronne plecy. Zaciśnął dłonie w pięści i uderzył w ścianę, jak gdyby bił w coś innego, w jakiś cien, zbyt nieuchwytny, by można go było ukarać.

-Niech go diabli! Specjalnie ja dreczyli! Jak mogli zrobić coś takiego własnej córce?!

Nagła wściekłość opadła, Quade uspokoił się. Pięść stała się na powrót dłonią, która delikatnie dotknęła małowidła.

-Jak mógł to zrobić? Nawet, jeśli był tak zawzięty? - spytał jeszcze raz.

-Nie zabiłem Nahaniego. Zmarł od ukaszenia weza. Nie wiem, co ci powiedział... najwyraźniej nieprawdę... - Mówił spokojnie, a Storm wsparł się znow o poduszki. Jego świat zachwiał się, nie mógł wzbudzić w sobie gniewu. Trzeźwy głos Quade'a był zbyt przekonujący.

-Nahani został przydzielony do Sekcji Badawczej - mówił zmęczonym głosem osadnik. Przyciągnął krzesło i opadł na nie, wciąż uporczywie patrząc w oczy Storma. - Ja też. Pracowaliśmy razem nad kilkoma problemami i, być może, nasze indyjskie pochodzenie przyczyniło się do tego, że się zaprzyjaźniliśmy. Na jednej z zewnętrznych planet były jakieś kłopoty z Xikami i w czasie któregoś z ich podjazdów schwytali Nahaniego. Uciekł i odwiedziłem go w szpitalu w bazie. Próbowali go "warunkować"...

Sfcorm zeszywniał i zadrzał. Quade skinął głową, widząc te reakcje.

162

-Tak, możesz sobie wyobrazić, co to znaczyło. Było źle... był... odmieniony. Lekarze sadzili, że może uda się pomóc mu na Ziemi. Odesłano go

tam na rehabilitację. Ale już w pierwszym miesiącu zniknął ze szpitala.

Dowiedzieliśmy się później, że uciekł w rodzinne strony. Byli tam jego żona i dwuletni synek... Zewnętrznie wydawał się normalny. Jego teść Nat-Ta-Hay był jednym z nieprzejednanych. Nie przyjmował do wiadomości żadnych zmian czy potrzeby zmian w trybie życia Indian. W tym punkcie jego fanatyzm graniczył z szalenstwem. Powitał w Nahanim Dineha, który uratował się przed przekształceniem w Ziemię. Ale Raquel, żona Nahaniego, wiedziała, że jej mąż potrzebuje fachowej pomocy. Bez wiedzy ojca powiadomiła władzę.

Poproszono mnie, żebym pojechał po niego wraz z lekarzem, bo miałem akurat

urlop i byłem jego przyjacielem. Liczyli na to, że uda mi się go namówić na dobrowolne leczenie. Kiedy dowiedział się, że przyjeżdżamy, znowu uciekł. Raquel i ja pojechalismy za nim na pustynie. Kiedy odnaleźliśmy jego kryjówkę, już nie był - został ukaszony przez węże. A kiedy Raquel wróciła do domu swego ojca po dziecko, ten zachował się jak szaleniec - oskarżył ją o zdradę i odpedził groźną strzelbą. Przyjechała do mnie prosić o pomoc i udaliśmy się tam ze strażnikami... żeby zobaczyć grob, zamurowana jaskinia. Raquel zemdlła, potem miesiącami chorowała. Później pobralismy się, wystąpiłem z wojska i przywiozłem ją tutaj, mając nadzieję, że łatwiej jej będzie tu zapomnieć. Myślałem, że była szczęśliwa, zwłaszcza po urodzeniu Logana. Ale była tylko cztery lata... Taka jest prawdziwa historia!

Noż leżał porzucony na kocu. Storm zakrył oczy rękami, odgradzając się od otoczenia i zagłębiając w siebie, w tę ciemność kryjącą dziwne niebezpieczeństwo, któremu musiał sam stawić czoła tak, jak stawił Bisterowi tam, w Szczytach.

Widział zamglony ciąg lat, które oddzielały go od tego dnia, gdy Nat-Ta-Hay narzucił swą wolę małemu, przerażonemu chłopcu. Był w jego oczach tak wielki i potężny jak Przodkowie. Jego duch przenikał wszystkie wspomnienia i sny o Ziemi, zniszczonej ojczyźnie. Przywarł do cienia tego człowieka i do przysięgi, którą złożył i uczynił z nich punkty oparcia w niepewnym świecie.

Piescił i hodował nienawisć do Quade'a, bo miał dzięki niej jakiś cel w życiu.

Teraz zobaczył to jasno.

Dlatego wycofał się, gdy spotkał osadnika po raz pierwszy. Dopóki mógł odkładać spełnienie swego zadania, dopóty mógł żyć. Potem życie nie miałoby



juz sensu.

163

Nat-Ta-Hay byl symbolem wszystkiego, co utracil. Trwajac przy misji, ktora ten wyznaczyl, w jakis sposob nie przyjmowal konca Ziemi do wiadomosci. W

Centrum mieli racje. Nie uniknal szalenstwa ludzi bez swiata. Przybralo ono jedynie inna, dziwaczniejsza forme.

Teraz byl pustka. Pustka i oczekiwaniem na strach czajacy sie juz za skruszona bariera, zeby wpelznac i opanowac go. Nat-Ta-Hay nie zostawil mu zadnego oparcia oprócz zludzen. Storm znalazl sie na tej samej waskiej granicy miedzy zdrowiem a obledem, na ktorej balansowal przedtem Bister. Tacy jak on potrzebowali korzeni:

ziemi... bliskich...

Nie zdawal sobie sprawy, ze drzy, ze zapadl sie w poduszki szukajac zapomnienia, ktore nie mialo odejsc. Rece opadly i lezaly wiotkie na wzorzystej derce. Oczy mial nadal zamkniete. Nie osmielilby sie teraz spojrzec na malowidlo ani na czlowieka, ktory wyjawil mu prawde i zmusil do stanięcia twarza w twarz z wlasna kleska.

Poczul cieply ucisk wokół nadgarstkow. Czyjes palce zacisnely sie, jakby chcąc go wyciągnac z ogarniającej ciemności.

-Tutaj też jest rodzina...

Początkowo słowa te były tylko dźwiękami, stopniowo nabierały znaczenia, odbijając się echem w pustym umyśle. Storm otworzył oczy.

-Skąd wiedziałeś? - pragnął zapewnienia, że słowa te płynęły z prawdziwego zrozumienia jego potrzeb, a nie były dziełem przypadku.

-Skąd wiedziałem? - Brad Quade uśmiechnął się. - Myślisz, synu, że mądrzy są tylko Dinehowie? Czy tylko jedno plemię szuka korzeni w ojczyściej ziemi? To jest twój dom - zawsze na ciebie czekał. Twoja matka go stworzyła. Tylko ty się trochę spóźniłeś, jakies - czekaj no - osiemnastcie ziemskich lat. Storm nawet nie próbował odpowiedzieć. Popatrzył znów na malowidło. Ale teraz był to tylko namalowany obraz, nostalgiczny, piękny, ale nie mający już na niego magicznego wpływu. Usłyszał cichy śmiech dobiegający od drzwi i spojrzał w tamtą stronę. Logan musiał przedtem wyjść, teraz wrócił. Stał tam, z Baku na ramieniu i Surra płacząca się pod nogami. Wielki kot podszedł do łóżka, wspiał się na nie przednimi łapami i przyglądał badawczo swemu panu, podczas gdy Hing gruchala radosnie usadowiona w zagłębieniu łokcia Logana.

164

-Deszcz jest w korralu. Będzie musiał jeszcze parę dni poczekać na spotkanie z tobą - Brad nadal ścisnął rękę Storma. - Tutaj jest twoja rodzina -

to także jest prawda!

Storm westchnął głęboko, z trudem hamując wzruszenie. Leżał bez ruchu, czerpiąc siłę z ciepłego uścisku rąk Quade'a.

-Yat-ta-hay - powiedział. Był zmęczony, ogromnie zmęczony, ale pustkę w jego sercu wypełniła fala spokoju i zadowolenia, która nie miała nigdy opasc.

Tego był pewien - bardzo, bardzo dobrze!

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/